

**Arkadij i Borys Strugaccy**

**Hotel pod poległym alpinistą**

*(Otiel „U Pogibszego Alpinista”)*

*Przekład Irena Lewandowska*

Jak donoszą agencje prasowe, w departamencie Vaingi w pobliżu miasta Muir wylądował pojazd latający, z którego wysiadły żółtozielone stworzenia, każdy miał po trzy nogi i ośmioro oczu. Łasa na sensacje bulwarowa prasa pospieszenie obwołała ich przybyszami z Kosmosu...

## Rozdział I

Zatrzymałem samochód, wysiadłem i zdjąłem ciemne okulary. Wszystko wyglądało tak, jak opowiadał Segut. Hotel był jednopiętrowy, żółtawozielony, a nad wejściem pięknie prezentował się szyld-nekrolog Pod Poległym Alpinistą. W wysokich, gąbczastych zaspach po obu stronach werandy sterczały różnokolorowe narty – naliczyłem siedem sztuk, w jednej siedział but. Z dachu zwisały faliste, zmętniałe sople grubości ręki. Z ostatniego okna po prawej stronie parteru wyjrzała czyjaś pobladła twarz, jednocześnie otworzyły się frontowe drzwi i na werandzie pojawił się łysy, krępy człowiek w rudej futrzanej kamizelce na śnieżnobiałej nylonowej koszuli. Podeszedł ciężkim, powolnym krokiem i zatrzymał się przede mną. Miał grubo ciosaną twarz i kark zapaśnika wagi ciężkiej. Nie patrzył na mnie. Jego melancholijne spojrzenie wypełnione dostojnym smutkiem błędziło gdzieś poza mną. Niewątpliwie był to sam Alec Cenevert, właściciel hotelu i doliny Wilcza Gardziel.

– Tam... – powiedział nienaturalnie niskim i głuchym głosem. – Tam właśnie to wszystko się stało. – Wskazał dłonią, w której trzymał korkociąg. – Na tej grani...

Odwrociłem się i mrużąc oczy, spojrzałem na siwą, przerażającą i prawie pionową skałę zamykającą dolinę od zachodu, na białawe języki śniegu, na grzebieniastą turnię, wyraźną, jakby narysowaną na soczystoniebieskiej powierzchni nieba.

– Pękł karabinek – wciąż tym samym głuchym głosem ciągnął właściciel – dwieście metrów w linii prostopadłej spadał w dół, ku śmierci, i nie miał się o co zaczepić na gładkiej skale. Być może krzyczał. Nie słyszał go nikt. Być może się modlił. Słyszał go tylko Bóg. Potem dosięgnął zbocza i usłyszeliśmy huk lawiny, ryk obudzonej bestii, głodnej i żarłocznej i ziemia zadrżała, kiedy runął na nią wraz z czterdziestoma dwoma tysiącami ton krystalicznego śniegu...

– Po cholere go tam poniosło? – zapytałem, patrząc na złowieszczą skałę.

– Niech mi pan pozwoli powrócić w przeszłość – powiedział właściciel, skłonił głowę i pięść z korkociągiem przyłożył do łysego czoła.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak opowiadał Segut. Tylko psa nigdzie nie było widać, choć zauważyłem mnóstwo jego śladów i obok ganku, i wokół nart. Wróciłem do samochodu i wyciągnąłem koszyk z butelkami.

– Pozdrowienia od inspektora Seguta – powiedziałem i właściciel natychmiast z ochotą powrócił w teraźniejszość.

– Zacności człowiek – powiedział zadziwiająco normalnym głosem. – Co u niego słychać?

– Wszystko w najlepszym porządku – powiedziałem, wręczając mu koszyk.

– Jak widzę, nie zapomniał naszych wieczorów przy kominku.

– O niczym innym nie mówi – powiedziałem i chciałem zawrócić do samochodu, ale gospodarz złapał mnie za rękę.

– Ani kroku w tył! – oświadczył surowo. – Tym zajmie się Kaisa. Kaisa! – zagrzemiał niczym trąba.

Na werandę wybiegł pies – wspaniały bernardyn wielkości cielaka, biały w żółte łaty. Jak już wiedziałem skądinąd, pies ten był wszystkim, co pozostało po Poległym Alpiniście, jeżeli nie liczyć niektórych drobiazgów eksponowanych w pokoju muzeum. Nie byłem daleki od tego, żeby sobie obejrzeć, jak ten pies o damskim imieniu będzie wyładowywał mój bagaż, ale właściciel mocną dłonią popchnął mnie w kierunku domu.

Przeszliśmy przez mroczny hol, w którym trwał jeszcze ciepły zapach zagasłego kominka i słabo lśniły lakierem modne niskie stoliki, skręciliśmy korytarzem na lewo i Cenevert pchnął ramieniem drzwi z napisem Biuro. Zostałem posadzony w wygodnym fotelu, a dźwięcznie bulgoczący koszyk znalazł przytulne schronienie w kącie. Właściciel otworzył leżącą na biurku ogromną księgę.

– Przede wszystkim pozwoli pan, że się przedstawię – powie – dział, w skupieniu oczyszczając paznokciem stalówkę wieczne – go pióra. – Jestem Alec Cenevert, właściciel hotelu i mechanik z zawodu. Zauważył pan oczywiście wiatraki przy wyjeździe z Wilczej Gardzieli?

– Ach, więc to były wiatraki?

– Tak. Silniki napędzane wiatrem. Sam je skonstruowałem i sam zbudowałem. Tymi oto rękoma.

– Co pan powie... – wymamrotałem.

– A tak. Sam. I jeszcze wiele innych rzeczy.

– Gdzie mam to zanieść? – zapytał za moimi plecami przeraźliwie cienki kobiecy głos.

Odwrociłem się. W drzwiach, z moją walizką w ręku, stała pulchniutka, różowiutka baryłeczka, mniej więcej dwudziestopięcioletnia, rumiana, o szeroko rozstawionych i szeroko otwartych błękitnych oczach.

– To jest Kaisa – oznajmił właściciel. – Kaisa! Ten pan przywiózł nam pozdrowienia od inspektora Seguta. Pamiętasz pana Seguta, Kaisa? Ty powinnaś go pamiętać.

Kaisa natychmiast zaczerwieniła się i zasłoniła twarz dłonią.

– Pamięta – wyjaśnił mi gospodarz. – Zapamiętała go... T-tak... Zatem umieszczę pana pod numerem 4. To najlepszy pokój w całym hotelu. Kaisa, zanieś walizkę pana m-mm...

– Glebsky – powiedziałem.

– Zanieś walizkę pana Glebsky'ego pod czwórkę... Wyjątkowa idiotka – zawiadomił mnie nawet z niejaką dumą, kiedy pulpecik zniknął. – Swego rodzaju fenomen... A więc, panie Glebsky? – spojrzał na mnie wyczekująco.

– Peter Glebsky – podyktowałem. – Inspektor policji. Urlop. Dwutygodniowy. Sam.

Właściciel starannie notował te wszystkie informacje ogromnymi, koślawymi literami. W czasie kiedy pisał, do biura, stukając pazurami po linoleum, wszedł bernardyn. Spojrzał na

mnie, mrugnął jednym okiem i nagle z hałasem, jaki wydaje rzucona na podłogę wiązka drzewa, klapnął koło sejfu i położył pysk na łapie.

– To Lelle – zakręcając pióro, powiedział właściciel. – Sapiens. Wszystko rozumie, w trzech europejskich językach. Pcheł nie ma, ale linieje.

Lelle westchnął i przeniósł pysk na drugą łapę.

– Chodźmy – powiedział właściciel, wstając. – Zaprowadzę pana do pokoju.

Ponownie minęliśmy hol i poszliśmy schodami na górę.

– Obiad jest o szóstej – opowiadał właściciel. – Ale coś przekąsić można o każdej porze, a i wypić coś orzeźwiającego. O dziesiątej wieczorem lekka kolacja. Tańce, bilard, karty, pogawędki przy kominku.

Weszliśmy na pierwsze piętro i z korytarza skręciliśmy na lewo. Od razu przy pierwszych drzwiach Cenevert się zatrzymał.

– To tu – powiedział dawnym, głuchym głosem. – Proszę.

Otworzył przede mną drzwi, wszedłem do środka.

– Od tego właśnie pamiętnego i strasznego dnia... – zaczął i nagle zamilkł.

Pokój był przyzwoity, chociaż może nieco ciemny. Story zaciągnięte, na łóżku nie wiadomo dlaczego – ciupaga. Pachniało świeżym dymem tytoniowym. Na oparciu krzesła, stojącego pośrodku pokoju, wisiała czyjaś brezentowa kurtka, a na podłodze obok krzesła leżała gazeta.

– Hm... – powiedziałem nieco zaskoczony. – Wydaje mi się, że ktoś tu już mieszka.

Właściciel milczał. Jego uwagę przykuł stół. Na stole nie było niczego szczególnego, stała na nim tylko popielniczka z brązu, a w popielniczce leżała fajka z prostym ustnikiem. Chyba Dunhil. Z fajki unosił się dymek.

– Mieszka... – odezwał się wreszcie właściciel. – Czy naprawdę mieszka?... Zresztą dlaczego by nie?

Do głowy nie przychodziła mi żadna odpowiedź, czekałem, co będzie dalej. Mojej walizki nigdzie nie było widać, ale za to w kącie stał kraciasty sakwojaż z nalepkami niezliczonych hoteli. Nie mój sakwojaż.

– Tutaj – głos właściciela ponownie nabrał mocy – przez sześć lat od tego pamiętnego i strasznego dnia wszystko zostało tak, ja kon to pozostawił, wyruszając na swoją ostatnią wspinaczkę...

Z powątpiewaniem spojrzałem na dymiącą fajkę.

– Tak! – powiedział właściciel z wyzwaniem. – To jego fajka. Jego kurtka. Jego ciupaga... „Niech pan weźmie ze sobą ciupagę”, powiedziałem mu tego ranka. Ale on się tylko uśmiechnął i pokręcił głową. „Ale przecież nie chce pan tam pozostać na zawsze!” – zawołałem zmrożony strasznym przecuciem, „*Pour-quapas?*” – odpowiedział mi po francusku. Do dzisiaj nie udało mi się wyjaśnić, co też to mogłoby znaczyć...

– To znaczy „Dlaczego by nie?” – wyjaśniłem.

Gospodarz z żalością pokiwał głową.

– Tak też myślałem... No a to jego sakwojaż. Nie pozwoliłem policji grzebać w jego rzeczach...

– A to jest jego gazeta – powiedziałem. Widziałem wyraźnie, że to była przedwczorajsza „Muir Gazette”.

– Nie – powiedział Cenevert. – Gazeta oczywiście nie jest jego.

– Też odnoszę takie wrażenie – przyznałem.

– To oczywiście nie jest jego gazeta – powtórzył. – I fajkę naturalnie palił tu nie on, ale ktoś inny.

Wymruczałem coś na temat niedostatecznego poszanowania pamięci zmarłych.

– Nie – w zamyśleniu zaprzeczył właściciel. – To znacznie bardziej skomplikowane, panie Glebsky. Ale o tym porozmawiamy innym razem. Teraz pójdziemy do pańskiego pokoju.

Jednakże zanim wyszliśmy, Cenevert zajrzał do łazienki, otworzył i zamknął szafę, a następnie podszedł do okna i uderzył dłonią w portiery. Według mnie miał ogromną ochotę zajrzeć również pod łóżko, ale się opanował. Wyszliśmy na korytarz.

– Inspektor Segut kiedyś mi opowiadał – powiedział gospodarz po chwili milczenia – że jego specjalnością byli tak zwani kasiarze. A pańską, oczywiście jeśli to nie sekret?

I otworzył przede mną drzwi pokoju numer 4.

– Bardzo nieciekawa: przestępstwa służbowe, malwersacje, fałszerstwa, podrabianie dokumentów...

Pokój spodobał mi się od razu. Wszystko w nim lśniło czystością, powietrze było świeże, na stole ani pyłka, za wymytnym oknem śnieżna równina i liliowe góry.

– Szkoda – powiedział gospodarz.

– Dlaczego? – zapytałem z roztargnieniem i zajrzałem do sypialni. Tu jeszcze gospodarowała Kaisa. Moja walizka była otwarta, rzeczy starannie poukładane i porozwieszane. Kaisa właśnie wzbijała poduszki.

– A zresztą ani trochę nie szkoda – oświadczył właściciel. – Czy nie zdarzało się panu dostrzegać, na ile to, co nieznanne, ciekawsze jest od tego, co wiemy na pewno? Nieznane pobudza myśl, zmusza krew, aby szybciej krążyła w żyłach, rodzi zdumiewające fantazje, obiecuje, ludzi. Niewiadome to niczym błędny ognik w czarnej otchłani nocy. A kiedy zostaje już poznane, staje się płaskie, szare i już nie daje się odróżnić od szarości dnia powszedniego.

– Jest pan poetą, Alec – powiedziałem z jeszcze większym roztargnieniem. Patrzyłem na Kaisę i świetnie rozumiałem Seguta. Pulpecik na tle pościeli wyglądał nadzwyczaj kusząco. Było w niej coś nieznanego, coś jeszcze niepoznanego...

– No to jest pan w domu – powiedział właściciel. – Proszę się rozlokować, odpoczywać

i w ogóle robić to, na co ma pan ochotę. Narty, sprzęt, wszystko jest na dole do pańskiej dyspozycji. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się zwracać bezpośrednio do mnie. Obiad jest o szóstej, a jeśli ma pan ochotę teraz coś przegryźć albo się nieco pokrzepić, mam na myśli alkohol, proszę powiedzieć Kaisie. Życzę dobrego wypoczynku.

I wyszedł.

Kaisa ciągle jeszcze ścieliła łóżko, doprowadzając je do niespotykanej doskonałości, ja zaś wyjąłem z paczki papierosa, zapaliłem go i podszedłem do okna. Byłem sam. Dzięki niebiosom i Wszechmogącemu nareszcie byłem sam! Wiem, że to nieładnie tak mówić i nawet myśleć, ale jak okropnie trudno w naszych czasach zorganizować coś tak, żeby chociaż tydzień, chociaż jedną dobę, chociaż parę godzin spędzić w samotności! Nie, ja kocham swoją żonę, kocham swoje dzieci, nie żywię żadnych niedobrych uczuć wobec swoich krewnych i większość moich przyjaciół i znajomych to najzupełniej taktowni i przyjemni w obejściu ludzie. Ale kiedy dzień w dzień, o każdej godzinie nieustannie kręcą się wokół mnie, zmieniając jeden drugiego i nie ma żadnej nawet najmniejszej szansy, żeby się ich pozbyć, zostać samemu, gdzieś się zamknąć, wyłączyć... Sam tego nie znalazłem, ale mój syn gdzieś wyczytał, że podstawowym nieszczęściem współczesnego człowieka jest osamotnienie i niemożność porozumienia się z innymi ludźmi. Nie wiem, nie wiem. Albo wszystko to wymysły poetów, albo ja po prostu mam pecha. W każdym razie w moim przypadku dwa tygodnie samotności to właśnie to, czego mi potrzeba. I żeby nie było niczego takiego, co mam obowiązek zrobić, a tylko to, co robić mam ochotę. Papierosa zapalę wyłącznie dlatego, że mam ochotę, a nie dlatego, że ktoś podsuwa mi pod nos papierośnicę. I którego nie zapalę, jeśli nie będę chciał, właśnie dlatego, że nie chcę, a wcale nie dlatego, że madame Seltz nie znosi tytoniowego dymu... Kieliszek brandy przy kominku to nieźle. To rzeczywiście dobry pomysł. W ogóle chyba będzie mi tu nie najgorzej. Wspaniale! Jest mi dobrze samemu z sobą, z moim ciałem, jeszcze stosunkowo młodym, jeszcze silnym. Będę mógł pomknąć na nartach po skrzypiącym śniegu przez całą równinę aż pod niebieskawe zbocza gór. Wtedy będzie już zupełnie cudownie...

– Czy coś przynieść? – zapytała Kaisa. – Pan sobie życzy... Spojrzałem na nią i Kaisa znowu zasłoniła twarz dłonią. Miała na sobie obcisłą pstrokatą sukienkę i malutki koronkowy fartuszek. Jej obnażone ramiona były białe i pełne, a szyję otaczał sznur drewnianych koralii.

– Kto tu u was teraz mieszka? – zapytałem.

– Gdzie?

– U was. W hotelu.

– W hotelu? W naszym? Mieszkają tu różni.

– Konkretnie – kto?

– Kto? Mieszkają pan Moses z żoną. W jedyńce i w dwójce. I w trójce też. Tylko że w trójce nie mieszkają. A może to córka. Kto ich tam wie. Taka piękna, ciągle tylko patrzy tymi swoimi

oczami...

– Tak, tak – powiedziałem, żeby ją zachęcić.

– Jeszcze pan Simonet mieszka... Tu, naprzeciwko. Ciągłe gra w bilard i łązi po ścianach.

Figlarz, tylko że jakby jakiś smętny. Na tle psychicznym. – Kaisa znowu się zaczerwieniła.

– A kto jeszcze? – zapytałem.

– Pan du Barnstockre. Hipnotyzer z cyrku...

– Barnstockre? Ten sam?

– Nie wiem. Może i ten sam. Hipnotyzer... I Brune.

– Co za Brune?

– A ten z motocyklem. W spodniach. Też figlarz, chociaż jakiś młody.

– Tak – powiedziałem. – To już wszyscy?

– Jeszcze jeden mieszka. Niedawno przyjechał. Tylko że on to tylko tak... Nie tak jak wszyscy. Nie śpi, nie je, tylko pokój zajmuje...

– Nie rozumiem – przyznałem szczerze.

– A tego to nikt nie rozumie. Zajmuje pokój i już. Jak na postoj. Gazety czyta. Niedawno ukradł pantofle pana du Barnstockre'a... Ślady zostawia...

– Jakie? – Bardzo chciałem ją zrozumieć.

– Mokre. Idą przez cały korytarz. I jeszcze przyzwyczaił się na mnie dzwonić. To z jednego numeru, to z drugiego. Przyjdę, a tam nikogo nie ma.

– No dobrze – powiedziałem z westchnieniem. – Nie rozumiem cię, Kaisa. Może to i lepiej. Lepiej pójde sobie pod prysznic.

Zgniotłem niedopałek w dziewiczo czystej popielniczce i poszedłem do sypialni po bieliznę. Położyłem tam na stoliku przy wezglowiu kilka książek i na moment przyszło mi do głowy, że chyba raczej niepotrzebnie je tu przywozłem. Zrzuciłem buty, wsunąłem nogi w kapcie, zabrałem ręcznik kąpielowy i poszedłem do łazienki. Kaisa już sobie poszła, popielniczka na stole znowu była dziewiczo czysta. Na korytarzu było pusto, skądś dobiegał stukot bilardowych kul – najpewniej zabawiał się tak smętny figlarz na tle psychicznym. Jak mu tam... Simonet, zdaje się.

Drzwi do łazienki znalazłem na podeście schodów i te drzwi okazały się zamknięte. Czas jakiś stałem niezdecydowany, ostrożnie przekręcając plastikową klamkę. Ktoś niespiesznie ciężkim krokiem przeszedł korytarzem. Można by oczywiście zejść do łazienki na parterze, pomyślałem. A można i nie schodzić. Można najpierw pojeździć trochę na nartach. Z roztargnieniem zagapiłem się na drewniane schody prowadzące najwidoczniej na dach. Albo na przykład wejść na dach i zachwycić się pięknym widokiem. Podobno są tu nieopisanie piękności wschody i zachody słońca. Ale jednak to świństwo, że łazienka jest zamknięta. Może ktoś tam jest? Nie, cisza, nic nie słyhać... Jeszcze raz nacisnąłem klamkę. E, dam sobie spokój.



Bóg z nim, z prysznicem. Jeszcze zdążę. Zawróciłem i poszedłem do siebie.

Coś się w moim pokoju zmieniło, poczułem to od razu. Po sekundzie zrozumiałem – pachniało tytoniem do fajki, identycznie jak w pokoju muzeum. Natychmiast zajrzałem do popielniczki. Żarzącej się fajki tam nie było – za to była kupka popiołu przemieszana z drobinami tytoniu. Na postoju, przypomniałem sobie. Nie je, nie pije, tylko ślady zostawia...

I wtedy tuż obok mnie ktoś przeciągle westchnął. Z sypialni, stukając pazurami, leniwie wyszedł bernardyn Lelle, popatrzył na mnie z uśmiechem i się przeciągnął.

– Ach, więc to ty tu palisz? – zapytałem.

Lelle mrugnął do mnie i pokręcił głową. Jakby się opędzał od muchy.

## Rozdział II

Sądząc ze śladów na śniegu, ktoś tu już próbował jeździć – odjechał jakieś pięćdziesiąt metrów, przewracając się na każdym kroku, następnie wrócił, zapadając się po kolana, niosąc deski i kijki w rękach, upuszczając je na ziemię, podnosząc i znowu upuszczając – wydawało się, że nad tym śniegiem, poranionym, całym w bliznach do tej pory wiszą jeszcze zamrożone przekleństwa. Ale dalej śnieżna pokrywa była czysta i nietknięta jak świeżo wykrochmalone prześcieradło.

Poskakałem przez chwilę w miejscu, wypróbując wiązania, wydałem z siebie radosny okrzyk i popędziłem na spotkanie słońca, bezustannie zwiększając tempo, mrużąc oczy od blasku i rozkoszy, z każdym wydechem wyrzucając z siebie nudę zadymionych gabinetów, zbutwiałych dokumentów, beznadziejność płaczliwych przestępców i zrządzających zwierzchników, smętek politycznych sporów i brodatych dowcipów, monotonną krzątanię żony i najazdy dorastających dzieci... posępne zabłocone ulice, śmierdzące lakiem korytarze, puste paszce kas pancernych, ponurych jak martwe czołgi, niebiesciutkie wypłowiałe tapety w jadalni, różowiutki wypłowiałe tapety w sypialni i pochłapane atramentem żółciutki tapety w pokoju dziecinnym... Z każdym wydechem wyzwalałem się od samego siebie, urzędowego, przerażająco moralnego, do obłędu posłusznego prawu człowieka w mundurze z błyszczącymi guzikami, troskliwego męża i przykładowego ojca, gościnnego kolegi i serdecznego krewniaka, ciesząc się, że wszystko to opuszcza mnie, i łudząc się nadzieją, że opuszcza bezpowrotnie, że od tej chwili życie będzie lekkie i czyste jak kryształ, będzie biegło w młodym, wesołym, szalonym tempie. O, jak to wspaniale, że tu przyjechałem!... Niech żyje Segut, brawo, Segut, dzięki ci, Segut, chociaż walisz swoich kasiarzy po mordach w czasie przesłuchań... Ach, jaki ja jeszcze jestem lekki, zwinny, silny, mogę długo pędzić właśnie tak, po idealnej prostej, sto tysięcy kilometrów, a mogę i tak – ostro w prawo, ostro w lewo, odrzucając nartami tony śniegu. A przecież już od trzech lat nie jeździłem na nartach, od czasu kiedy kupiliśmy ten przeklęty nowy dom, na cholere myśmy to zrobili, na diabła nam ten przytułek na starość, całe życie człowiek pracuje na starość... A do diabła z tym wszystkim, nie chcę o tym teraz myśleć, do diabła ze starością, do diabła z domem i do diabła z tobą, Peter, Peter Glebsky, urzędniku miłujący prawo, niechaj cię Pan Bóg ma w swojej opiece...

Kiedy fala początkowego entuzjazmu opadła, stwierdziłem, że stoję przy drodze, mokry, zadyszany, od stóp do głów oblepiony śniegiem. To zdumiewające, jak szybko mija entuzjazm. Gryźć się, trapić, zadrećcać można godzinami, dniami i nocami, a entuzjazm przychodzi i niezwłocznie mija, nic z niego nie zostaje oprócz poczucia skrępowania, mokrych pleców i drżących od niedawnego wzburzenia mięśni. Proszę, jeszcze mi uszy zatkało od wiatru... Zdjąłem rękawiczkę, wsadziłem palec w ucho, wytarłem twarz i nagle usłyszałem hałaśliwy

warkot, jak gdyby tuż przy mnie zamierzał wylądować sportowy samolot. Ledwie zdążyłem przetrzeć okulary, kiedy śmignął obok mnie nie samolot, rzecz jasna, tylko olbrzymi motocykl, należący do gatunku tych właśnie, które przebijają na wylot mury i mają na swoim koncie więcej śmiertelnych ofiar niż wszyscy mordercy, bandyci i gangsterzy razem wzięci. Motocykl obsypał mnie fontanną śniegu, okulary znowu mi zalepiło, ale jednak zdołałem zauważyć chudą, przygiętą sylwetkę, rozwiane czarne włosy i sterczący jak deska koniec czerwonego szala... Za jazdę bez kasku, pomyślałem automatycznie, pięćdziesiąt koron grzywny i odebranie prawa jazdy na miesiąc... Zresztą nie mogło być nawet mowy, żeby dostrzec numer – nie widziałem nawet hotelu i połowy doliny na dodatek – śnieżny obłok wznosił się do samego nieba. Zresztą, co mnie to obchodzi! Odepchnąłem się kijkami i zjechałem drogą w ślad za motocyklem w kierunku hotelu.

Kiedy dobiegłem, motocykl stygł przed werandą. Obok na śniegu poniewierały się olbrzymie skórzane rękawice z rozcięciami na boku. Wbiłem narty w zaspę, otrzepałem się i ponownie spojrzałem na motocykl. Jaka to złowieszczą maszyna! Nieodparcie nasuwa człowiekowi myśl, że w przyszłym sezonie hotel będzie się nazywał Pod Poległym Motocyklistą. Właściciel weźmie nowo przybyłego gościa za rękę i powie, wskazując na dziurę w murze: „W tym miejscu. Właśnie w tym miejscu wpadł na ścianę z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i przebił budynek na wylot. Ziemia zadrżała, kiedy wpadł do kuchni, tocząc przed sobą czterdzieści dwie cegły...” Dobra rzecz – reklama, pomyślałem, wchodząc na górę. Wejdę teraz do swojego pokoju, a za moim stołem rozsiadł się szkielec z dymiącą fajką w zębach, przed nim firmowa nalewka na muchomorach, trzy korony za litr.

W środku holu stał nieopisanie długi i bardzo przygarbiony człowiek w czarnym fraku. Ręce trzymał za plecami i surowo prawił coś chudemu, zwinnemu stworzeniu nieokreślonej płci, wykwinnie rozpartemu w głębokim fotelu. Stworzenie miało drobną bladą buzię do połowy zasłoniętą wielkimi ciemnymi okularami, masę czarnych skudłanych włosów i puszysty czerwony szal.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, długi człowiek zamilkł i odwrócił się w moją stronę. Okazało się, że ma czarną muszkę i wyjątkowo szlachetne rysy twarzy ukoronowane nie mniej arystokratycznym nosem niebywałego kształtu. Taki nos mógł mieć tylko jeden człowiek i ten człowiek nie mógł nie być tą właśnie znakomitością. Przez sekundę wpatrywał się we mnie, jakby nie wierząc własnym oczom, następnie złożył wargi w ciup i wyciągając wąską białą dłoń, ruszył mi na spotkanie.

– Du Barnstockre – oznajmił śpiewnie. – Do pańskich usług.

– Czyżby ten słynny du Barnstockre? – zapytałem, ściskając jego rękę z niekłamany szacunkiem.

– Ten, właśnie ten – odpowiedział. – Z kim mam honor?

Przedstawiłem się ogarnięty jakąś idiotyczną nieśmiałością, która nam policjantom raczej nie jest właściwa. Przecież na pierwszy rzut oka było jasne, że taki człowiek nie może nie ukrywać swoich dochodów i zeznania podatkowe niewątpliwie wypełnia dosyć mądrze.

– Jakie to śliczne! – Du Barnstockre złapał mnie nagle za kłapy. – Inspektorze! Gdzie pan to znalazł? Brune, dziecię moje, popatrz, jakie to śliczne!

W palcach trzymał fiołek. I zapachniało fiołkiem. Zmusiłem się do okazania podziwu, chociaż nie lubię takich sztuczek. Stworzenie w fotelu ziewnęło na całą szerokość małych ust i przerzuciło jedną nogę przez poręcz fotela.

– Z rękawa – oznajmiło ochryłym basem. – Chałtura, wujku.

– Z rękawa! – smutno powtórzył du Barnstockre. – Nie, Brune, to byłoby zbyt prymitywne. To rzeczywiście byłaby chałtura.

Położył fiołek na otwartej dłoni, popatrzył nań, uniósł brwi i fiołek znikł. Zamknąłem usta i potrząsnąłem głową. Zabrakło mi słów.

– Pan po mistrzowsku jeździ na nartach, panie Glebsky – mówił dalej du Barnstockre. – Obserwowałem pana przez okno. I, muszę przyznać, doznałem prawdziwej przyjemności.

– Ależ skądże! – bąknąłem. – Kiedyś jeździłem...

– Wujku – odezwało się nagle stworzenie z głębin fotela. – Lepiej byś stworzył papierosa.

Du Barnstockre jakby się opamiętał.

– Ach – powiedział – pozwoli pan przedstawić sobie, panie Glebsky, to jest Brune, jedyna latorośl mego ukochanego nieboszczyka brata... Brune, dziecię moje!

Dziecię niechętnie wylazło z fotela i zbliżyło się do nas. Włosy miało bujne, dziewczęce, może zresztą nie dziewczęce, ale jeśli można tak powiedzieć, młodzieżowe. Nogi obciążone elastykami były chude, chłopięce, a zresztą, być może, zupełnie przeciwnie – zgrabne, dziewczęce. Kurtka zaś była o co najmniej trzy numery za duża. Latorośl obojętnie uśmiechnęła się do mnie delikatnymi różowymi wargami i zainteresowała się ochryple:

– Nieźle żeśmy pana postraszyli, prawda? Tam przy drodze...

– My? – zapytałem.

– No, nie my, oczywiście. Bucefał. On to potrafi... Okulary doszczętnie mu zalepił – zawiadomiła wujka.

– W danym przypadku – uprzejmie wyjaśnił du Barnstockre – Bucefał to motocykl, wstrętne i niebezpieczne maszyna, która powoli mnie zabija przez ostatnie dwa lata i koniec końców, jak czuję, bez wątpienia wpędzi mnie do grobu.

– Papierosa... – przypomniało dziecię.

Du Barnstockre smętnie pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce. Kiedy je znowu złożył, między palcami tkwił zapalony papieros, który został wręczony latorośli. Latorośl zaciągnęła się i kapryśnie burknęła:

– Znowu z filtrem...

– Pan zapewne ma ochotę wziąć prysznic po tym wspaniałym suszowaniu – powiedział du Barnstockre. – Niedługo będzie obiad...

– Tak – powiedziałem. – Oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

To była dla mnie wielka ulga – ucieczka z tego towarzystwa. Nie czułem się dobrze. To przez zaskoczenie. Pomimo wszystko słynny magik na arenie to jedno, a w życiu prywatnym jak się okazuje, zupełnie coś innego. Ukłoniłem się i przeskakując po trzy stopnie, dotarłem na swoje piętro.

Korytarz nadal był pusty, gdzieś daleko wciąż postukiwały kule bilardowe. Przekłeta łazienka ciągle była zamknięta. Byle jak umyłem się u siebie w pokoju, przebrałem, wziąłem papierosa i padłem na kanapę.

Ogarnęło mnie przyjemne zmęczenie i chyba nawet zdrzemnąłem się parę minut. Rozbudził mnie czyjś pisk i złowrogi szlochający rechot na korytarzu. Podskoczyłem. W tej samej chwili zapukano do drzwi i głos Kaisy zamiauczał: „Na obiad proszę!” Odezwałem się w tym sensie, że tak, tak, zaraz zejść, spuściłem nogi z kanapy, szukając pantofli. „Na obiad proszę!” – dobiegło z oddali, a potem jeszcze raz: „Na obiad proszę!”, a potem znowu krótki pisk i potępieńczy rechot. Nawet chyba usłyszałem brzęk zardzewiałego łańcucha.

Uczesałem się przed lustrem, przymierzyłem kilka wyrazów twarzy, a więc: roztargniona uwaga, bardzo męski, zamknięty w sobie specjalista, prostoduszna gotowość do zawarcia wszelkich znajomości i uśmiezek z gatunku „hę, hę”. Nic nie wydało mi się odpowiednie i dlatego nie trując się więcej, włożyłem do kieszeni papierosa dla latorośli i wyszedłem na korytarz. Wyszedłem i osłupiałem.

Drzwi do pokoju naprzeciwko były otwarte. U góry, opierając się stopami o jedną futrynę, a plecami o drugą, zawisł młody człowiek. Jego poza przy całej nienaturalności wydawała się zupełnie niewymuszona. Patrzył na mnie z góry, szczyrzył długie, żółte zęby i salutował po wojskowemu.

– Dzień dobry – powiedziałem po chwili milczenia. – Pomóc panu?

Wtedy człowiek ten miękko jak kot zeskoczył na podłogę i w dalszym ciągu salutując, stanął przede mną na baczność.

– Mam zaszczyt, inspektorze – powiedział. – Pan pozwoli, że się przedstawię: porucznik cybernetyki Simon Simonet.

– Spocznij – powiedziałem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Właściwie jestem fizykiem – powiedział Simonet – ale „porucznik cybernetyki” brzmi prawie tak dobrze jak „porucznik infanterii”. To bardzo śmieszne. – I nieoczekiwanie wybuchnął tym samym okropnym szlochającym rechotem, w którym zwidywały się wilgotne lochy, niezmywalne plamy krwi i brzęk zardzewiałych łańcuchów na przykutych do skały szkieletach.

– Co pan tam robił na górze? – zapytałem, kiedy już przemogłem zdumienie.

– Trenowałem – odpowiedział. – Przecież jestem alpinistą.

– Poległym – zażartowałem i natychmiast pożałowałem, bo natychmiast spadła na mnie lawina pozagrobowego rechotu.

– Nieźle, nieźle jak na początek – powiedział, ocierając oczy. – Nie, ja jeszcze jestem żywy. Szczerze mówiąc, przyjechałem tu, żeby połaźić po skałach, ale w żaden sposób nie mogę jakoś do nich dotrzeć. Wszędzie śnieg. Więc wspinam się na drzwi, na ściany... – Nagle zamilkł i ujął mnie pod rękę. – Właściwie przyjechałem odpocząć. Jestem przemęczony. Projekt „Midas”, słyszał pan może? Ściśle tajne. Cztery lata bez urlopu. No więc lekarze przepisali mi cykl pozytywnych emocji. – Znowu straszliwie zarechotał, ale już zbliżyliśmy się do jadalni. Simonet porzucił mnie i podążył do stolika, na którym stały zakąski. – Niech pan się trzyma mnie, inspektorze! – ryknął w biegu. – Niech pan się spieszy, inaczej przyjaciele i znajomi Poległego zjedzą cały kawior...

Jadalnia była ogromna, miała pięć okien. W środku ustawiono ogromny owalny stół na jakieś dwadzieścia osób; wspaniały poczerniały ze starości bufet błyskał srebrnymi kubkami, mnóstwem luster i różnobarwnymi butelkami; obrus na stole wykrochmalony, zastawa – z przepięknej porcelany, nakrycia srebrne i szlachetnie poczerniałe, ale przy tym wszystkim obyczaj panowały tu najwidoczniej niezmiernie demokratyczne. Na stoliku obok stały zakąski – bierz sobie, co zdążysz. Na drugim stoliku, nieco mniejszym, Kaisa ustawiała fajansowe wazy z jarzynową zupą i bulionem – sam sobie wybierz i nalej. Dla tych, którzy chcieli się odświeżyć – bateria butelek na bufecie: brandy, irlandzki dzin, piwo i specjalna nalewka (na płatkach szarotek, jak mnie zapewniał Segut).

Przy stole siedzieli już du Barnstockre i latorośl jego nieboszczyka brata. Du Barnstockre wytwornie mieszał srebrną łyżeczką bulion w talerzu i z wyrzutem zezował na latorośl, która położywszy na stole łokcie, żarłocznie pochłaniała zupę jarzynową.

Na honorowym miejscu królowała nieznaną mi jeszcze dama dziwnej i olśniewającej urody. Lat mogła mieć ni to dwadzieścia, ni to czterdzieści, ramiona delikatne, smagłe, błękitnawe, szyję łabędzia, ogromne półprzymknięte oczy, długie rzęsy, wysoko upięte włosy, bezcenny diadem – była to niewątpliwie pani Moses, i niewątpliwie ten nieco prostacki table d'hôtel nie był dla niej odpowiednim miejscem. Takie kobiety widywałem dotychczas tylko na fotosach w pismach dla wyższych sfer oraz na okładkach bestsellerów.

Właściciel obszedł już stół i właśnie zbliżał się do mnie z tacką w rękę. Na tacce w kryształowym rżniętym kieliszku groźnie błękitniała słynna firmowa nalewka na szarotkach.

– Chrzest bojowy! – oznajmił właściciel, kiedy już znalazł się przy mnie. – Niech pan wybierze sobie coś ostrego na zakąskę.

Usłuchałem. Położyłem na talerzu oliwki i kawior. Potem spojrzałem na właściciela

i dołożyłem jeszcze korniszona – takiego maleńkiego marynowanego ogórka. Potem spojrzałem na nalewkę i wycisnąłem na kawior pół cytryny. Wszyscy patrzyli na mnie. Wziąłem kieliszek, zrobiłem potężny wydech (jeszcze kilka dusznych gabinetów i korytarzy) i wlałem nalewkę do gardła. Zatrzęsło mną. Wszyscy patrzyli na mnie, więc zatrzęsło mną tylko wewnętrznie, i odgryzłem połowę korniszona. Właściciel chrząknął. Simonet również chrząknął. Pani Moses powiedziała kryształowym głosem: „O, to prawdziwy mężczyzna”. Uśmiechnąłem się i wsadziłem do ust drugą połowę korniszona, gorzko żałując, że nie jest wielkości dyni. „Ale zasuwaj!” – donośnie oświadczyło dziecię.

– Pozwoli pani – powiedział właściciel do pani Moses – że przedstawię pani inspektora Glebsky’ego. – Popielata wieża u szczytu stołu z lekka się zachwiała, uniosły się i opadły zdumiewające, cudowne rzęsy. Skłoniłem głowę. Z przyjemnością zgiąłbym się do ziemi – tak mnie paliło w brzuchu, ale pani Moses uśmiechnęła się i od razu poczułem ulgę. Odwróciłem się, dokończyłem zakąskę i poszedłem po zupę. Gospodarz posadził mnie naprzeciwko Barnstockre’ów, tak że po mojej prawej stronie, niestety zbyt daleko, znalazła się pani Moses, a po lewej, niestety zbyt blisko – posępny figlarz Simonet gotowy w każdej chwili wybuchnąć swoim potwornym rechotem.

Rozmową przy stole kierował właściciel. Rozmawiano o zagadkowym i niepoznawalnym, a mówiąc ściśle o tym, że w hotelu ostatnimi dniami dzieją się dziwne rzeczy. Jako nowicjuszowi zreferowano mi szczegóły. Du Barnstockre wyznał, że istotnie dwa dni temu zginęły mu pantofle, które znaleziono dopiero wieczorem w pokoju muzeum. Simonet z chichotem oznajmił, że ktoś czytuje jego książki, przeważnie literaturę specjalistyczną, i robi na marginesach notatki, przeważnie absolutnie kretyńskie. Właściciel, zamierając z zachwytem, opowiedział o dzisiejszej historii z dymiącą fajką i gazetą i dodał, że nocami ktoś snuje się po domu. Słyszał to na własne uszy i nawet raz widział białą postać przemykającą od drzwi wejściowych przez hol w kierunku schodów. Pani Moses bez przesadnej skromności z ochotą potwierdziła te informacje i dodała, że wczoraj w nocy coś zajrzało do jej pokoju przez okno. Simonet pochwalił się, że w nocy śpi jak zabity i niczego takiego w ogóle nie słyszał. Ale już dwukrotnie zauważył, że jego buty narciarskie nieustannie są przemoczone, jakby ktoś nocą biegał w nich po śniegu. Ja, ciesząc się w duszy, opowiedziałem o popielniczce i bernardynie, a dziecię ochryple podało do wiadomości wszystkich obecnych, że ono nic ma specjalnie nic przeciwko tym figlom – migłom, ale zdecydowanie nie znosi, kiedy obcy ludzie wylegają się w jego, dziecięcia, pościeli. Przy tym złowieszczo wycelowało we mnie swoje okulary i ucieszyłem się, że przyjechałem dopiero dzisiaj.

Atmosferę rozkosznej grozy, która zapanowała przy stole, naruszył pan fizyk.

– Pewnego razu przyjechał do nieznanego sobie miasta pewien major – zawiadomił nas. – Zatrzymał się w hotelu i polecił wezwać...

Nagle zamilkł i rozejrzał się dookoła.

– Pardon – powiedział – nie jestem pewien, czy w obecności dam – tu skłonił się w stronę pani Moses – jak również pa... e... e... pacholąt – tu spojrzął na latorośl – e... e...

– A, ten głupawy dowcip – powiedziało dziecię lekceważąco.

– Wszystko pięknie, ale nie dzieli się na pół. Ten?

– Właśnie! – zawołał Simonet i wybuchnął śmiechem.

– Dzieli się na pół? – zapytała pani Moses z uśmiechem.

– Nie dzieli się! – gniewnie sprostowało dziecię.

– Ach, nie dzieli się? – zdumiała się pani Moses. – A co się właściwie nie dzieli?

Dziecię otworzyło już usta, ale du Barnstockre wykonał niedostrzegalny gest i usta zostały zatkane wielkim rumianym jabłkiem. Dziecię natychmiast ze smakiem odgryzło wielki kęs.

– Ostatecznie dziwne rzeczy dzieją się nie tylko u nas w hotelu – powiedział du Barnstockre.

– Wystarczy na przykład wymienić niezidentyfikowane obiekty latające...

Dziecię z łoskotem odsunęło krzesło i nadal z chrzęstem gryząc jabłko, skierowało się do wyjścia. Diabli wiedzą, co to takiego! Chwilami ta zgrabna figurka wydawała mi się uroczą dziewczyną, ale wystarczyło złagodnieć i dziewczyna gdzieś zniknęła, a zamiast niej pojawiał się bezczelny wyrostek – z tych, którzy hodują pchły na plażach i narkotyzują się w publicznych toaletach. Ciągle jeszcze zastanawiałem się, kogo by tu zapytać, czy to chłopiec, czy dziewczyna, a du Barnstockre w dalszym ciągu szemrał:

– Giordano Bruno został spalony nienadaremnie. Kosmos niewątpliwie jest zamieszkały nie tylko przez nas. Zagadnienie polega wyłącznie na gęstości rozmieszczenia istot rozumnych we wszechświecie. Według ocen różnych uczonych – pan Simonet poprawi mnie, jeśli się mylę – w jednej tylko naszej galaktyce może istnieć do miliona zamieszkałych układów słonecznych. Gdybym był matematykiem, proszę państwa, spróbowałbym obliczyć prawdopodobieństwo tego chociażby, czy nasza Ziemia może stanowić obiekt czyichkolwiek naukowych obserwacji...

Samego du Barnstockre'a wypytywać, jakoś niezręcznie, myślałem. Zresztą zapewne i on sam dobrze nie wie. No skąd? Dziecię to dziecię... Uprzejmy właściciel z pewnością ma to gdzieś. Kaisa to idiotka. Zapytać Simoneta to znaczy narazić się na nową powódź upiornej wesołości... Zresztą o czym ja właściwie myślę? Co mnie to obchodzi? Może by zjeść jeszcze trochę pieczeni? Fakt, Kaisa jest głupia, ale gotować potrafi.

– ...Zgodzicie się – szemrał du Barnstockre – że sama myśl o tym, że czyjeś oczy starannie i uważnie studiują naszą staruszkę Ziemię poprzez kosmiczny ocean, jest zdolna sama przez się zainteresować naszą wyobraźnię...

– Obliczyłem – powiedział Simonet. – Jeżeli oni umieją odróżniać układy zaludnione od niezaludnionych, będzie to jedność minus „e” do potęgi minus jeden.

– Naprawdę tak właśnie będzie? – przeraziła się pani Moses, nagradzając Simoneta



zachwycającym uśmiechem.

Simonet zaśmiał się szcześliwie. Nawet podskoczył na krześle. Oczy mu zwilgotniały.

– A ile to wyniesie konkretnie? – zainteresował się du Barnstockre, przeczekawszy ową akustyczną lawinę.

– W przybliżeniu dwie trzecie – odpowiedział Simonet, wycierając oczy.

– Ale to przecież ogromne prawdopodobieństwo! – z żarem oświadczył du Barnstockre. – I ja to rozumiem tak, że prawie na pewno jesteśmy obiektem obserwacji.

W tym momencie drzwi do jadalni za moimi plecami załomotały i zadygotały, jakby je ktoś z wielką siłą próbował wyważyć.

– Do siebie! – krzyknął właściciel. – Proszę ciągnąć do siebie!

Odwrociłem głowę. W progu ukazała się zdumiewająca postać. Był to masywnie zbudowany niemłody mężczyzna o twarzy niewątpliwego buldoga, przyodziany w niesłychany strój przypominający średniowieczną kamizelę w kolorze łososiowym.

– Olga! – zaryczał, spoglądając przed siebie zmętniałymi oczami. – Zupa!

Jedną rękę trzymał za plecami, w drugiej zaś dzierżył smukły metalowy kubek. Powstało krótkie zamieszanie. Pani Moses z jakimś ubliżającym jej pośpiechem podbiegła do stolika z zupami, właściciel oderwał się od bufetu i zaczął wykonywać rękoma gesty oznaczające gotowość do wszelkich usług, a pan Moses, ponieważ niewątpliwie był to właśnie on, uroczyście podrygując policzkami, zaniósł swój kubek na miejsce vis-à-vis pani Moses i tam spoczął – cudem tylko nie chybił i nie usiadł obok krzesła.

– Co do pogody, proszę państwa, to dzisiaj pada śnieg – oznajmił. Był kompletnie pijany. Pani Moses postawiła przed nim zupę. Pan Moses surowym wzrokiem zajrzał do talerza i tyknął z kubka. – O czym mowa? – zasięgnął informacji.

– Zastanawialiśmy się nad możliwością wizyty na Ziemi gości z przestrzeni kosmicznej – wyjaśnił Barnstockre z miłym uśmiechem.

– Co takiego ma pan na myśli? – Pan Moses nadzwyczaj podejrzliwie wpatrywał się ponad swoim kubkiem w du Barnstockre'a. – Nie spodziewałem się tego po panu, Barn... Barn... du!

– O, to tylko czysta teoria! – zawołał du Barnstockre. – Pan Simonet obliczył nam prawdopodobieństwo...

– Bzdura – powiedział pan Moses. – Matematyka to nie nauka, panie Barns... Barnl... du! Kto to jest? – zapytał, wytrzeszczając na mnie prawe oko. Mętne jakieś takie oko, niesympatyczne.

– Panowie pozwolą – pospiesznie powiedział właściciel. – Pan Moses, inspektor Glebsky.

– Inspektor – zawarczał Moses. – Fałszywe pokwitowania, podrobione paszporty... No więc niech sobie pan zapamięta, Glebsky, mój paszport nie jest podrobiony. Ma pan dobrą pamięć?

– Nie narzekam – odpowiedziałem.

– No to niech pan nie zapomina... – Znowu surowo spojrzął na talerz i pociągnął z kubka. –

Dobra dziś zupa – oznajmił. – Olga, sprzątnij to i daj jakiegoś mięsa. No i dlaczego milczycie? Mówcie, mówcie, słucham was.

– A propos mięsa – natychmiast zgłosił się Simonet. – Pewien smakosz zamówił w restauracji filet...

– Filet. Tak! – z aprobatą powiedział pan Moses, próbując prze – kroić pieczeń jedną ręką. Z drugiej nie wypuszczał kubka.

– Kelner przyjmuje zamówienie, a smakosz, oczekując na ulubioną potrawę, przygląda się dziewczętom na estradzie...

– Śmieszne – powiedział pan Moses. – Na razie bardzo śmieszne. Za mało soli. Olga, podaj no mi sól. No i co?

Simonet się zawahał.

– Pardon – powiedział niezdecydowanie. – Nabrałem poważnej obawy...

– Tak. Obawy – z zadowoleniem powtórzył pan Moses. – A co dalej?

– To już wszystko – smętnie powiedział Simonet i opadł na oparcie krzesła.

Moses wzniosł oczy na Simoneta.

– Jak to wszystko? – zapytał z oburzeniem. – Czy mu przynieśli filet?

– Hm... Właściwie... właściwie to nie – powiedział Simonet.

– To bezczelność – oświadczył Moses. – Należało wezwać maître d'hôtel. – Z obrzydzeniem odsunął od siebie talerz. – Wyjątkowo ohydłą historię opowiedział nam pan, panie Simonet.

– Historia jak historia – odparł z bladym uśmiechem Simonet. Moses pociągnął z kubka i zwrócił się do właściciela.

– Cenevert – powiedział. – Czy znalazł pan tego drania, co kradnie pantofle? Inspektorze! I tak pan tu zbija bąki. Jakiś łobuz kradnie pantofle i zagląda w okna. Niech się pan tym zajmie.

Chciałem odpowiedzieć, że zajmę się tym z pewnością, ale w tym momencie dziecię uruchomiło pod samymi oknami swojego Bucefała. Szyby w jadalni zabrzęczały, co utrudniło rozmowę. Wszyscy teraz patrzyli w talerze, a du Barnstockre, przyciskając rozczapierzoną dłoń do serca, na prawo i lewo rozdzielał nieme przeprosiny. Następnie Bucefał wydał z siebie grzmot już zupełnie nie do wytrzymania, za oknami wzleciała w niebo śnieżna chmura, ryk szybko się oddalił i po chwili przemienił się w ledwie dosłyszalne buczenie.

– Zupełnie jak Niagara – zadźwięczał kryształowy głos pani Moses.

– Jak na poligonie rakietowym! – zaprzeczył Simonet. – Bestialska maszyna.

Kaisa na palcach podeszła do pana Mosesa i postawiła przed nim karafkę z ananasowym syropem. Moses popatrzył na karafkę i pociągnął łyk z kubka.

– Co pan myśli o tych kradzieżach, inspektorze? – zapytał.

– Myślę, że to żarty kogoś z obecnych.

– Dziwne stanowisko – z dezaprobatą powiedział Moses.

– Bynajmniej – zaprotestowałem. – Po pierwsze, we wszystkich tych działaniach nie widać innego celu poza mistyfikacją. Po drugie, pies zachowuje się tak, jakby w domu byli tylko swoi.

– O tak! – oznajmił właściciel głuchym głosem. – Oczywiście w domu są tylko swoi. Ale on był dla Lelle’a nie tylko „swoim” człowiekiem. On był dla niego bogiem, proszę państwa!

Moses wytrzeszczył oczy na właściciela.

– Jaki on? – zapytał srogo.

– On. Poległy.

– Niech pan mi nie zawraca głowy – powiedział Moses. – A jeżeli pan wie, kto tu się zabawia w taki sposób, to niech mu pan poradzi, poważnie poradzi! – żeby przestał. Pan mnie dobrze rozumie? – Potoczył po nas przekrwionym okiem. – Inaczej ja też zacznę żartować! – zaryczał.

Zapadło milczenie. Moim zdaniem wszyscy próbowali sobie wyobrazić, czym się to skończy, jeżeli Moses też zacznie żartować. Nie wiem jak inni, ale ja osobiście uznałem sprawę za beznadziejną. Moses wpatrywał się w każdego z nas po kolei, nie zapominając pociągać z kubka. Absolutnie nie miałem sposobu, żeby zrozumieć, kim on jest i co tu robi. Dlaczego ma na sobie ten błazeński serdak? (Może już zaczął żartować?). I co jest w tym jego kubku? Dlaczego wciąż jest jakby pełny, chociaż, co widziałem na własne oczy, pociągał z niego ze sto razy?

Potem pani Moses odstawiła talerz, przytknęła serwetkę do cudownych warg i wznosząc oczy do sufitu, oświadczyła:

– Ach, jak ja kocham piękne zachody słońca! Ta feeria barw! Natychmiast poczułem potężny pociąg do samotności. Wstałem i powiedziałem stanowczo:

– Było mi niezwykle miło. Spotkamy się przy kolacji.

### Rozdział III

– Pojęcia nie mam, kto to jest – powiedział Cenevert, oglądając szklankę pod światło. – Zapisał się w mojej księdze jako handlowiec podróżujący prywatnie. Ale to na pewno nie handlowiec. Już prędzej oszalały alchemik, czarodziej, wynalazca...

Siedzieliśmy w salonie przed kominkiem. Czerwono żarzyły się węgle, fotele były autentycznie staroświeckie, wzbudzające zaufanie. Portwein był gorący, aromatyczny i z cytryną. Półmrok był przytulny, czerwony, swojski. Na dworze zaczęła się zamieć, w kominie pogwizdywało. W domu panowała cisza, tylko czasami z oddali, jak z cementarza, dobiegały wybuchy szlochającego rechotu i ostre jak wystrzał kłaśnięcia udanych karamboli. W kuchni Kaisa podzwaniała garnkami.

– Handlowcy są przeważnie skąpi – mówił dalej właściciel w zadumie – a pan Moses nie jest skąpy, o nie! „Czy nie byłby pan łaskaw poinformować mnie, czyim rekomendacjom zawdzięczam ten zaszczyt, że raczył pan wybrać mój hotel?” Zamiast odpowiedzi wyciągnął z portfela stukoronowy banknot, zapalił go zapalniczką, przypalił od niego cygaro, dym wydmuchnął mi w twarz i odpowiedział: „Jestem Moses, mój panie, Albert Moses! Mosesowi niepotrzebne są rekomendacje. Moses zawsze i wszędzie jest u siebie”. Co pan na to?

Zastanowiłem się.

– Miałem znajomego fałszerza, który zachowywał się mniej więcej tak samo, kiedy kazano mu pokazać dokumenty.

– Odpada – z zadowoleniem powiedział właściciel. – Pieniądze ma autentyczne.

– Więc może jakiś obłąkany milioner.

– Że milioner to jasne – powiedział właściciel. – Tylko kim on jest? Podróżuje dla przyjemności... prywatnie... Po mojej dolinie się nie podróżuje. Tu się przyjeżdża na narty albo na wspinaczkę. To ślepa dolina. Stąd nie ma drogi donikąd.

Nieomal leżałem w fotelu, krzyżując wyciągnięte nogi. Sprawiało mi niezwykłą przyjemność leżenie w takiej pozycji i rozważanie w najzupełniej poważnym tonie, kim też może być pan Moses.

– No, dobrze – powiedziałem. – Dolina bez wyjścia. A co robi w tej dolinie bez wyjścia sławny pan du Barnstockre?

– O, pan du Barnstockre to zupełnie inna sprawa. Przyjeżdża do mnie rokrocznie, już trzynasty raz z rzędu. Po raz pierwszy, kiedy hotel nazywał się jeszcze Szałas. Ma bzika na punkcie mojej nalewki. A pan Moses, ośmielę się zauważyć, stale jest na lekkiej bani, a tymczasem nie zamówił jeszcze ani razu żadnego alkoholu.

Chrząknąłem znacząco i pociągnąłem niezły łyk.

– Wynalazca – stanowczo powiedział właściciel. – Wynalazca albo czarownik.

– Wierzy pan w czarowników, panie Cenevert?

– Alec, gdyby pan był tak łaskaw. Po prostu Alec.

Uniosłem szklankę i wypilem jeszcze jeden spory łyk za zdrowie Aleca.

– W takim razie proszę do mnie mówić po prostu Peter.

Właściciel uroczyście skinął głową i wypił spory łyk za zdrowie Petera.

– Czy wierzę w czarnoksiężników? – zapytał. – Ja wierzę we wszystko, co mogę sobie wyobrazić, Peter. W czarowników, w Pana Boga, w diabła, w upiory... w latające talerze... Jeśli człowiek może to wszystko sobie wyobrazić, znaczy, że wszystko to gdzieś istnieje, bo inaczej po co naszemu mózgowi takie zdolności?

– Jesteś filozofem, Alec.

– Tak, zgadza się, Peter. Jestem filozofem i mechanikiem. Widziałeś moje perpetuum mobile?

– Nie. Czy ono pracuje?

– Czasami. Muszę je często zatrzymywać. Zbyt szybko zużywają się części... Kaisa! – wrzasnął nagle tak głośno, że aż się wzdrygnąłem. – Jeszcze jeden gorący portwein dla pana inspektora!

Zjawiała się Kaisa, bardzo zarumieniona i z lekka rozczochrana. Podała mi szklankę portweinu, dygnęła, zachichotała i zniknęła.

– Pulpecik – zamruczałem machinalnie. Bądź co bądź to już była trzecia szklanka. Alec zaśmiał się dobrodusznie.

– Nie sposób się jej oprzeć. Nawet pan du Barnstockre nie wytrzymał i uszczypnął ją wczoraj w podbródek. A to, co się dzieje z naszym fizykiem...

– Według mnie fizyk ma raczej ochotę na panią Moses.

– Pani Moses – w zamyśleniu powiedział właściciel. – A wiesz, Peter, mam dość poważne podstawy do przypuszczeń, że to nie pani i nie Moses...

Nie zaprzeczyłem. Też coś...

– Zauważyłeś już zapewne – mówił dalej Alec – że ona jest znacznie głupsza od Kaisy. A oprócz tego... – zniżył głos – według mnie Moses ją bije.

Wstrząsnąłem się.

– Jak to, bije?

– Moim zdaniem pejczem. Moses ma pejcz. Rodzaj dyscypliny. Jak tylko ją zobaczyłem, zadałem sobie pytanie, po co panu Mosesowi dyscyplina? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

– No wiesz, Alec – powiedziałem.

– Nie będę się upierał – mówił właściciel. – W żadnym wypadku nie będę się upierał. Ale w ogóle to o panu Mosesie ty pierwszy zacząłeś rozmowę, ja bym nigdy nie pozwolił sobie poruszyć takiego tematu. Ja mówiłem o naszym wielkim fizyku.

– Dobrze – zgodziłem się. – Porozmawiamy o wielkim fizyku.

– Przyjechał do mnie trzeci albo czwarty raz – powiedział Alec – i za każdym razem jest coraz bardziej wielki.

– Poczekaj – przerwałem mu. – Kogo ty właściwie masz na myśli?

– Pana Simonet, rzecz jasna. Czyżbyś naprawdę nigdy jeszcze nie słyszał tego nazwiska?

– Nigdy – powiedziałem. – A co, czy go kiedyś złapano z fałszywym kwitem na cudzy bagaż?

Gospodarz popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Wypada znać wielkich współczesnych uczonych – powiedział surowo.

– Mówisz to poważnie? – upewniłem się.

– Absolutnie.

– Ten posępny figlarz to ma być wielki uczoney?

Alec skinął głową.

– Tak – powiedział. – Rozumiem cię... Oczywiście – najpierw dobre maniery, a dopiero potem wszystko inne... Zresztą masz rację. Simonet jest dla mnie niewyczerpanym źródłem rozmyślań o rażącej niezgodności między zachowaniem człowieka, kiedy odpoczywa, a jego znaczeniem dla ludzkości, kiedy pracuje.

– Hm... – powiedziałem. To było jeszcze lepsze niż pejcz.

– Widzę, że mi nie wierzysz – powiedział gospodarz. – Ale muszę zwrócić ci...

Umilkł i poczułem, że nie jesteśmy sami. Odwróciłem głowę i spojrzałem w bok. To było jedyne dziecię nieboszczyka brata du Barnstockre'a. Pojawiło się zupełnie bezszelestnie i teraz siedziało w kucki obok Lelle'a i głaskało psa po głowie. Szkarłatne bliki rozżarzonych węgla odbijały się w ogromnych czarnych okularach. Dziecię było jakieś takie strasznie samotne, maleńkie i zapomniane przez wszystkich. Ledwie wyczuwalnie pachniało potem, benzyną i dobrymi perfumami.

– Taka okropna zamieć – powiedziało dziecię cienkim, żalonym głosem.

– Brune – poprosiłem. – Dziecko moje. Zdejmij na chwilę te straszne okulary.

– Po co? – smutnie zapytało dziecię.

Rzeczywiście, po co? – pomyślałem i powiedziałem:

– Chciałbym zobaczyć twój twarz.

– To zupełnie zbyteczne – powiedziało dziecię i poprosiło: – Proszę, niech pan mi da papierosa.

Jasne, to oczywiście dziewczyna. Bardzo miła dziewczyna. I ogromnie samotna. To straszne, samotność w takim wieku. Podałem jej paczkę papierosów, szcęknałem zapalniczką, chwilę szukałem w głowie, co by tu powiedzieć, i nie znalazłem. Jasne, to dziewczyna. Paliła jak dziewczyna, zaciągała się szybko i nerwowo.

– Trochę mi straszno – powiedziała. – Ktoś szarpał klamkę moich drzwi.

– Spokojnie – powiedziałem. – To na pewno był wujek.

– Nie – powiedziało dziecię. – Wujek śpi. Książka spadła mu na podłogę i leży z otwartymi ustami. I nie wiem dlaczego, nagle wydało mi się, że umarł.

– Kieliszek brandy, Brune? – zapytał właściciel głuchym głosem. – Trochę brandy przyda się w taką noc, nie sądzisz, Brune?

– Nie chcę – powiedziała Brune i wzruszyła ramionami. – Jeszcze długo będziecie tu siedzieć?

Nie miałem sił dłużej słuchać tego żałobnego głosu.

– Do diabła, Alec – powiedziałem. – Jesteś tu gospodarzem, czy nie? Czy naprawdę nie możesz kazać Kaisie, żeby spędziła tę noc z biedną dziewczyną?

– Hm.. – powiedział z powątpiewaniem właściciel, a mnie wydało się, że dziecię zachichotało.

– Albo coś w tym rodzaju... – dodałem już z mniejszym entuzjazmem.

– Ten pomysł mi się podoba – dziecię bardzo się ożywiło. – Kaisa to jest jak raz to, czego mi trzeba. Kaisa, albo coś w tym rodzaju.

Stropiony osuszyłem szklankę, a dziecię nagle precyzyjnie splunęło w kominek i tą samą drogą poszło w ogień niedopałek.

– Samochód – powiedziało ochryple. – Naprawdę nie słyszycie?

Właściciel wstał, złapał futrzaną kamizelkę i ruszył do wyjścia. Ruszyłem za nim.

Na dworze szalała prawdziwa zamieć. Przed werandą stał wielki czarny samochód, obok, w blasku reflektorów, jacyś ludzie wymachiwali rękoma i przeklinali.

– Dwadzieścia koron! – piszczełi falsetem. – Dwadzieścia koron i ani grosza mniej! Co, nie widzieliście, jaka to była droga?

– Za dwadzieścia koron mogę kupić ciebie razem z twoim pudłem! – wydzielali się w odpowiedzi.

Właściciel chyżo zbiegł z ganku.

– Panowie – zahuczał jego potężny głos. – To przecież błahostka!

– Dwadzieścia koron! Ja jeszcze muszę wrócić!

– Piętnaście i ani grosza więcej! Rzezimieszek! Daj mi swój numer, żebym go zapisał!

– Dusigrosz i tyle! Za piątaka gotów się powiesić!

– Panowie! Panowie!

Zrobiło mi się zimno, więc wróciłem do kominka, wziąłem szklankę i poszedłem do bufetu. W holu przystanąłem. Drzwi się rozwarły i w progu stanął ogromny ośnieżony mężczyzna z walizką w ręku. Powiedział „brr”, otrząsnął się gwałtownie i okazał się jasnowłosym wikingiem. Jego rumiana twarz była mokra, a rzęsy białe od śniegu. Kiedy mnie zauważył,

uśmiechnął się błyskawicznym uśmiechem, ukazując równe białe zęby, i powiedział miłym barytonem:

– Olaf Andvarafors. Albo po prostu Olaf.

Wymieniłem i ja swoje nazwisko. Drzwi znowu zgrzytnęły, pojawił się Cenevert z dwiema torbami podróżnymi, a za nim maleńki, zakutany po same oczy człowieczek, również cały oblepiony śniegiem i bardzo niezadowolony.

– Przekłęci złodzieje! – mówił histerycznym głosem. – Umówiliśmy się na piętnaście. Chyba to jasne dla każdego, po siedem i pół od łebka... Dlaczego dwadzieścia? Co za cholerne porządki w tym mieście? Ja, u diabła, naślę na niego policję!

– Panowie, panowie!... – uspokajał właściciel. – To przecież błahostka... Proszę tutaj, na lewo... Panowie!...

Maleńki człowieczek, dalej krzycząc coś o waleniu po mordzie i o policji, dał się zaciągnąć do biura, a wiking Olaf powiedział basem: „Skąpiradło...”, i zaczął się rozglądać z takim wyrazem twarzy, jakby oczekiwał, że go tu powitają rozentuzjasmowane tłumy.

– Kto to? – zapytałem.

– Nie wiem. Wzięliśmy razem jedną taksówkę. Drugiej nie było.

Zamilkł, patrząc ponad moim ramieniem. Odwróciłem się. Nic specjalnego nie zauważyłem. Tylko leciutko poruszała się portiera oddzielająca wejście do korytarza prowadzącego do salonu i do pokoi Mosesów. Zapewne z powodu przeciągu.



## Rozdział IV

Rano zamieć ucichła. Wstałem o świcie, kiedy wszyscy w hotelu jeszcze spali, wybiegłem w samych slipach na werandę i wydając gromkie, dziarskie okrzyki, natarłem się świeżym puszystym śniegiem, żeby zneutralizować ostatnie skutki trzech szklanek portweinu. Słońce zaledwie odrobinę wychynęło spoza grzbietów górskich i długi, granatowy cień hotelu leżał w dolinie. Zauważyłem, że trzecie okno po prawej stronie na piętrze jest szeroko otwarte. Widocznie ktoś nie chciał nawet w nocy rezygnować z uzdrawiającego górskiego powietrza.

Wróciłem do pokoju, ubrałem się, zamknąłem drzwi na klucz i zbiegłem do bufetu. Kaisa, czerwona i zgrzana, już się krzątała przy rozpalonej kuchni. Dała mi filiżankę kakao i kanapkę, a ja unieściłem jedno i drugie, stojąc przy bufecie i nasłuchując kątem ucha, jak właściciel nuci sobie piosenkę w swoim warsztacie. Żeby tylko nikogo nie spotkać, myślałem. Ranek jest zbyt cudowny, żeby go z kimś dzielić. Myśląc o tym poranku, o tym jasnym niebie, o złotym słońcu, o pustej puszystej dolinie, czułem się takim samym skąpcem jak wczorajszy zakutany po same brwi człowieczek, który urządził skandal z powodu pięciu koron. (Hincus, kurator do spraw nieletnich, na urlopie z powodu choroby). I nikogo nie spotkałem, jeśli nie liczyć bernardyna Lelle'a, który z życzliwą obojętnością obserwował, jak zapinam wiązania. I ten poranek, i jasne niebo, i puszysta biała dolina – wszystko to przypadło w udziale mnie jednemu.

Kiedy powróciłem do hotelu, żeby coś przegryźć po piętnastokilometrowym przebiegu, wszyscy byli już na nogach. Cała ludność wyszła na dwór, żeby się wygrzać na słońcu. Dziecię ze swoim Bucefałem ku radości widzów rozpruwało świeże zaspy – z obojga buchały kłęby pary. Kurator niepełnoletnich teraz, kiedy opuścił swój kozuch, okazał się żyłastym, trzydziestopięcioletnim facetem o wąskiej twarzy. Pohukując, opisywał wokół hotelu skomplikowane ósemki na nartach, zbytnio się zresztą nie oddalając. Sam pan du Barnstockre też stanął na nartach i był już cały utyłany w śniegu niczym nieprawdopodobnie długi, wychudzony bałwan. Jeśli zaś chodzi o wikinga Olafa, on z kolei demonstrował narty taneczne i poczułem się nieco urażony, kiedy zorientowałem się, że oto widzę autentycznego mistrza. Z płaskiego dachu na to wszystko patrzyli pani Moses w wytwornej futrzanej pelerynie, pan Moses w swojej kamizeli z nieodstępnym kubkiem w ręku i sam gospodarz coś im wyjaśniający. Poszukałem wzrokiem pana Simoneta. Wielki fizyk też powinien być gdzieś tu w pobliżu obecny – jego rzenie usłyszałem cztery kilometry od hotelu. I był – wisiał na szczycie absolutnie gładkiego słupa telegraficznego i salutował mi na powitanie.

W ogóle powitano mnie bardzo serdecznie. Pan du Barnstockre zwierzył się, że oto mam godnego siebie rywala, pani Moses z dachu głosem srebrnego dzwoneczka zwierzyła się, że pan Olaf jest przeuroczy, niczym młody bóg. To mnie dotknęło i niezwłocznie zrobiłem z siebie durnia. Kiedy dziecię, które dzisiaj bez wątplenia było chłopcem, takim dzikim aniołem,

niemoralnym i źle wychowanym, zaproponowało jazdę na nartach za motocyklem, rzuciłem wyzwanie wikingowi oraz losowi i pierwszy złapałem za koniec sznura.

Jakieś dziesięć lat temu uprawiałem ten sport, jednakże wtedy światowy przemysł najwidoczniej nie produkował jeszcze Bucefałów, a i ja sam byłem w lepszej formie. Krótko mówiąc, po jakichś trzech minutach znowu znalazłem się przed gankiem i wyglądałem chyba nie najlepiej, ponieważ pani Moses zapytała przestraszona, czy aby nie trzeba mnie rozetrzeć, pan Moses zrzędnie doradził roztarcie beznadziejnego narciarza na proszek, a gospodarz, który błyskawicznie zbiegł z dachu na dół, troskliwie złapał mnie pod pachy i zaczął namawiać do natychmiastowego zażycia cudotwórczej firmowej nalewki – „aromatycznej, mocnej, łagodzącej ból i przywracającej duchową równowagę”. Pan Simonet szyderczo szlochał i pohukiwał z telegraficznego słupa, pan du Barnstockre przeproszał, przykładając do serca rozczapierzoną dłoń, a kurator Hincus, który właśnie podjechał, rozpychając się gwałtownie i kręcąc głową, wypytywał wszystkich, w ilu miejscach jestem połamany i „dokąd go wynieśli”.

Gdy mnie otrzepywano, masowano, wycierano twarz, wydlubywano śnieg wciśnięty za kołnierz, szukano mojego kasku, za koniec sznura złapał Olaf Andvarafors, a wtedy wszyscy natychmiast mnie porzucili, żeby obejrzeć nowe widowisko – faktycznie dosyć efektowne. Przez wszystkich porzucony i zapomniany wciąż jeszcze doprowadzałem się do porządku, a niewierny tłum witał nowego idola. Ale jak wiadomo, fortunie jest dość obojętne, kim jesteś – jasnowłosym bogiem śniegu czy starzejącym się funkcjonariuszem policji. W apogeum triumfu, kiedy wiking stał już pod gankiem, malowniczo wsparty na kijkach i posyłał oślepiający uśmiech pani Moses, fortuna z lekka obróciła swoje skrzydlate koło. Bernardyn Lelle podszedł do zwycięzcy, starannie go obwąchał i znienacka podniósł łapę precyzyjnie na jego narciarki. O niczym więcej nie mogłem nawet marzyć. Pani Moses zapiszczała, zagrzmiał powszechny wybuch oburzenia, a ja poszedłem do domu. Z natury nie jestem człowiekiem cieszącym się z cudzego nieszczęścia, tylko cenię sprawiedliwość. We wszystkim.

W bufecie nie bez pewnego trudu dowiedziałem się od Kaisy, że jedyny czynny prysznic, jak się okazuje, jest tylko na parterze. Szybko udałem się więc po czystą bieliznę i ręcznik. Ale chociaż spieszyłem się bardzo, jednak przyszedłem za późno. Łazienka była już zajęta, zza drzwi dobiegał plusk wody i niewyraźny śpiew. Pod drzwiami stał Simonet, również z ręcznikiem przewieszonym przez ramię... Stałem za nim, a za mną natychmiast zajął miejsce pan du Barnstockre. Zapaliliśmy. Simonet, dusząc się ze śmiechu i spoglądając na boki, zaczął opowiadać dowcip o kawalerze, który mieszkał u wdowy z trzema córkami. Z pierwszą córką szybko się uporał, a losy pozostałych na szczęście pozostały nam nieznanne, ponieważ w holu objawiła się pani Moses, która zapytała nas, czy nie przechodził tędy pan Moses, jej mąż i władca. Pan du Barnstockre z galanterią odpowiedział, że niestety, nie. Simonet obliznął się i wpił się w panią Moses łakomym spojrzeniem, a ja przysłuchiwałem się głosowi dobiegającemu

z łazienki i wyraziłem przypuszczenie, że pan Moses znajduje się właśnie tam. Pani Moses odniosła się do tej hipotezy z jawnym niedowierzaniem. Uśmiechnęła się, pokręciła głową i zwierzyła się nam, że w willi na rue de Chanel mają dwie łazienki – jedną ze złota, drugą z platyny. A kiedy nikt z nas nie znalazł godnej odpowiedzi, oznajmiła, że pójdzie poszukać pana Mosesa gdzie indziej. Simonet przełknął ślinę i natychmiast zaproponował jej swoją pomoc, a my z du Barnstockre'em zostaliśmy sami. Du Barnstockre zniżył głos i zapytał, czy widziałem przykrą scenę, w której uczestniczyli Olaf i bernardyn Lelle. Sprawilem sobie niewielką przyjemność, odpowiadając, że nie, nie widziałem. Wtedy Barnstockre opisał mi tę scenę ze wszystkimi szczegółami i kiedy już przestałem załamywać ręce i wydziwiać, ze smutkiem dodał, że niestety nasz dobry gospodarz nadzwyczajnie rozpuścił swojego psa, ponieważ nie dalej jak przedwczoraj bernardyn dokładnie tak samo potraktował w garażu samą panią Moses. Znowu załamałem ręce, tym razem już całkiem szczerze, ale w tym momencie przyłączył się do nas kurator Hincus, który niezwłocznie zaczął się pieklić o to, że pieniądze to wyciągają podwójnie, ale prysznic działa tylko jeden. Pan du Barnstockre go uspokoił – wydobył z jego ręcznika dwa lizaki w kształcie kogucików. Hincus błyskawicznie zamilkł i nawet, biedactwo, zmienił się na twarzy. Koguciki przyjął, włożył je do ust i zapatrzył się na wielkiego prestidigitatora ze zgrozą i niedowierzaniem. Zaś pan du Barnstockre bardzo zadowolony z efektu, jaki osiągnął, zaczął nas zabawiać dzieleniem i mnożeniem w pamięci wielocyfrowych liczb.

A w łazience wciąż szumiała woda, tylko śpiew umilkł, za to rozległy się niewyraźnie wypowiedane słowa. Z piętra ciężkim krokiem zeszli ramię przy ramieniu pan Moses i pohańbiony zachowaniem źle wychowanego psa jasnowłosy wiking Olaf. Kiedy zeszli ze schodów, rozstali się. Pan Moses, popijając, poniósł swój kubek do siebie za portierę, a wiking, nie mówiąc ani słowa, stanął z nami we wspólnym szeregu. Spojrzałem na zegarek. Czekaliśmy już ponad dziesięć minut.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Obok nas, nie zatrzymując się, przemknęło niedosłyszalnymi susami dziecię, zostawiając po sobie zapach benzyny, potu i perfum. I wtedy do mojej świadomości dotarło, że z kuchni słychać głosy Ceneverta i Kaisy i jakieś dziwaczne podejrzenie olśniło mnie po raz pierwszy. Niezdecydowanie spojrzałem na drzwi łazienki.

– Od dawna tu stoicie? – zainteresował się Olaf.

– Od dosyć dawna – odparł du Barnstockre.

Hincus nagle coś niezrozumiale wybełkotał, potrącił Olafa ramieniem i ruszył do holu.

– Słuchajcie – powiedziałem. – Czy dziś rano ktoś przyjechał?

– Tylko ci panowie – odparł du Barnstockre. – Pan Andvarafors i pan... ten niewysoki pan, który odszedł.

– My przyjechaliśmy wczoraj wieczorem – sprostował Olaf.

Sam wiedziałem, kiedy przyjechali. Na sekundę w mojej wyobraźni pojawił się obraz

kościotrupa nućącego piosenki pod strumieniem gorącej wody i namydlającego piszczele. Ogarnęła mnie złość i pchnąłem drzwi. W łazience nikogo nie było. Szumiała odkręcona na cały regulator gorąca woda, pełno było pary, na haczyku wisiała znajoma brezentowa kurtka Poległego Alpinisty, a pod nią, na dębowej ławie mrucał, poświstując, stary tranzystorowy odbiornik.

– *Quelle diable!* – wykrzyknął du Barnstockre. – Panie Cenevert!

Powstało zamieszanie. Łomocąc ciężkimi buciorami, przybiegł właściciel. Jak spod ziemi wyskoczył skądś Simonet. Przechyliło się przez poręcz dziecię z niedopałkiem papierosa przyklejonym do dolnej wargi. Z holu lękliwie wyjrzał Hincus.

– To niesłychane! – mówił wzburzony du Barnstockre. – Stoimy tu i czekamy co najmniej od piętnastu minut!...

– A na moim łóżku znowu ktoś się wylegiwał – oświadczyło dziecię. – I ręcznik jest mokry.

W oczach Simoneta rozjarzyła się szatańska radość.

– Panowie, panowie... – powtarzał właściciel, wykonując uspokajające gesty. Zajrzał do łazienki i przede wszystkim zakręcił wodę. Następnie zdjął z haczyka kurtkę, zabrał radio i odwrócił się do nas. Twarz jego miała wyraz nader uroczysty. – Panowie! – oświadczył głuchym głosem. – Mogę tylko stwierdzić następujące fakty. To jest jego radio. I jego kurtka...

W milczeniu odsunąłem właściciela na bok, wszedłem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi. Już kiedy zdarłem z siebie ubranie, przyszło mi do głowy, że właściwie teraz była nie moja kolejka, tylko Simoneta, ale żadnych wyrzutów sumienia nie odczuwałem. Na pewno on to wszystko zaaranżował, pomyślałem ze złością. Niech sobie teraz poczeka. Wybitna postać współczesnej nauki. Tyle wody niepotrzebnie się zmarnowało... Takich dowcipnisiów należałoby wyłapać. I ukarać. Ja wam pokażę, co to znaczyć kpić sobie ze mnie.

Kiedy wyszedłem z łazienki, zgromadzeni w holu nadal rozprawiali o dziwnym wydarzeniu. Niczego nowego zresztą nie usłyszałem, więc sobie poszedłem. Na schodach minąłem dziecię nadal zwisające z poręczy. „Dom wariatów!” – oświadczyło wyzywająco. Pominąłem to milczeniem i udałem się prosto do swojego pokoju.

Pod wpływem prysznicu i miłego zmęczenia złość mi przeszła całkowicie. Przysunąłem sobie fotel do okna, wybrałem najgrubszą i najpoważniejszą książkę i usiadłem, opierając nogi o blat stołu. Przy pierwszej stronie zdrzemnąłem się i obudziłem prawdopodobnie po półtorej godzinie – słońce przesunęło się bardzo znacznie i cień hotelu leżał teraz pod moim oknem. Sądząc po cieniu, na dachu siedział człowiek, a ponieważ byłem zaspany, pomyślałem, że to prawdopodobnie wielki fizyk Simonet skacze z komina na komin i rechocze na całą dolinę. Znowu usnąłem, potem książka spadła na podłogę, drgnąłem i obudziłem się na dobre. Teraz na dachu widać było wyraźnie cienie dwóch ludzi – jeden widocznie siedział, drugi stał przed nim. Opalają się, pomyślałem, i poszedłem się myć. Kiedy się myłem, przyszło mi do głowy, że nieźle

byłoby wypić filiżankę kawy dla dodania sobie sił. Zapaliłem i wyszedłem na korytarz. Było około trzeciej.

Na podeście schodów spotkałem Hincusa. Schodził ze strychu na dół i wyglądał jakoś bardzo dziwnie. Był nagi do pasa, straszliwie spocony, a twarz miał tak bladą, że aż zielonkawą. Oczy jego były nieruchome i obiema rękami przyciskał do piersi zmięte ubranie. Kiedy mnie zobaczył, wzdrygnął się i przystanął.

– Opala się pan? – zapytałem grzecznościowo. – Niech pan uważa, żeby się nie poparzyć. Źle pan wygląda.

Przejawiwszy w ten sposób troskę o bliźniego, nie czekając na odpowiedź, poszedłem na dół. Hincus maszerował w ślad za mną.

– Pić mi się zachciało – powiedział ochryple.

– Gorąco? – zapytałem, nie odwracając się.

– T-tak... Jakby trochę za bardzo.

– Ostrożnie – powiedziałem. – Marcowe słońce w górach jest niebezpieczne.

– Nic mi nie będzie... Napiję się i przejdzie. Zeszliśmy do holu.

– Może jednak się pan ubierze – poradziłem mu. – Bo jeżeli tam jest pani Moses...

– Tak – odpowiedział Hincus. – Naturalnie. Zupełnie zapomniałem.

Przystanął i zaczął pospiesznie naciągać koszulę i kurtkę, a ja poszedłem do bufetu i otrzymałem od Kaisy talerz z zimnym rostbefem, chleb i kawę. Hincus, już ubrany i już mniej zielony, przyłączył się do mnie i zażądał czegoś mocniejszego.

– Simonet też jest tam? – zapytałem. Przyszło mi do głowy, że można by pograć w bilard.

– Gdzie? – gwałtownie zapytał Hincus, ostrożnie podnosząc do ust kieliszek.

– Na dachu.

Ręka Hincusa drgnęła, brandy pociekła po palcach. Spiesznie wypił, wciągnął nosem powietrze i wycierając usta dłonią, powiedział:

– Nie. Na dachu nie ma nikogo.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Wargi miał zaciśnięte i nalewał sobie następny kieliszek.

– To dziwne – powiedziałem. – Nie wiem, czemu wydawało mi się, że Simonet jest na dachu.

– Niech się pan przeżegna, to się panu przestanie wydawać – ordynarnie odpowiedział kurator, wypił i znowu sobie nalał.

– Co się z panem dzieje? – zapytałem.

Przez chwilę w milczeniu patrzył na nalany kieliszek.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Nieprzyjemności. Czy człowiek może mieć nieprzyjemności?

Było w nim coś żalospnego, zdjęła mnie litość.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, jeśli coś niechcący... Gołnął sobie trzeci kieliszek i nagle powiedział:

– Czy nie miałby pan ochoty poopalać się na dachu?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Nie chcę się poparzyć. Mam wrażliwą skórę.

– I nigdy się pan nie opala?

– Nie.

Hincus pomyślał, wziął butelkę i zakorkował ją.

– Tam jest wspaniałe powietrze – powiedział. – Piękne widoki. Cała dolina jak na dłoni... Góry...

– Chodźmy zagrać w bilard – zaproponowałem. – Gra pan?

Po raz pierwszy spojrział mi prosto w twarz swoimi maleńkimi chorymi oczami.

– Nie – odmówił. – Lepiej pójdę na powietrze.

Następnie znowu otworzył butelkę i nalał sobie czwarty kieliszek. Skończyłem jeść rostbef, wypilem kawę i zamierzałem odejść. Hincus tępo wpatrywał się w swoją butelkę brandy.

– Niech pan uważa, żeby nie spaść z dachu – powiedziałem na odchodnym.

Uśmiechnął się krzywo i nic nie odpowiedział. Znowu wszedłem na pierwsze piętro. Nie słyszałem stukotu bilardowych kul, więc zapukałem do pokoju Simoneta. Nikt się nie odezwał. Zza drzwi obok dobiegały niewyraźne głosy, więc zapukałem. Simoneta również tam nie było. Przy stole siedzieli du Barnstockre z Olafem i grali w karty. Byli niesłychanie przejęci. Na środku stołu leżał stosik pomiętych banknotów. Na mój widok du Barnstockre zrobił ręką szeroki gest i zawołał:

– Prosimy do nas! Serdecznie zapraszamy, panie inspektorze! Drogi Olafie, oczywiście zapraszamy pana inspektora?

– Tak – powiedział Olaf, nie odrywając oczu od kart. – Z radością. – I zgłosił piki.

Przeprosiłem i zamknąłem drzwi. No i gdzie przepadł posępny figlarz? Nie widać go nigdzie i co najdziwniejsze, nie słyhać. A zresztą po co mi on? Trudno, zagram sam ze sobą. Szczerze mówiąc, nie robi mi to żadnej różnicy. Skierowałem się w stronę sali bilardowej i po drodze przeżyłem niewielki szok. Po schodach ze strychu, podtrzymując dwoma palcami wytworną suknię, schodziła pani Moses. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się niezwykle czarująco.

– Pani również się opalała? – palnąłem speszony.

– Opalałam się? Cóż za dziwaczny pomysł! – Pani Moses zbliżyła się do mnie. – Jakie zdumiewające przypuszczenia przychodzą panu do głowy, inspektorze!

– Niech mnie pani nie nazywa inspektorem – poprosiłem. – Tak mi już obrzydło słyhać tego na służbie, a teraz jeszcze pani...

– U-wiel-biam policję – oznajmiła pani Moses, wznosząc do góry przepiękne oczy. –

Uwielbiam tych śmiałków, tych bohaterów. Pan wszak jest śmiałkiem, nieprawdaż?

I wyszło tak jakoś, samo przez się, że zaproponowałem jej ramię i razem poszliśmy do sali bilardowej. Ramię pani Moses było białe, twarde i zdumiewająco zimne.

– Droga pani – powiedziałem – przecież pani strasznie zmarzła.

– Ani troszeczkę, inspektorze – odpowiedziała i nagle przypomniała sobie: – Pan wybaczy, ale jak mam w takim razie pana nazywać?

– A może Peter? – zaproponowałem.

– To byłoby cudowne. Miałam kiedyś przyjaciela, był to baron Peter von Gottesknecht. Pan go nie zna? Jednakże w takim razie będzie pan musiał mówić do mnie Olga. A co będzie, jeżeli usłyszy Moses?

– Jakoś to przeżyje – wymamrotałem. Patrzyłem z boku na jej cudowne ramiona, na królewską szyję, na dumny profil i robiło mi się to zimno, to gorąco. No rzeczywiście jest głupia, gorączkowo przebiegało mi przez głowę. No i co z tego. Niech sobie będzie. Mało to jest głupich?

Przeszliśmy przez jadalnię i znaleźliśmy się w sali bilardowej. Odkryliśmy tam Simoneta. Nie wiadomo dlaczego, leżał na podłodze w płytkiej, ale szerokiej niszy. Włosy miał potargane, a twarz nabiegła mu krwią.

– Simon! – zawołała pani Moses i przyłożyła dłonie do policzków. – Co się z panem dzieje?

Simonet zaklekotał w odpowiedzi i wspierając się rękami i nogami w brzegi niszy, powędrował w górę do sufitu.

– Boże, pan się zabije! – krzyknęła pani Moses.

– Doprawdy, Simonet – powiedziałem z irytacją. – Skręci pan sobie kark.

Jednakże figlarz nie zamierzał ani się zabijać, ani skręcać karku. Dotarł do sufitu, powisiał tam przez chwilę, czerwieniejąc coraz gwałtowniej, potem miękko zeskoczył na podłogę i zasalutował. Pani Moses zaklaskała w dłonie.

– Pan jest cudowny, Simon – powiedziała. – Zupełnie jak mucha.

– No cóż, inspektorze – powiedział lekko zadyszany Simonet – zmierzmy się na cześć pięknej damy? – Porwał kij i zrobił wypad, posługując się kijem jak szpadą. – Wyzywam pana, inspektorze Glebsky!

Z tymi słowami odwrócił się do stołu bilardowego i z takim stukotem zasadził ósemkę w róg przez cały stół, że mi w oczach pociemniało. Jednakże nie sposób było się cofnąć. Ponuro wzięłem kij.

– Walczcie, panowie, walczcie – powiedziała pani Moses. – Piękna dama zostawia nagrodę dla zwycięzcy. – Rzuciła na środek stołu koronkową chusteczkę. – A ja zmuszona jestem pożegnać panów. Obawiam się, że mój Moses już wychodzi z siebie. – Posłała nam pocałunek i wyszła.

– Diabelnie pociągająca kobieta – oświadczył Simonet. – Można oszaleć. – Zaczepił kijem chusteczkę, zanurzył nos w koronki i wznosił oczy do nieba. – Cudo! Pan również nie ma do zanotowania żadnych sukcesów, inspektorze?

– Niech mi się pan bardziej płącze pod nogami – powiedziałem posępnie, zbierając bile w piramidkę. – Kto pana prosił, żeby pan tu sterczał?

– A dlaczego pan, kapuściana głowo, przyprowadził ją do sali bilardowej? – zapytał Simonet nie bez racji.

– Nie mogłem przecież prowadzić jej do bufetu... – odgryzłem się.

– Nie potrafisz, nie pchaj się na afisz – poradził Simonet. – I niech pan ustawi równo te bile, ma pan do czynienia z arcymistrzem... A więc tak. Co gramy? Londyńską?

– Nie. Może coś łatwiejszego.

– Ma być łatwiejsze, będzie łatwiejsze – zgodził się Simonet.

Starannie ułożył chusteczkę na parapecie, zatrzymał się na sekundę, pochylając głowę i patrząc przez szybę gdzieś tam w bok, potem wrócił do stołu.

– Pamięta pan, co zrobił Hannibal z rzymskim wojskiem pod Karinami? – zapytał.

– Dobrze, już dobrze. Niech pan zaczyna – powiedziałem.

– Zaraz panu przypomnę – zawiadomił mnie, nacierając kredą kij. Nadzwyczaj wytwornie potoczył kijem bitkę, ustawił ją, wycelował i posłał bilę do luzu. Potem posłał następną bilę i rozbił przy tym piramidkę. Następnie, nie dając mi czasu na wydobywanie jego zdobyczy z luzu, trafił jeszcze dwie kule i wreszcie chybił.

– Pańskie szczęście – zawiadomił mnie, nacierając kredą kij. – Niech się pan rehabilituje.

Ruszyłem wzdłuż stołu, szukając jakiejś łatwej bili.

– Niech no pan spojrzy – powiedział Simonet. Stał przy oknie i spoglądał gdzieś w bok. – Jakiś kretyn siedzi na dachu... Pardon! Dwóch kretynów! Jeden stoi i w pierwszej chwili zdawało mi się, że to komin. Najwyraźniej moje laury nie dają komuś spokoju.

– To Hincus – burknąłem, przymierzając się do uderzenia.

– Hincus to ten malutki facet, który bez przerwy zrządzi – powiedział Simonet. – Nieprzyjemna postać. Olaf to co innego. Gdyby pan zobaczył, jak przycisnął do ściany Kaisę – prosto w kuchni, wśród kipiących garnków i skwierczących omletów. Prawdziwy potomek starodawnych konungów, oświadczam to panu, inspektorze Glebsky.

Wreszcie uderzyłem. I chybiłem. To było bardzo łatwe, a ja chybiłem. Obejrzałem koniec kija, pomacałem kapkę. Kapka była w porządku.

– Niech pan się tak nie przygląda – podchodząc do stołu, powiedział Simonet. – Nic pana nie usprawiedliwia.

– Jak chce pan uderzyć? – zapytałem, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Od dwóch boków do środka – powiedział z niewinną miną.



Jęknąłem i podszedłem do okna, żeby na to nie patrzeć. Simonet uderzył. Potem jeszcze raz. Ostro, z trzaskiem i stukotem. Uderzył jeszcze raz i powiedział:

– Pardon. Do czynu, inspektorze.

Cień siedzącego człowieka odchylił głowę do tyłu i uniosł rękę z butelką. Zrozumiałem, że to Hincus. Teraz zdrowo pociągnie i poda butelkę temu, który stoi. A właściwie kto to jest, ten stojący?

– Gra pan czy nie? – zapytał Simonet. – Co się tam dzieje?

– Hincus się zaprawia – powiedziałem. – Och, spadnie nam dzisiaj z dachu...

Hincus zdrowo sobie gołnął, następnie powrócił do poprzedniej pozycji. Nie poczęstował stojącego. Kto to może być? E, pewnie latorośl... Wróciłem do stołu, wybrałem łatwą kombinację i znowu chybiłem.

– Czytał pan pamiętniki Koriolisa o grze w bilard? – zapytał Simonet.

– Nie – odpowiedziałem posępnie. – I nie zamierzam.

– A ja czytałem – powiedział Simonet. Dwoma uderzeniami skończył partię, a na zakończenie wybuchnął swoim okropnym śmiechem. Położyłem kij w poprzek stołu.

– Został pan bez partnera, Simonet – powiedziałem mściwie. – Może pan teraz w całkowitej samotności wycierać nos w swoją nagrodę.

Simonet wziął chusteczkę i uroczyście wetknął ją do kieszeni marynarki.

– Znakomicie – powiedział. – Co teraz będziemy robić? Pomyślałem przez chwilę.

– Chyba pójdę się ogolić. Niedługo obiad.

– A ja? – zapytał Simonet.

– Niech pan zagra w bilard sam ze sobą – poradziłem. – Albo niech pan odwiedzi Olafa. Ma pan pieniądze? Jeśli tak, to tam pana powitają z otwartymi ramionami.

– A tam – powiedział Simonet. – Ja już. – Co już?

– Już przegrałem do Olafa dwieście koron. Gra jak maszyna, nie popełnia żadnego błędu. To nawet nieciekawe. Wtedy napuściłem na niego Bamstockre'a. Sztukmistrz to sztukmistrz, może go podskubie.

Wyszliśmy na korytarz i od razu wpadliśmy na dziecię ukochanego nieboszczyka brata pana du Bamstockre'a. Dziecię zastąpiło nam drogę i beczelnie połyskując wybałuszonymi szklami ciemnych okularów, zażądało papierosa.

– Jak tam Hincus? – zapytałem, wyciągając papierosy. – Dobrze się zaprawił?

– Hincus? Ach, ten... – Dziecię zapaliło i złożywszy wargi w ciup, wypuściło kóleczo dymu. – Zaprawić to się jeszcze nie zaprawił, ale jest na niezłej bani, a zabrał jeszcze jedną butelkę ze sobą.

– Oho – powiedziałem – to już byłaby druga...

– A co tu jeszcze można robić? – zapytało dziecię.

– A co, razem żeście pili? – zapytał Simonet z ciekawością.

Dziecię lekceważąco parsknęło.

– Jeszcze czego! On mnie nawet nie zauważył. Przecież tam była Kaisa...

W tym momencie przyszło mi do głowy, że najwyższy czas wyjaśnić, czy to chłopiec, czy dziewczyna, więc zastawiłem potrząsk.

– To znaczy, że byliście razem z Hincusem w bufecie? – zapytałem chytrze.

– Tak. A bo co? Policja zabrania?

– Policja chce wiedzieć, co się tam działo.

– I świat nauki również – dodał Simonet. Zdaje się, że mu przyszła do głowy ta sama myśl.

– Pić kawę policja zezwala? – zainteresowało się dziecko.

– Tak – odpowiedziałem. – A co jeszcze poza kawą? Teraz... Teraz ona, ono powie „jadłam” albo „jadłem”. Przecież nie może ono powiedzieć „Jadłom”...

– Ano nic – z zimną krwią odpowiedziało dziecko. – Kawa i ciastka z kremem. To moje wszystkie czynności w barze.

– Słodczyce przed obiadem są niezdrowe – z wyrzutem powiedział Simonet. Był wyraźnie rozczarowany. Ja również.

– Żeby się uchlać w biały dzień, to nie dla mnie – zakończyło dziecko z zimną krwią, świętując zwycięstwo. – Niech ten wasz Hincus się upija.

– No, dobrze – burknąłem. – Pójdę się ogolić.

– Może panowie chcą jeszcze o coś zapytać? – zainteresowało się dziecko.

– Ależ nie, na Boga! – powiedziałem.

Trzasnęły drzwi, dziecko udało się do siebie.

– Zejdę na dół i coś przegryzę – powiedział Simonet, przystając przy podeście. – Niech pan idzie ze mną, inspektorze, do obiadu jeszcze ponad godzina...

– Już ja wiem, jak pan tam będzie przegryzać – powiedziałem. – Niech pan idzie sam, ja jestem żonaty, Kaisa mnie nie interesuje.

Simonet zachichotał i powiedział:

– Jeśli tak, to może pan mi powie, czy to chłopiec, czy dziewczyna? Nijak nie mogę się zorientować.

– Proszę się zająć Kaisą – powiedziałem – i zostawić tę zagadkę policji... Niech pan mi lepiej powie, czy to był pański pomysł z prysznicem?

– Nawet mi do głowy nie przyszło – zaprzeczył Simonet. – Jeśli chce pan wiedzieć, to według mnie nasz gospodarz.

Wzruszyłem ramionami i rozstaliśmy się. Simonet załomotał butami po schodach, a ja poszedłem do swego pokoju. W momencie kiedy przechodziłem obok pokoju muzeum, usłyszałem w środku jakieś trzaski, łoskot, dźwięk rozbitego szkła, a potem wściekłe sapanie. Nie

tracąc ani sekundy, szarpnąłem drzwi, wpadłem do pokoju i omal nie zbiłem z nóg pana Mosesa. Pan Moses jedną ręką wysoko unosił róg dywanu, w drugiej dzierżył swój nieodłączny kubek i z obrzydzeniem kontemplował przewróconą nocną szafkę i kawałki rozbitej wazy.

– Przekłeta melina! – zachrypiał na mój widok. – Parszywa buda!

– Co pan tu robi? – zapytałem z wściekłością.

Pan Moses niezwłocznie wpadł w furję.

– Co ja tu robię?! – zaryczał i z całej siły pociągnął na siebie dywan, przewrócił fotel i omal nie stracił równowagi. – Szukam drania, który włóczy się po hotelu, okrada porządnych ludzi, hałasuje po nocach na korytarzach i zagląda w okna mojej żony! Po kiego diabła muszę się tym zajmować, kiedy w domu sterczy policjant?

Odrzucił dywan i zwrócił się ku mnie. Aż się cofnąłem.

– Może mam wyznaczyć nagrodę? – ryczał dalej, rozwścieczając się coraz bardziej. – Proszę, wyznaczam. Ile pan chce, inspektorze? Pięćset? Tysiąc? Półtora tysiąca koron dla tego, kto znajdzie mój złoty zegarek! Dam dwa tysiące koron!

– Zginął panu zegarek? – zapytałem zaszępiiony.

– Tak!

– Kiedy pan go widział po raz ostatni?

– Przed chwilą!

Żarty się skończyły. Złoty zegarek to nie ranne pantofle i nie widmo zajmujące łazienkę.

– Dzisiaj rano.

– Gdzie pan go zwykle chowa?

– Ja nie chowam zegarka! Ja go używam! Leżał na moim stole!

Zamyśliłem się.

– Radzę panu – powiedziałem wreszcie – napisać formalne oświadczenie. Wtedy wezwę policję.

Pan Moses wybałuszył na mnie oczy i przez jakiś czas milczeliśmy obaj. Potem pociągnął łyk z kubka i powiedział:

– Po kiego diabła potrzebne panu oświadczenie i policja? Wcale nie mam ochoty, żeby moje nazwisko szargały po gazetach śmierdzące pismaki. Dlaczego pan nie może sam się tym zająć? Wyznaczyłem przecież nagrodę. Chce pan zadatek?

– Jest mi niezręcznie mieszać się w tę sprawę – oświadczyłem. – Nie jestem prywatnym detektywem, tylko urzędnikiem państwowym. Obowiązuje mnie zawodowa etyka, a oprócz tego...

– Dobrze – powiedział nagle pan Moses. – Jeszcze się zastanowię. – Na moment zamilkł. – Może zegarek sam się odnajdzie. Chciałbym mieć nadzieję, że to kolejny głupi dowcip. Ale jeżeli nie znajdzie się do jutra, rano napiszę oświadczenie.

Na tym stanęło. Moses poszedł do swojego pokoju, a ja do swojego.

Nie wiem, co nowego znalazł Moses w swoim pokoju, bo u mnie nowości było pełno. Po pierwsze na drzwiach ukośnie wisiał transparent: Kiedy słyszę słowo „kultura”, wzywam policję. Transparent oczywiście zerwałem, ale to był dopiero początek. Mój stół był dokładnie zalany zastygłą już gumą arabską... Polewano prosto z butelki, butelka też leżała na stole, a w samym środku zakrzepłej kałuży tkwił kawałek papieru. List. Zupełnie idiotyczny list. Koślawymi literami ktoś napisał: *Zawiadamia się pana inspektora Glebsky'ego, że obecnie w hotelu mieszka pod nazwiskiem Hincus niebezpieczny gangster, maniak i sadysta, znany w kołach przestępczych jako Puchacz. Jest uzbrojony i grozi śmiercią jednemu z mieszkańców hotelu. Uprasza się pana inspektora Glebsky'ego o przedsięwzięcie środków zaradczych.*

Byłem do tego stopnia wściekły i zaskoczony, że przeczytałem kartkę dwa razy, zanim cokolwiek zrozumiałem. Potem zapaliłem papierosa i obejrzałem pokój. Żadnych śladów oczywiście nie zauważyłem. Wyprostowałem zgnieciony transparent i porównałem go z kartką. Litery na transparencie były również koślawe i również drukowane, ale ołówkiem. Zresztą z transparentem i tak wszystko było jasne – robota latorośli. Zwykły żart. Jedno z tych głupich haseł, które francuscy studenci pisali na murach Sorbony. Sprawa z kartką wyglądała znacznie gorzej. Mistyfikator mógł wsunąć list pod drzwi, wsadzić go w dziurkę od klucza, po prostu położyć go na stole i przycisnąć na przykład popielniczką. Trzeba było być wandalą albo zupełnym kretyńcem, żeby dla głupiego żartu zapaskudzić taki dobry stół. Kretynów jest tu pełno, to prawda... ale przecież nie do tego stopnia! Przeczytałem kartkę jeszcze raz, zaciągnąłem się głęboko i podszedłem do okna. Oto twój urlop, pomyślałem. Oto twoja długo oczekiwana wolność...

Słońce było już zupełnie nisko, cień hotelu wydłużył się na dobre sto metrów. Na dachu, z głową odrzuconą do tyłu, przyssany do butelki, w dalszym ciągu tkwił niebezpieczny gangster, maniak i sadysta, pan Hincus. Był już sam.

## Rozdział V

Stałem przed numerem Hincusa i ostrożnie rozejrzałem się dookoła. Korytarz jak zawsze był pusty. Z sali bilardowej dobiegał stukot kul – tam był Simonet. Du Barnstockre i Olaf siedzieli w pokoju Olafa. Dziecię grzebało w motocyklu. Mosesowie byli u siebie. Hincus siedział na dachu. Pięć minut temu zszedł do bufetu, wziął następną butelkę, po drodze wstąpił do swego pokoju, włożył futro i teraz prawdopodobnie zamierzał oddychać świeżym powietrzem co najmniej do obiadu. A ja stałem przed jego drzwiami i próbowałem otworzyć zamek którymś z kluczy ściągniętych z biurka właściciela hotelu, popełniając tym samym przestępstwo. Oczywiście nie miałem żadnego prawa włamywać się do cudzego pokoju i przeprowadzać tam rewizji czy nawet zwyczajnie wejść tam bez nakazu. Ale czułem, że muszę to zrobić, bo inaczej nie będę mógł spokojnie spać, a nawet chyba żyć I w najbliższym czasie.

Piąty czy szósty klucz miękko szczełnął, wśliznąłem się do pokoju. Zrobiłem to tak, jak robią to zwykle bohaterowie szpiegowskich powieści – innych sposobów nie znałem. Słońce już się prawie skryło za grzbietami gór, ale w środku było dosyć widno. Pokój wyglądał jak niezamieszkały – pościel niezgnieciona, popielniczka pusta i czysta, a obie torby leżały na samym środku, na podłodze. Wcale nie wyglądało na to, że ktoś tu zamierza spędzić dwa tygodnie.

Zawartość pierwszej cięższej torby od razu wzbudziła we mnie podejrzenia. Był to typowy fałszywy bagaż: jakieś szmaty, podarte prześcieradła i powłoczki, paczka książek dobranych najgłupiej w świecie. Prawdziwy bagaż znajdował się w drugiej torbie. Były tam trzy zmiany bielizny, piżama, neseser, komplet wiecznych piór, pakiet banknotów – solidny pakiet, solidniejszy od mojego, i dwa tuziny chusteczek do nosa. Była tam także srebrna karafka, pusta, futerał z ciemnymi okularami i butelka z zagraniczną etykietą, pełna. A na samym dnie torby, pod bielizną, znalazłem masywny złoty zegarek i malutki damski browning.

Usiadłem na podłodze i zacząłem nasłuchiwać. Na razie wszędzie było cicho, ale czasu na rozmyślenia zostało mi bardzo niewiele. Obejrzałem zegarek. Na kopercie miał wygrawerowany jakiś skomplikowany monogram, złoto było prawdziwe, dukatowe, z czerwonym połyskiem, a na cyferblacie widniały znaki zodiaku. Ponad wszelką wątpliwość był to zaginiony zegarek pana Mosesa. Potem obejrzałem pistolet. Niklowana zabaweczka z rękojeścią z masy perłowej, właściwie nie można było tego uznać za broń... Bzdura, wszystko to bzdura... Gangsterzy nie zwracają sobie głowy takimi głupstwami. I jeżeli już o tym mowa, gangsterzy nie kradną zegarków, nawet takich ciężkich i masywnych. Autentyczni gangsterzy z nazwiskiem i solidną reputacją.

Tak, tak, tak... Ano, prędko podsumujmy, co tu mamy. Brak jakichkolwiek dowodów, że Hincus to niebezpieczny gangster, maniak i sadysta. Za to ile tylko dusza zamarzy wskazówek,

że komuś bardzo zależy, aby Hincusa uważano za gangstera. Co prawda fałszywy bagaż... No dobrze, tym się zajmę później. Ale co zrobić z zegarkiem i pistoletem? Jeśli je skonfiskuję, a Hincus jest faktycznie złodziejem (choć nie gangsterem), to w takim wypadku wyjdzie suchy z wody... A jeśli mu to podrzucono... Do diabła, jakoś nic nie mogę wymyślić... To ten brak doświadczenia... Też mi Herkules Poirot... Jeśli zabrać, to po pierwsze, gdzie je mam schować? Nosić przy sobie? Jeszcze mnie oskarżą o kradzież... I w swoim pokoju też nie można...

Znowu zacząłem nasłuchiwać. W jadalni pobrzękiwały talerze – Kaisa nakrywała do stołu. Czyjeś kroki na korytarzu. Głos Simoneta zapytał donośnie: „A gdzie to inspektor? Gdzie nasz bohater?” Przerażliwie zapiszczała Kaisa, mrozący krew w żyłach chichot wstrząsnął całym piętrem. Czas zwiewać. Nic nie udało mi się wymyślić, więc pośpiesznie rozładowałem magazynek, naboje wsadziłem do kieszeni, a pistolet i zegarek z powrotem wepchnąłem na dno torby. Ledwie zdążyłem: wyśliznąć się i przekręcić klucz, kiedy w drugim końcu korytarza ukazał się du Barnstockre. Zwrócony do mnie arystokratycznym profilem, mówił do kogoś, prawdopodobnie do Ołafa:

– Mój drogi, doprawdy nie ma o czym mówić! Żaden du Barnstockre nigdy nie odmawiał rewanżu! Jeszcze dzisiaj, jeśli będzie pan łaskaw! Powiedzmy o dziesiątej wieczorem, u pana...

Przybrałem obojętną pozę (to znaczy zacząłem dłużyć wykałaczką w zębach), a du Barnstockre odwrócił się i kiedy mnie zobaczył, życzliwie pomachał dłonią.

– Drogi inspektorze! – zawołał. – Zwycięstwo, sława, bogactwo. Takie jest odwieczne hasło wszystkich du Barnstockre'ów.

Poszedłem mu naprzeciw i spotkaliśmy się pod drzwiami jego numeru.

– Ograł pan Olafa? – zapytałem.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak! – oświadczył du Barnstockre ze szczęśliwym uśmiechem. – Nasz drogi Olaf jest trochę zbyt metodyczny. Gra jak maszyna, bez żadnej fantazji. To nawet nudne... Chwileczkę, co też pan tu ma? – zręcznie wyciągnął mi z butonierki kartę do gry. – A, to jest ten właśnie as kier, którym ostatecznie pognębiłem naszego nieszczęsnego Olafa...

Nieszczęsny Olaf wyszedł ze swojego numeru, ogromny, rumiany, minął nas, uśmiechnął się dobroduszenie, mrużąc: „Nieźle byłoby napić się przed obiadem...” Du Barnstockre odprowadził go spojrzeniem i nagle, jakby sobie zniemacka coś przypomniał, złapał mnie za rękaw.

– Ale a propos, kochany inspektorze, wie pan, jaki nowy kawał zrobił nasz drogi nieboszczyk? Wstąpmy na chwileczkę do mnie...

Wciągnął mnie do środka, usadził w fotelu i zaproponował cygaro.

– Gdzie ona może być? – mrużąc, uderzając się po kieszeniach. – Aha! Pan będzie łaskaw zobaczyć, co dzisiaj otrzymałem. – I wręczył mi zmięty kawałek papieru.

To był znowu list. Koślawymi drukowanymi literami, z błędami ortograficznymi, ktoś

napisał: *Znaleźliśmy cię, Tzymam cię na murzce. Nie próbuj uciec i nie rób głópsztw. Będę strzelać bez ostrzeżenia. P.* Zacisnąwszy w zębach papierosa, przeczytałem ten apel dwukrotnie, trzykrotnie.

– To urocze, nieprawdaż? – zapytał du Barnstockre, poprawiając toaletę przed lustrem. – Jest nawet podpis. Trzeba zapytać naszego gospodarza, jak się nazywał Poległy...

– Jak to do pana trafiło?

– Podrzuciono to do pokoju Olafa, kiedy graliśmy. Olaf poszedł do bufetu przynieść coś do picia, a ja siedziałem i paliłem cygaro. Rozległo się pukanie do drzwi, powiedziałem: „Proszę!” – ale nikt nie wszedł. Zdziwiłem się i nagle zobaczyłem, że przy drzwiach leży ta kartka. Prawdopodobnie wsunięto ją pod drzwi.

– Oczywiście wyjrzał pan na korytarz i oczywiście nikogo pan nie zobaczył – powiedziałem.

– No, trochę długo wygrzebywałem się z fotela – powiedział du Barnstockre. – Pójdziemy? Szczerze mówiąc, jestem dosyć głodny.

Włożyłem kartkę do kieszeni i ruszyliśmy do jadalni, zabierając po drodze dziecię, chociaż nie udało nam się namówić go do umycia rąk przed obiadem.

– Wygląda pan na zatroskanego – zauważył du Barnstockre, kiedy zbliżyliśmy się do jadalni.

Spojrzałem w jego jasne oczy starego człowieka i nagle przyszło mi do głowy, że ta historia z listami to jego dzieło. Na sekundę ogarnęła mnie zimna wściekłość, zapragnąłem tupnąć nogą i wrzasnąć: „Niech mnie pan zostawi w spokoju! Chcę spokojnie pojeździć na nartach!” Ale oczywiście się opanowałem.

Weszliśmy do jadalni. Zdaje się, że wszyscy byli już na miejscu. Pani Moses obsługiwała pana Moseasa, Simonet i Olaf kręcili się koło stołu z zakąskami, właściciel rozlewał nalewkę. Du Barnstockre i latorośl poszli na swoje miejsca, a ja dołączyłem do mężczyzn. Simonet złowieszczym szeptem opowiadał Olafowi o działaniu nalewki szarotkowej na wewnętrzne organy człowieka. Olaf jadł kawior, podśmiewając się dobrodusznie. W tym momencie weszła Kaisa i zatrajkotała, zwracając się do właściciela:

– Oni wcale nie chcą iść, oni powiedzieli, że nie wszyscy jeszcze przyszli, to i oni nie przyjdą. A kiedy wszyscy przyjdą, to i oni przyjdą. Tak powiedzieli... I dwie butelki są puste...

– To idź i powiedz, że wszyscy już są w jadalni – przykazał właściciel.

– Oni mi nie wierzą, ja powiedziałam, że wszyscy już są, a oni do mnie...

– O kim mowa? – ostro zapytał pan Moses.

– Mowa o panu Hincusie – odpowiedział właściciel. – Pan Hincus wciąż jeszcze przebywa na dachu, a ja chciałbym...

– Na jakim dachu? – ochryplym basem wtrąciło się dziecię. – Przecież to jest Hincus! – I wskazało widelcem na Olafa.

– Dziecko moje, jesteś w błędzie – łagodnie powiedział du Barnstockre, a Olaf dobrodusznie

wyszczерzył zęby i zahuczał:

– Olaf Andvarafors, dziecinko. Albo zwyczajnie – Olaf.

– W takim razie dlaczego on? – Widelec wskazał na mnie.

– Co u diabła, Cenevert?! – powiedział Moses. – Nie chce iść, niech sterczy na mrozie.

– Szanowny panie Moses – przemówił z godnością właściciel. – Właśnie teraz byłoby niezmiernie pożądane, żeby wszyscy byli w komplecie. Mam honor oznajmić moim szanownym gościom nader przyjemną nowinę... Kaisa, szybko!

– Ale oni nie chcą...

Odstawiłem na stolik talerz z zakąską.

– Proszę poczekać – powiedziałem. – Zaraz go przyprowadzę.

Wychodząc z jadalni, usłyszałem, jak Simonet powiedział: „Słusznie! Niech policja robi, co do niej należy”. Po czym zaniósł się trumiennym śmiechem, który towarzyszył mi do samych schodów prowadzących na strych.

Wszedłem na górę, pchnąłem grubo ciosane drzwi i znalazłem się w okrągłym, całkowicie przeszklonym pawiloniku. Pod ścianami stały wąskie ławeczki – dla wypoczynku. Panował tu chłód, tajemniczo pachniało śniegiem i kurzem, leżaki, zwalone na jeden stos, leżały na podłodze. Drzwi z dykty, prowadzące na dach, były uchylone.

Płaski dach pokrywała gruba warstwa śniegu, ale wokół pawiloniku śnieg był udeptany. W kierunku przekrzywionej anteny prowadziła ścieżka, a na końcu tej ścieżki nieruchomo siedział na leżaku opatulony Hincus. Lewą ręką przytrzymał na kolanie butelkę, a prawą schował za pazuchą – było zimno. Twarzą Hincusa prawie nie było widać, zasłaniał ją kołnierz futra i daszek futrzanej czapki, tylko czujne oczy połyskiwały w szparze, niczym tarantula wyglądająca z nory.

– Chodźmy – powiedziałem do Hincusa. – Wszyscy już są na dole. Czekamy na pana.

– Wszyscy? – zapytał ochryple.

– Wszyscy co do jednego. Czekamy na pana.

– A więc wszyscy... – powtórzył Hincus.

Skinąłem i rozejrzałem się dookoła. Słońce skryło się za górami, śnieg w dolinie wydawał się liliowy, na ciemniejące niebo wychodził błydy księżyc. Kątem oka zauważyłem, że Hincus uważnie mnie obserwuje.

– Dlaczego czekacie na mnie? – zapytał. – Zaczynajcie... Po co ludziom niepotrzebnie zawracać głowę?

– Właściciel hotelu przygotował dla nas jakąś niespodziankę i chce, żeby wszyscy byli obecni.

– Niespodziankę... – powiedział Hincus i zakasłał. – Mam gruźlicę – oznajmił mi nagle. – Lekarze mówią, że bez przerwy muszę być na świeżym powietrzu... i jeszcze mięso z czarnej



kury – uzupełnił.

Ogarnęła mnie litość.

– Do diabła – powiedziałem szczerze. – Współczuję panu. Ale obiady jednak powinien pan jadać...

– Powinienem, oczywiście – zgodził się Hincus i wstał. – Zjem obiad i znowu tu wrócę. – Wstawił butelkę w śnieg. – Jak pan myśli: to lipa czy nie, z tym świeżym powietrzem?

– Myślę, że nie – powiedziałem i przypomniałem sobie, jaki był bladej i zielony, kiedy dzisiaj schodził na dół. I zapytałem: – A dlaczego pan tyle pije? W pańskiej sytuacji...

– Eee – powiedział z rozpaczą. – No czy to można bez wódki? – zamilkł. Szliśmy na dół. – Mnie nie wolno – powiedział stanowczo. – Zbyt straszne. Ja bez wódki mogę przecież zwariować.

– No, no, panie Hincus – powiedziałem. – Gruźlicę się teraz leczy. To nie XIX wiek.

– Tak, z pewnością – przytaknął obojętnie. Skręciliśmy w korytarz. W jadalni dźwięczały talerze, szumiały głosy. – Niech pan idzie, ja tylko zdejmę futro – powiedział Hincus i zatrzymał się przy swoich drzwiach.

Kiwnąłem głową i poszedłem do jadalni.

– A gdzie aresztowany? – grzmiąco zapytał Simonet.

– Powiedziałam, że oni nie chcą... – pisnęła Kaisa.

– Wszystko w porządku – zapewniłem ich. – Zaraz przyjdzie.

Usiadłem na swoim miejscu, ale kiedy sobie przypomniałem o tutejszych obyczajach wstałem i poszedłem po zupę. Du Barnstockre opowiadał coś o magii liczb. Pani Moses wydawała zdumione okrzyki. Simonet akompaniował urywanym chichotem. „Niech pan przestanie, Barl... Du... – huczał Moses. – To średniowieczne brednie”. Nalałem sobie solidną porcję zupy i w tym momencie pojawił się Hincus. Wargi mu drżały i znowu był jakiś taki zielonkawy. Powitał go wybuch entuzjazmu, ale on pospieszenie omiół spojrzeniem stół i dziwnie niepewnie skierował się na swoje miejsce między mną a Olafem.

– Nie, nie! – krzyknął właściciel, podbiegając do niego z kieliszkiem nalewki. – Chrzest bojowy!

Hincus przystanął, spojrzął na kieliszek i powiedział coś, czego w tym hałasie nikt nie usłyszał.

– Nie, nie – zaprzeczył gospodarz. – To jest najlepsze lekarstwo. Na wszystkie zmartwienia! Można powiedzieć panaceum. Proszę!

Hincus się nie spierał. Wlał do gardła trunek, odstawił kieliszek na tacę i usiadł za stołem.

– Ach, co za mężczyzna! – z zachwytem powiedziała pani Moses. – Panowie, oto prawdziwy mężczyzna!

Wróciłem na swoje miejsce i zabrałem się do jedzenia. Hincus nie poszedł po zupę, tylko

położył sobie na talerz trochę pieczeni. Teraz wyglądał już nie tak fatalnie i wydawało się, że o czymś intensywnie rozmyślał. Zacząłem słuchać perorowania du Barnstockre'a i wtedy właściciel zastukał nożem o brzeg talerza.

– Drodzy państwo! – zaczął uroczyście. – Proszę o chwilę uwagi. Teraz, kiedy wszyscy już się zgromadzili, pozwolę sobie oznajmić państwu miłą nowinę. Wychodząc naprzeciw licznym życzeniom, administracja hotelu podjęła decyzję zorganizowania uroczystego balu Powitania Wiosny. Obiad będzie trwał nieskończenie! Tańce, proszę państwa, wino, karty, wesołe pogawędki!

Simonet z trzaskiem uderzył w kościste dłonie. Pani Moses również zaklaskała. Wszyscy się ożywili i nawet nieustępliwy pan Moses, dobrodusznie pociągnąwszy z kubka, wychrypiął: „No, karty – to jeszcze rozumiem...” A dziecię bębniło widelcem po stole i pokazywało mi język. Taki różowy języczek, zupełnie sympatyczny z wyglądu. I w kulminacyjnym momencie wesołego zamieszania Hincus nagle przysunął się do mnie i zaszeptał mi do ucha.

– Niech pan słucha, inspektorze, podobno jest pan policjantem. Co ja mam zrobić? Zaglądam do swojego bagażu... po lekarstwa. Kazano mi pić przed obiadem takie coś... Miałem... no takie tam... ciepłe ubranie, futrzaną kamizelkę, skarpetki... No i nic z tego nie zostało. Jakieś cudze szmaty, podarta bielizna... i książki...

Ostrożnie położyłem łyżkę na stole i spojrzałem na Hincusa. Jego prawa powieka podrygiwała, oczy miał okrągłe, a w tych oczach był strach. Niebezpieczny gangster. Maniak i sadysta.

– No dobrze – powiedziałem przez zęby. – A czego pan chce ode mnie?

Hincus od razu jakby zmalął i wciągnął głowę w ramiona.

– Nie, nic... niczego... Tylko nie rozumiem, czy to żart, czy coś... Jeżeli kradzież, to przecież pan jest policjantem... A może, oczywiście, jakiś żart, jak pan sądzi?

– Tak – powiedziałem, odwracając od niego oczy i znowu zabierając się do zupy. – Tu wszyscy żartują. Niech pan to potraktuje jako żart, Hincus.

## Rozdział VI

Ku mojemu niemałemu zdumieniu wieczorynka się udała. Obiad, niezbyt solidny, zjedzono szybko i nieuważnie, i nikt nie opuścił jadalni oprócz Hincusa, który mruczając jakieś usprawiedliwienia, powłókł się z powrotem na dach, aby przemywać płuca górskim powietrzem. Przez moment nawet przemknęło mi przez głowę, żeby znowu iść do jego numeru i zabrać z tobołka ten przeklęty zegarek. Żarty żartami, a z tego zegarka mogą wyniknąć poważne kłopoty. A chyba kłopotów ma już dość, pomyślałem. Podobnie i ja mam ich dość, tak jak głupich żartów i własnej głupoty. Upiję się, postanowiłem, i od razu poczułem się lepiej. Popatrzyłem na stół i zamieniłem kieliszek na szklankę. Co mnie to wszystko obchodzi? Jestem na urlopie. I prawdę mówiąc, żaden ze mnie policjant. Nie ma znaczenia, co ja tam napisałem przy meldunku... Tak naprawdę to przecież jestem nauczycielem gimnastyki w stanie spoczynku... Nie, w rzeczywistości, jeśli już ktoś koniecznie chce wiedzieć, jestem agentem handlowym. Sprzedaję używane umywalki. I miski klozetowe. Machinalnie pomyślałem, że jak na kuratora do spraw, nawet do spraw nieletnich, Hincus ma wyjątkowo ubogi słownik. Odpędziłem od siebie tę myśl i z maksymalnie dobrą wolą zaśmiałem się razem z Simonetem nad jego kolejnym szampańskim dowcipem, którego nie dosłyszałem. Wypiłem duszkiem pół szklanki brandy i nalałem sobie jeszcze. Zaszumiało mi w głowie.

A tymczasem zaczęła się zabawa. Kaisa jeszcze nie zdążyła uprzątnąć naczyń, kiedy pan Moses i du Barnstockre, wykonując zapraszające gesty, podążyli do pokrytego zielonym sukniem karcianego stolika, który zjawił się nagle w kącie jadalni. Właściciel hotelu włączył ogłuszającą muzykę. Olaf i Simonet jednocześnie znaleźli się przed panią Moses, a ponieważ okazało się, że dama nie jest w stanie wybrać żadnego z kawalerów, więc zatańczyli we troje. Dziecię ponownie pokazało mi język. Słusznie! Jakoś wydostałem się z za stołu i stąpając w miarę możliwości pewnie, zaniósłem tej hultajce... temu hultajowi butelkę i szklankę.

– Zatańczymy, mademoiselle? – zapytałem i opadłem na krzesło obok dziecięcia.

– Ja nie tańczę, droga pani – leniwie odpowiedziało dziecię. – Zamiast się wygłupiać, niech mi pan da lepiej papierosa.

Dałem papierosa, golnąłem jeszcze brandy i zacząłem tłumaczyć temu stworzeniu, że jego zachowanie – zacho – wa – nie! – jest głęboko niemoralne i że tak nie wolno! Że je kiedyś spiorę – niech no tylko przyjdzie odpowiednia pora. Albo też, dodałem po chwili namysłu, pociągnę do odpowiedzialności za noszenie niestosownego ubrania w miejscach użyteczności publicznej. Rozwieszanie transparentów, powiedziałem. Bardzo brzydko. Na drzwiach. Szokuje i ekscytuje... Ekscytuje! Jestem uczciwym handlowcem i nie pozwolę nikomu... Olśniła mnie wspaniała myśl. Poskarżę się na panią policji, powiedziałem, zanosząc się radosnym śmiechem. Ze swojej strony mogę pani zaproponować... nie, oczywiście nie miskę klozetową, naturalnie, to byłoby

niestosowne, tym bardziej przy stole... ale... prześliczną umywalkę. W cudownym stanie, bez względu na wszystko. Z firmy Paweł Bure. Życzy pani sobie? Jak urlop, to urlop!

Dziecię coś mi tam odpowiadało, dosyć nawet dowcipnie, to schrypniętym chłopięcym basem, to łagodnym dziewczęcym altem. W głowie mi się nieźle kręciło i po niedługim czasie zacząłem odnosić wrażenie, że rozmawiam z dwiema osobami jednocześnie. Jedną z nich był zepsuty podrostek, który zszedł na złą drogę i który przez cały czas żłopał moją brandy, i za którego ponosiłem odpowiedzialność jako policjant i w ogóle jako człowiek przewyższający go stanowiskiem służbowym. I jednocześnie była tu czarująca ponętna dziewczyna, która, dzięki Bogu, zupełnie, ale to zupełnie nie była podobna do mojej starej, i wobec której moje uczucia stawały się coraz mniej ojcowskie. Usadzając bez przerwy wtrącającego się do rozmowy wyrostka, wyłożyłem dziewczynie swoje poglądy na małżeństwo jako na dobrowolny związek dwojga serc, które przyjęły na siebie określone moralne zobowiązania. I żadnych motorowerów, motocykli, dodałem surowo. To musimy uzgodnić natychmiast. Moja stara tego nie toleruje... Uzgodniliśmy i wypiliśmy, najpierw z chłopakiem, potem z dziewczyną, moją narzeczoną. Dlaczego u diabła, młoda, pełnoletnia panna nie miałyby wypić odrobiny dobrego koniaku? Powtórzywszy nieco wyzywająco trzykrotnie tę myśl, która mnie samemu prawdę powiedziawszy, wydała się nieco dyskusyjna, rozparłem się na krześle i rozejrzałem po sali. Wszystko szło znakomicie. Ani prawo, ani normy moralne nie były naruszone. Nikt nie wywieszał transparentów, nie pisał listów, nie kradł zegarków. Grzmiała muzyka. Du Barnstockre, Moses i właściciel hotelu rznęli w trzynastkę, bez ograniczania stawek. Pani Moses dziarsko tańczyła z Simonetem coś niezmiernie nowoczesnego. Kaisa sprzątała ze stołu. Talerze, widelce i Olaf tylko wirowały wokół niej. Cała zastawa stołowa znajdowała się w ruchu – z trudem zdążyłem złapać uykającą butelkę i zalałem sobie spodnie.

– Brune – powiedziałem z przejęciem – proszę nie zwracać uwagi. To tylko głupie żarty. Wszystkie te złote zegarki i podszewki... – W tym momencie mnie olśniło. – A co, chłopcze? Może cię nauczyć strzelać z pistoletu?

– Nie jestem chłopcem – smutno powiedziała dziewczyna. – Przecież się zaręczyliśmy.

– Tym bardziej! – zawołałem z entuzjazmem. – Mam damski browning...

Przez czas jakiś rozmawialiśmy o pistoletach, pierścionkach zaręczynowych i, niewiadomo dlaczego, o telekinezie. Potem opadły mnie wątpliwości.

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Tak to ja się nie zgadzam. Najpierw proszę zdjąć okulary. Nie będę kupował kota w worku.

To był błąd. Dziewczyna obraziła się i gdzieś przepadła, a wyrostek został i zaczął mi ubliżać. Ale właśnie wtedy podeszła pani Moses i zaprosiła mnie do tańca, więc zgodziłem się z przyjemnością. Już po minucie uzyskałem pewność, że los mój powinienem związać z panią Moses i tylko z nią. Z moją Olgą. Miała bosko miękkie ramiona, ani trochę nie szorstkie od

wiatru, i chętnie zezwalała, żebym je całował. Miała też wspaniałe oczy, nieprzesłonięte żadną optyką, rozsiewała cudowną woń i nie miała żadnego krewnego ani brata, ordynarnego, źle wychowanego młodzieńca, który nie da nawet słowa powiedzieć. Co prawda nie wiadomo dlaczego, przez cały czas w pobliżu kręcił się posępny figlarz i wielki fizyk Simonet, ale to łatwo można było znieść, ponieważ Simonet nie był krewnym pani Moses. Obaj byliśmy niemłodymi już, doświadczonymi ludźmi, oddawaliśmy się radościom uczuć, jak radził lekarz, i depcząc jeden drugiemu po nogach, mężnie i uczciwie przyznawaliśmy „wybacz mi stary, to moja wina...”

Potem jakoś niespodziewanie wytrzeźwiałem i stwierdziłem, że wraz z panią Moses stoję za okienną portierą. Obejmowałem ją w talii, a ona, skłoniwszy mi głowę na ramię, mówiła:

– Spójrz, jaki cudowny widok!

To nieoczekiwane przejście na „ty” stropiło mnie nieco i zacząłem tępo wpatrywać się w pejzaż, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób bezboleśnie wycofać swoją rękę, dopóki nas nie nakryto. Zresztą pejzaż istotnie nie był pozbawiony uroku. Księżyc znajdował się już wysoko, dolina wydawała się błękitna w jego świetle, bliskie góry wyglądały jak zawieszony w nieruchomym powietrzu. Zauważyłem też przygnębiony, smętny cień nieszczęsnego, skulonego na dachu Hincusa i mruknąłem:

– Biedny Hincus...

Pani Moses z lekka się odsunęła i ze zdumieniem obejrzała mnie od stóp do głów.

– Biedny? – zapytała. – Dlaczego biedny?

– Jest ciężko chory – wyjaśniłem jej. – Ma gruźlicę i strasznie się boi.

– Tak, tak – podchwyciła pani Moses. – Pan też to zauważył? On ciągle czegoś się boi. To jakiś podejrzany i bardzo nieprzyjemny człowiek. Doprawdy nie z naszej sfery...

Niewesoło pokręciłem głową i westchnąłem.

– I pani tak samo jak inni... – powiedziałem. – Nie ma w nim nic podejrzanego. Po prostu samotny, nieszczęśliwy człowiek. Budzący litość. Gdyby pani zobaczyła, jak on co chwila poci się i zielenieje. A do tego jeszcze ktoś robi mu głupie dowcipy...

Pani Moses nagle zaniósła się swoim cudownym kryształowym śmiechem.

– Hrabia Grastock, zdarzało się, także zieleniał co minuta. Był tak niebywale zabawny!

Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź i z ulgą zdejmując wreszcie rękę z jej talii, zaproponowałem papierosa. Pani Moses odmówiła i zaczęła mi opowiadać coś tam o hrabiach, baronach i księciach, a ja patrzyłem na nią i wciąż próbowałem sobie przypomnieć, kiedy i w jaki sposób znalazłem się za tą portierą. Wtedy portiera z trzaskiem odjechała i przed nami pojawiło się dziecię. Nie patrząc na mnie, niezgrabnie szurnęło nogą i ochryple wyrzekło:

– *Permettez vous.*

– *Bitte*, mój chłopcze – z czarującym uśmiechem powiedziała pani Moses, ofiarowała mi

kolejny olśniewający uśmiech i w ramionach dziecięcia popłynęła na parkiet.

Odetchnąłem z ulgą i otarłem czoło chusteczką. Stół był już uprzątnięty. Trójka karciarzy w kącie nadal tkwiła w szponach hazardu. Simonet trząsał kulami w sali bilardowej. Olaf i Kaisa wyparowali. Muzyka grzmiała nieco ciszej, pani Moses i Brune demonstrowali niespotykane mistrzostwo. Ostrożnie ich obszedłem i udałem się do sali bilardowej.

Simonet oddał mi honory machnięciem kija i nie tracąc ani sekundy bezcennego czasu, zaproponował mi pięć bil forów. Zdjąłem marynarkę, zakasałem rękawy i gra się rozpoczęła. Przegrałem mnóstwo partii i za karę musiałem wysłuchać wielu dowcipów. Zrobiło mi się cudownie lekko na duszy. Śmiałem się z kawałów, których prawie nie rozumiałem, ponieważ mowa w nich była o jakichś kwarkach, lewoskrętnych krowach i profesorach o 7agranicznych nazwiskach; piłem wodę sodową, nie ulegając namowom ani szyderstwom partnera, z jękiem chwytałem się za serce, kiedy chybiałem, i wpadałem w niezmierną pychę, ilekroć trafiłem, wymyślałem nowe zasady gry i z zapałem uzasadniałem ich słuszność. Rozbestwiłem się nawet do tego stopnia, że zdjąłem krawat i rozpiąłem kołnierzyk pod szyją. Moim zdaniem byłem w nadzwyczajnej formie. Simonet też był w formie. Przeprowadzał nieprawdopodobne i teoretycznie niemożliwe kombinacje, biegał po ścianach i zdaje się, że nawet po suficie, w przerwach między opowiadaniem dowcipów wyśpiewywał na całe gardło piosenki o treści matematyczno-fizycznej; bez przerwy mylił się i przechodził na „ty”, i mówił przy tym: „Przepraszam, stary! To przez to przeklęte demokratyczne wychowanie!”

Przez otwarte drzwi momentami widziałem to Olafa tańczącego z dziecięciem, to właściciela hotelu niosącego tacę z napitkami dla swoich partnerów, to zarumienioną Kaisę. Muzyka wciąż grzmiała, karciarze wydawali zapalczywe okrzyki, to meldując piki, to grając kiery, to atutując karami. Od czasu do czasu dobiegało do nas ochryple: „Niech no pan posłucha, Drabi... Barnl... du!” – i oburzony stukot kubkiem o stół i głos Aleca: „Panowie, panowie, pieniądze to tylko marność...” Rozbrzmiewał kryształowy śmiech pani Moses i jej głosik: „Co ty robisz, mężu, przecież piki już zesły...” Potem zegar wybił wpół do którejś, w jadalni zaszurały krzesła i zobaczyłem, jak Moses klepie du Barnstockre’a po ramieniu, i usłyszałem huczący głos: „Gra była niezła, Barns... du... Pan jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Dobrej nocy, panowie! Chodźmy, moja droga”. Potem, jeśli dobrze pamiętam, Simonetowi zabrakło, jak się wyraził, materiałów pędnych, więc poszedłem do jadalni po nową butelkę brandy, zdecydowawszy, że dobrze byłoby postarać się o nowy zapas wesołości i beztroski.

W jadalni ciągle jeszcze grała muzyka, ale nikogo już nie było, tylko du Barnstockre, siedząc tyłem do mnie przy zielonym stoliku, w zadumie czynił cuda za pomocą dwu talii kart. Płynnymi ruchami wąskich białych dłoni wydobywał karty z powietrza, sprawiał, że znikwały, przerzucał talię z ręki do ręki migotliwą strugą, rozsypywał ją wachlarzem w powietrzu i odsyłał w niebyt. Nie zauważył mnie, a ja nie chciałem mu przeszkadzać. Po prostu wziąłem z bufetu butelkę i na

palcach wróciłem do sali bilardowej.

Kiedy w butelce zostało nieco więcej niż połowa, potężnym uderzeniem wysłałem za burtę od razu dwie bile i podarłem sukno na stole bilardowym. To już była pewna przesada.

– Dosyć – powiedziałem i odłożyłem kij. – Pójdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Minąłem jadalnię teraz już całkowicie opustoszałą, zszedłem do holu i wyszedłem na werandę. Nie wiadomo dlaczego, było mi smutno, że zabawa się już skończyła, a nic ciekawego się nie stało, że straciłem szansę na panią Moses i zdaje się wygadywałem jakieś głupstwa do dziecięcia ukochanego nieboszczyka brata pana du Barnstockre'a, i że księżyc jest taki jasny, maleńki i lodowaty, że na wiele kilometrów wokół jest tylko śnieg i skały. Porozmawiałem z bernardynem kończącym właśnie swój nocny obchód i pies zgodził się, że faktycznie noc jest zbyt cicha i pustynna i że samotność – przy wszystkich swoich ogromnych zaletach – to parszywe uczucie, ale kategorycznie odmówił napelnić dolinę wyciem albo w ostateczności zaszczekać razem ze mną. W odpowiedzi na moje prośby tylko potrząsnął głową, niezadowolony odszedł i położył się pod gankiem.

Przespacerowałem się w tę i z powrotem po oczyszczonej ze śniegu ścieżce przed frontonem hotelu. Żółto świeciło okno w kuchni, różowo okno w sypialni pani Moses, paliło się światło i u du Barnstockre'a, i za portierami w jadalni, pozostałe okna były ciemne, tylko okno Olafa było otwarte na oścież, tak jak rano. Na dachu samotnie sterczał opatulony futrem po same uszy nieszczęsny Hincus, równie samotny jak my zLelle'em, ale jeszcze nieszczęśliwszy, przygarbiony pod brzemieniem swojej choroby i swojego strachu.

– Hincus! – zawołałem cichutko, ale kurator nawet nie drgnął. Może drzemał, a może nie usłyszał przez ciepłe nauszники i podniesiony kołnierz.

Zmarzłem i z przyjemnością poczułem, że nastąpił właściwy moment, żeby wypić szklanekę gorącego portweinu.

– Idziemy Lelle – powiedziałem i wróciliśmy do holu. Tam podzieliłem się swoim pomysłem z właścicielem i napotkałem całkowite zrozumienie.

– To jest pomysł – powiedział. – Idź do salonu, a ja pójdę wydać odpowiednie polecenia.

Przyjąłem zaproszenie i usadowiwszy się przed ogniem, grzałem zmarznięte ręce. Słyszałem, jak Alec chodzi po holu, coś przykazuje Kaisie, znowu chodzi po holu, pstryka kontaktami, potem jego kroki ucichły i w jadalni umilkła muzyka. Ciężko stąpając po schodach, znowu zszedł do holu, niegłośno zawstydzony Lelle'a: „Nie, nie – mówił surowo – znowu zachowałeś się skandalicznie. Tym razem nawet w samym domu. Pan Olaf skarżył się na ciebie, to coś haniebnego. Gdzie to widziane, żeby przywoity pies...”

A więc wiking został pohańbiony powtórnie, pomyślałem ze złośliwą satysfakcją. Przypomniałem sobie, jak Olaf tańczył z dziećmi i moja satysfakcja wzrosła. Dlatego, kiedy pełen winy Lelle podszedł do mnie z opuszczoną głową, stukając pazurami, i wsunął mi zimny

nos w dłoń, poklepałem go po szyi i szepnąłem: „Dobrze mu tak, jesteś dzielnym psem!”

Zapaliłem papierosa, wrzuciłem zapalną do kominka i w tym samym momencie lekko drgnęła podłoga, żałośnie zabrzęczały szyby i do moich uszu dobiegł daleki potężny łoskot. Lelle podniósł łeb i nadstawił uszu. Machinalnie spojrzałem na zegarek – były dwie minuty po dziesiątej. Czekałem w napięciu. Łoskot się nie powtórzył. Gdzieś na górze z całej siły trzasnęły drzwi, zadźwięczały naczynia w kuchni. Kaisa powiedziała głośno: „O Boże!” Wstałem, ale wtedy znowu usłyszałem czyjeś kroki i do salonu wszedł Alec z dwiema szklankami gorącego portweinu.

– Słyszałeś? – zapytał.

– Tak. Co to było?

– W górach zeszła lawina. I to gdzieś blisko... Poczekaj no, Peter.

Postawił szklanki na gzymsie kominka i wyszedł. Wziąłem szklankę i znowu usiadłem w swoim fotelu. Byłem całkowicie spokojny. Lawin się nie bałem, a portwein z cynamonem i cytryną był ponad wszelkie pochwały. Dobrze mi! – pomyślałem i usadowiłem się wygodniej.

– Dobrze jest! – powiedziałem na głos. – Prawda, Lelle?

Lelle nie zaprzeczył, chociaż nie dostał gorącego portweinu. Alec wrócił. Wziął swoją szklankę, usiadł obok i przez jakiś czas patrzył w rozżarzone węgle.

– Leżymy martwym bykiem, Peter – głucho i uroczyście oznajmił wreszcie. – Jesteśmy odcięci od świata.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Do kiedy masz urlop? – zapytał tym swoim głuchym głosem.

– Powiedzmy do dwudziestego. A o co chodzi?

– Do dwudziestego – wolno powtórzył Alec. – Ponad dwa tygodnie... Tak, to masz szansę na czas wrócić do pracy.

Postawiłem swoją szklankę na kolanie i z sarkazmem popatrzyłem na tego mistyfikatora.

– Wyrażaj się jasno, Alec – powiedziałem. – Nie oszczędzaj mnie. Co się stało? Czy on wreszcie wrócił?

Gospodarz z zadowoleniem wyszczerzył zęby.

– Nie. Do tego na szczęście na razie nie doszło. Muszę ci powiedzieć – niech to zostanie między nami – że on był wyjątkowo kłótlwym i kapryśnym typem, i gdyby on wrócił... Zresztą, o martwych albo dobrze, albo wcale. Porozmawiamy o żywych. Cieszę się, że masz w zapasie dwa tygodnie, ponieważ wcześniej być może nas raczej nie odkopią.

Zrozumiałem.

– Zawaliło drogę?

– Tak. Próbowałem połączyć się z Muir. Telefon nie działa. To może oznaczać tylko to, co oznaczało już kilkakrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat – lawina zasypała Wilczą Gardziel.



Jechałeś tamtędy, to jedyny wjazd do mojej doliny.

Napił się.

– Od razu zrozumiałem, co się stało – mówił dalej. – Lawina zeszła na północ od nas. Teraz pozostaje nam tylko czekać. Zanim sobie o nas przypomną, zanim zorganizują ekipę ratunkową.

– Wody nam wystarczy – powiedziałem w zamyśleniu. – Ale czy nie będziemy skazani na ludożerstwo?

– Nie – odpowiedział właściciel hotelu z wyraźnym żalem. – Chyba że będziecie chcieli urozmaicić sobie jadłospis.

– A co z opałem?

– Zawsze mamy w zapasie moje silniki.

– Hm... – powiedziałem. – Czy są z drewna?

Właściciel spojrzał na mnie z wyrzutem.

– A dlaczego nie pytasz, jak wygląda problem alkoholu?

– A jak wygląda?

– Jeżeli chodzi o alkohol – dumnie oświadczył Alec – sprawy stoją wyjątkowo dobrze. Samej tylko firmowej nalewki mamy sto dwadzieścia butelek.

Przez jakiś czas w milczeniu patrzyliśmy w ogień, spokojnie pociągając ze szklanek. Było mi dobrze jak nigdy dotąd. Rozmyślałem o perspektywach, które właśnie się przede mną pojawiły, i im bardziej o nich myślałem, tym bardziej mi się podobały. Potem Alec nagle powiedział:

– Jedno tylko mnie martwi, Peter, mówiąc serio. Odnoszę wrażenie, że straciłem dobrych klientów.

– Dlaczego? – zapytałem. – Moim zdaniem sprawy wyglądają odwrotnie. Osiem tłustych much wpadło w twoją pajęczynę. Masz pojęcie, jaka to reklama? Wszyscy będą potem opowiadać, jak byli żywcem pogrzebani i omal nie pozjadali się nawzajem...

– To prawda – ze słuszną dumą potwierdził właściciel. – Myślałem już o tym. Ale przecież much mogłoby być więcej, lada moment powinni byli przyjechać przyjaciele Hincusa...

– Przyjaciele Hincusa? – zdziwiłem się. – Powiedział, że czeka na przyjaciół?

– Nie powiedział. Ale wyobraź sobie, że Hincus dzwonił do Muir na pocztę i podyktował depeszę. – Alec podniósł palec do góry i uroczyście wyrecytował: – „Muir, hotel Pod Poległym Alpinistą. Czekam, pospieszcie się”.

– Nigdy bym nie pomyślał – mruknąłem – że Hincus ma przyjaciół, którzy chcieliby dzielić z nim samotność. Chociaż... dlaczego by nie? *Pourquois pas*, że tak powiem.

## Rozdział VII

Okolo północy wysuszyliśmy z Alekiem dzbanek gorącego portweinu, przedyskutowaliśmy sposób najefektowniejszego zawiadomienia pozostałych gości o tym, że zostali żywcem zamurowani w dolinie, rozwiązaliśmy kilka ogólnoswiatowych problemów, jak na przykład – czy ludzkość jest skazana na wymarcie (skazana, nas jednak już wtedy nie będzie), czy bernardyn Lelle jest istotą rozumną, czy też nie jest (jest, jednakże nie ma żadnego sposobu przekonania o tym bałwanów – uczonych), czy zagraża wszechświatowi tak zwana śmierć cieplna (nie, nie zagraża, ponieważ Alec ma w szopie perpetuum mobile zarówno pierwszego, jak i drugiego rodzaju), jakiej płci jest Brune (tu nie miałem żadnego pomysłu, a Alec wysunął i uzasadnił dziwną hipotezę, jakoby Brune to było zombi. To znaczy trup ożywiony za pomocą magii i nieposiadający żadnej płci).

Kaisa sprzątnęła w jadalni, zmyła wszystkie naczynia i przyszła zapytać, czy może już iść spać. Pozwoliliśmy. Patrząc za nią, gospodarz poskarżył mi się na samotność i na to, że żona go opuściła. To znaczy, może nie to, że go opuściła... to nie takie proste... ale mówiąc wprost, teraz nie ma żony. Odpowiedziałem, że nie radzę mu się żenić z Kaisą. Po pierwsze, to zaszkodziłoby hotelowi. A po drugie, Kaisa zbyt lubi mężczyzn, żeby została dobrą żoną. Gospodarz przyznał, że mam rację, on sam wiele o tym myślał i doszedł do identycznych wniosków, ale, powiedział, z kim jeszcze mógłby w takim razie się ożenić, jeśli na wieki jesteśmy teraz zamurowani w tej dolinie. Okazało się, że nie mam pojęcia, co mu doradzić. Wyznałem tylko, że sam już ożeniłem się po raz drugi, i w ten sposób najwidoczniej wyczerpałem jego, to znaczy gospodarza, limit. To była straszna myśl i chociaż Alec natychmiast mi wszystko wybaczył, jednak zrozumiałem, że jestem egoistą i zapomniałem o interesach bliźniego. I żeby jakoś zrekompensować skutki mego paskudnego charakteru, postanowiłem wtajemniczyć gospodarza we wszystkie techniczne subtelnosci techniki fałszowania losów na loterie. Gospodarz słuchał uważnie, ale i to wydało mi się niewystarczające i zażądałem, żeby sobie wszystko zapisał. „Przecież nie zapamiętasz! – powtarzałem z rozpaczą – wytrzeźwiejesz i zapomnisz!” Alec strasznie się przestraszył, że faktycznie nie zapamięta i zażądał przeprowadzenia zajęć praktycznych. Zdaje się, że właśnie w tym momencie Lelle, który drzemał u naszych stóp, zerwał się na nogi i głucho szczeknął. Właściciel wlepił w niego wzrok.

– Nie rozumiem! – powiedział ponuro.

Lelle szczeknął dwukrotnie i skierował się do holu.

– Aha – powiedział właściciel, wstając. – Ktoś do nas przybył.

Poszliśmy za Lelle'm. Wprost ociekaliśmy gościnnością. Lelle stał przed frontowym wejściem. Zza drzwi dobiegały dziwne, skomlące i skrobiące dźwięki. Złapałem Aleca za rękę.

– Niedźwiedź! – wyszeptalem. – Grizzly! Gdzie dubeltówka? Szybko!

– Obawiam się, że to nie niedźwiedź – głuchym głosem powiedział właściciel. – Obawiam się, że to nareszcie on. Trzeba otworzyć.

– Nie trzeba! – błagałem.

– Trzeba. On zapłacił za dwa tygodnie, a mieszkał tylko tydzień. Odbiorą mi licencję.

Za drzwiami coś chrobotać i skomlało. Lelle zachowywał się dziwnie – stał bokiem do drzwi, patrzył na nie pytająco, co chwila hałaśliwie wciągał nosem powietrze. Właśnie tak powinien postępować pies, który po raz pierwszy zetknął się z upiorem, niemniej właściciel śmiało wyciągnął rękę i odsunął zasuwę.

Drzwi się otworzyły i do naszych nóg powoli opadło oblepione śniegiem ciało. Rzuciliśmy się na nie wszyscy troje, wciągnęliśmy je do środka i przewróciliśmy na plecy. Ośnieżony człowiek jęknął i zeszywniał. Oczy miał zamknięte, długi nos mu zbiełał.

Alec, nie tracąc ani sekundy, rozwinął niezmiernie ożywioną działalność. Obudził Kaisę, kazał jej grzać wodę, wlał nieznajomemu do gardła szklankę gorącego portweinu, roztarł mu twarz wełnianą rękawicą, a następnie oznajmił, że trzeba go zanieść do łazienki. „Weź go pod pachy, Peter, ja wezmę za nogi” – zarządził. Wypełniłem polecenie i doznałem lekkiego szoku – nieznajomy był kaleką, prawą rękę miał amputowaną przy samym ramieniu. Przenieśliśmy nieszczęśnika do łazienki, położyliśmy go na ławce, następnie przyleciała Kaisa w samej koszuli i Alec oświadczył mi, że dalej sam sobie da radę.

Wróciłem do salonu i dopiłem swój portwein. Miałem zupełnie jasny umysł, byłem w stanie kojarzyć i analizować z niebywałą szybkością. Nieznajomy był ubrany wyjątkowo niestosownie do pory roku. Miał kusą marynarkę, wąskie spodnie i eleganckie pantofle. Tak ubrany mógł być tylko człowiek, który przyjechał samochodem. To znaczy, że z samochodem coś się stało i musiał iść do hotelu na piechotę. I najwidoczniej szedł bardzo długo, jeśli tak osłabł i zmarł. W tym momencie zrozumiałem – nasz nocny gość jechał samochodem i w Wilczej Gardzieli złapała go lawina. To był przyjaciel Hincusa, jasne! Trzeba obudzić Hincusa... Może w samochodzie jeszcze zostali jacyś ludzie, tak ciężko ranni, że nie mogą się ruszać. Może ktoś już nie żyje... Hincus powinien wiedzieć...

Wybiegłem z salonu i pobiegłem na pierwsze piętro. Światło w korytarzu było zgaszone, dość długo szukałem kontaktu, a potem jeszcze dłużej pukałem do drzwi Hincusa. Hincus nie odpowiadał. Przecież on jest jeszcze na dachu! Czyżby zasnął? A jeśli zamarł? – przeraziłem się i wbiegłem po schodach na górę. Tak, zgadza się. Hincus siedział w niezmienionej pozycji, nastroszony, głowę schował w ogromnym kołnierzu, a dłonie w rękawach.

– Hincus! – wrzasnąłem.

Nie poruszył się. Wobec tego podbiegłem do niego i potrząsałem go za ramię. Osłupiałem. Hincus nagle jakoś dziwnie osiadł, miękko uginając się pod moją dłoń.

– Hincus! – powtórzyłem stropiony i odruchowo go podtrzymałem.

Futro osunęło się i ze środka wyleciało kilka brył śniegu, futrzana czapka spadła i dopiero teraz zrozumiałem, że to nie Hincus, tylko bałwan śniegowy w futrze Hincusa. W tym właśnie momencie wytrzeźwiałem ostatecznie. Szybko rozejrzałem się dookoła. Wprost nad moją głową wisiał malutki, jasny księżyc, widno było jak w dzień. Na dachu było mnóstwo śladów, ale wszystkie jednakowe, nie wiadomo czyje. Obok leżaka śnieg był zdeptany, zryty i rozrzucony – albo tu ktoś walczył, albo zbierał śnieg do ulepienia tego bałwana. Śnieżna dolina jak okiem sięgnąć była pusta i czysta, ciemna wstęga drogi biegła na północ i ginęła w szarobłękitnawej mgiełce przesłaniającej wylot Wilczej Gardzieli.

„Stop!” – powiedziałem sobie, starając się wziąć w garść. Spróbujmy zrozumieć, po co Hincusowi potrzebna była ta maskarada. Niewątpliwie po to, żeby wszyscy myśleli, że siedzi na dachu, a on tymczasem był zupełnie gdzie indziej i załatwiał swoje ciemne sprawy... Pseudogruźlik, pseudobiedactwo... Jakie sprawy i gdzie? Znowu uważnie obejrzałem dach, spróbowałem zorientować się w śladach. Nic mi to nie dało, znalazłem tylko dwie butelki – jedna pusta, w drugiej zostało trochę brandy. I ta resztką brandy mnie wykończyła. Zrozumiałem, że w momencie, kiedy Hincus uznał za możliwe zmarnowanie brandy na sumę co najmniej pięciu koron, sprawa stała się poważna. Powoli zszedłem na pierwsze piętro, znowu zapukałem do Hincusa, i znowu nikt się nie odezwał. Na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. Przygotowany na wszelkie niespodzianki, wyciągnąwszy rękę przed siebie, żeby się zabezpieczyć przed niespodzianym atakiem z ciemności, wszedłem do środka, szybko namacałem kontakt, zapaliłem światło. W pokoju z pozoru wszystko było jak poprzednio, torby leżały na poprzednich miejscach, ale obie były otwarte. Hincusa, rzecz jasna, w numerze nie było, zresztą nie liczyłem, że go tu znajdę. Przysiadłem nad torbami i ponownie starannie zbadałem ich zawartość. Nie znalazłem nic nowego poza jednym małym wyjątkiem – znikł zarówno złoty zegarek, jak i browning. Gdyby Hincus uciekł, zabrałby ze sobą pieniądze. Taka harmonia forsy... To znaczy, że nie uciekł. To znaczy, że tu jest. A nawet jeśli gdzieś wyszedł, to zamierza wrócić.

Jedno było dla mnie jasne – przygotowywano jakieś przestępstwo. Jakie? Morderstwo? Rabunek? Myśl o morderstwie pospiesznie odpędziłem od siebie. Po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, kogo tu można zamordować i po co. Potem przypomniałem sobie kartkę, którą podrzucono du Barnstockre'owi. Zrobiło mi się nieswojo. Zresztą z treści kartki wynikało, że zabiją go tylko w wypadku, gdyby próbował uciekać.

Zgasilem światło, wyszedłem na korytarz i zamknąłem za sobą drzwi. Podeszedłem do drzwi du Barnstockre'a i nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Wobec tego zapukałem. Nikt się nie odezwał. Zapukałem powtórnie i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza. Niewyraźny, senny głos du Barnstockre'a powiedział: „Jedną sekundę, ja zaraz...” Stary był żywy i nie zamierzał uciekać. Nie miałem ochoty wdawać się w wyjaśnienia, umknąłem na podest i przyczałem się pod

schodami na dach. Po minucie szczęknął klucz, zaskrzypiały drzwi. Głos du Barnstockre'a ze zdumieniem orzekł: „To nader dziwne...” Znowu skrzypnęły drzwi, znów szczęknął klucz. Tu było wszystko w porządku, przynajmniej na razie.

„Nie – powiedziałem do siebie stanowczo – morderstwo to oczywiście bzdura i list podrzucono mu dla zamydlenia oczu albo dla żartu. Ale rabunek? O ile się orientuję, w hotelu mieszkają dwaj bogaci ludzie. Moses i właściciel hotelu. Tak. Znakomicie. Obaj na parterze. Pokoje Mosesa są w południowym skrzydle, a sejf Aleca w północnym. W środku sali. Jeżeli zasadzę się w holu...” Tyle że do biura można się dostać z góry, schodząc z jadalni do kuchni, potem przez bufet. Nagle przypomniałem sobie o jednorękim gościu. Hm... Wygląda na to, że to przyjaciel Hincusa, a więc i wspólnik. Być może naprawdę miał wypadek, a może to wszystko komedia jak ten bałwan na dachu... Nie, panowie, nas na to nie nabierzecie!

Zszedłem na dół. W łazience nie było już nikogo, a na środku holu stała Kaisa w mokrej nocnej koszuli, z obłędem w oczach. W rękach trzymała mokre i wymięte ubranie nieznanego. W korytarzu południowego skrzydła paliło się światło, z wolnego pokoju naprzeciw salonu dobiegał przygłuszony bas właściciela hotelu. Nieznanego najwidoczniej umieszczono właśnie tam i możliwe, że właśnie o to mu chodziło. Sprytne obliczenie – kto będzie taszczył półżywego człowieka na pierwsze piętro...

Kaisa wreszcie oprzytomniała i zamierzała odejść, ale zatrzymałem ją. Zabrałem ubranie nieznanego i je przeszukałem. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu w kieszeniach nie znalazłem nic. Dosłownie nic. Ani pieniędzy, ani dokumentów, ani papierosów, ani chustki do nosa – niczego.

– Co on ma teraz na sobie? – zapytałem.

– Jak to? – zapytała Kaisa i zostawiłem ją w spokoju.

Oddałem jej ubranie i poszedłem obejrzeć naszego gościa. Leżał w łóżku otulony kołdrą po samą brodę. Alec poił go z łyżeczki czymś gorącym, pogadując: „Trzeba, drogi panie, trzeba... trzeba się spocić... trzeba się dobrze spocić...” Nieznajomy, mówiąc prawdę, wyglądał przerażająco. Twarz sina, koniuszek ostrego nosa biały jak śnieg. Jedno oko boleśnie zmrużone, drugie w ogóle zamknięte. Pojękiwał cicho przy każdym oddechu. Jeśli nawet jest czymś wspólnikiem, to nie nadaje się do niczego. Ale kilka pytań musiałem mu zadać. Bez względu na okoliczności.

– Jest pan sam? – zapytałem.

Nieznanomy w milczeniu patrzył na mnie zmrużonym okiem.

– Czy ktoś został w samochodzie – zapytałem z naciskiem – czy też jechał pan sam?

Leżący otworzył usta, kilkakrotnie odetchnął i znowu zacisnął wargi.

– Bardzo słaby – powiedział Alec. – Leciał nam przez rękę.

– Do diabła – wymruczałem. – A przecież ktoś będzie musiał teraz pojechać do Wilczej

Gardzieli.

– Jasne – zgodził się właściciel. – Może tam ktoś został... Myślę, że dostali się w lawinę.

– Będziesz musiał pojechać – powiedziałem stanowczo. I w tym momencie nieznajomy przemówił.

– Olaf – powiedział bezbarwnym głosem. – Olaf And-va-ra-fors... Zawołajcie.

Był to dla mnie kolejny szok.

– Aha – powiedział właściciel i odstawił na stół filiżankę z płynem. – Zaraz go zawołam.

– Olaf – powtórzył nieznajomy.

Alec wyszedł, a ja usiadłem na jego miejscu. Czułem się jak idiota, a jednocześnie zrobiło mi się lżej na sercu – ponura przy całej swej doskonałości konstrukcja, którą zbudowałem, rozsypała się.

– Pan był sam? – zapytałem.

– Sam... – wyjąkał nieznajomy. – Wypadek... Zawołajcie Olafa... Gdzie jest Olaf Andvarafors?

– Jest, jest – powiedziałem. – Zaraz przyjdzie.

Nieznajomy zamknął oczy i ucichł. Usiadłem wygodniej. No dobrze. Ale gdzie się podział Hincus? I co z sejfem Aleca? W głowie miałem pełną kaszę.

Wrócił właściciel, brwi miał wysoko uniesione, a wargi zaciśnięte. Nachylił się do mojego ucha i wyszeptał:

– Dziwna historia, Peter. Olaf się nie odzywa. Pokój zamknięty, a spod drzwi ciągnie zimnem. I moje zapasowe klucze gdzieś zginęły...

W milczeniu wyjąłem z kieszeni pęczek kluczy, który gwizdnąłem w kuchni, i oddałem Alecowi.

– Aha – powiedział Alec i wziął klucze. – No, to wszystko jedno. Wiesz co, Peter, chodźmy tam razem. Jakoś mi się to wszystko nie podoba.

– Olaf... – jęknął nieznajomy. – Gdzie Olaf?

– Zaraz, zaraz – odpowiedziałem. Czułem, że drga mi policzek. Wyszliśmy z właścicielem na korytarz. Poleciałem mu, żeby zawołał Kaisę. – Niech siedzi przy tym facecie i nie rusza się, póki nie wrócimy.

– Aha – powiedział właściciel hotelu, poruszając brwiami. – Tak, znaczy się, wyglądają sprawy... Ja też patrzę...

Truchtem pobiegł do siebie, a ja powoli skierowałem się w stronę schodów. Wszedłem już na kilka stopni, kiedy za moimi plecami Cenevert powiedział surowo:

– Chodź tu, Lelle. Siadł. Siedzieć tu... Nikogo nie wpuszczać. Nikogo nie wpuszczać.

Alec dogonił mnie dopiero w korytarzu pierwszego piętra i razem podeszliśmy do numeru Olafa. Zapukałem i w tej samej chwili przed samym swoim nosem zobaczyłem kartkę na

drzwiach. Była przypięta pineską na wysokości oczu. *Byłem zgodnie z umową i nie zastałem Jeśli nadal chce pan rewanzu, do jedenastej jestem do pańskich usług Du B.*

– Widziałeś to? – szybko zapytałem gospodarza.

– Tak. Tylko zapomniałem ci powiedzieć.

Ponownie zapukałem i nie czekając na odpowiedź, odebrałem właścicielowi klucze.

– Który? – zapytałem.

Alec pokazał. Wsadziłem klucz do dziurki. Diabła tam – drzwi były zamknięte od wewnątrz i w dziurce od drugiej strony jeden klucz już tkwił. Gdy się mozoliłem, usiłując go wypchnąć, otworzyły się drzwi sąsiedniego numeru i zawiązując pasek szlafroka, wyszedł na korytarz du Barnstockre, zaspany, ale pełen życzliwości dla świata.

– Co się dzieje, panowie? – zapytał. – Dlaczego uniemożliwia się gościom zasłużony wypoczynek?

– Tysiącrotnie przepraszam, panie du Barnstockre – powiedział właściciel – ale zaistniały pewne okoliczności zmuszające nas do natychmiastowego działania.

– Ach tak? – zainteresował się du Barnstockre. – Mam nadzieję, że nie będę panom przeszkadzał?

Oswobodziłem wreszcie miejsce dla swojego klucza i wyprostowałem się. Spod drzwi ciągnęło zimnem i byłem całkowicie pewien, że pokój okaże się pusty, podobnie jak pokój Hincusa... Przekręciłem klucz i otworzyłem drzwi. Ogarnęła mnie fala mroźnego powietrza, ale prawie tego nie poczułem. Pokój nie był pusty. Na podłodze leżał człowiek. Światła z korytarza było za mało, żeby go rozpoznać. Widziałem tylko ogromne podeszwy na progu przedpokoju. Wszedłem do środka i zapaliłem światło.

Na podłodze leżał martwy Olaf Andvarafors. Był zdecydowanie i beznadziejnie martwy.

## Rozdział VIII

Starannie zamknąłem okno na wszystkie zasuwki, wziąłem walizkę, ostrożnie przekroczyłem przez ciało i wyszedłem na korytarz. Cenevert już czekał na mnie z klejem i paskami papieru. Du Bamstockre nie odszedł, stał tuż, oparty ramieniem o ścianę i wyglądał, jakby mu przybyło dwadzieścia lat. Jego arystokratyczny nos obwisł i podrygiwał żałośnie.

– Jakie to straszne! – szeptał, patrząc na mnie ze zgrozą. – Cóż za koszmar!

Zamknąłem drzwi, zapieczetowałem je pięcioma paskami papieru i dwukrotnie podpisałem się na każdym pasku.

– Jakie to straszne! – nadal szeptał du Bamstockre za moimi plecami. – Żadnej nadziei na rewanż... na nic...

– Proszę wrócić do swojego pokoju – powiedziałem. – Niech pan się zamknie u siebie i czeka, póki pana nie wezwę... Aha, jeszcze jedno. To pański list?

– Mój – odpowiedział du Bamstockre. – Ja...

– Dobrze, o tym później – powiedziałem. – Może pan iść. Alec, obydwa klucze Olafa będę miał przy sobie. Więcej kluczy nie ma? Dobrze. Mam do ciebie prośbę, Alec. Na razie nic nie mów temu... jednorękiemu. Zełżyj mu coś, jeżeli bardzo będzie się niepokoić. Sprawdź w garażu, czy wszystkie samochody są na miejscu... I jeszcze jedno... Jeżeli zobaczysz Hincusa, zatrzymaj go, chociażby przyszło użyć siły. To na razie byłoby wszystko. Będę u siebie w pokoju.

Alec skinął głową i bez słowa poszedł na dół.

W swoim pokoju postawiłem walizkę Olafa na zapaskudżonym stole i otworzyłem ją. Tym razem również wszystko było nie tak jak u ludzi – niewykluczone, że miałem do czynienia z czymś znacznie gorszym niż fałszywy bagaż Hincusa. Tam zresztą znalazłem tylko szmaty i książki. Tu zaś, w płaskiej eleganckiej walizce, wypełniająca ją szczelnie, leżał jakiś aparat – czarna metalowa skrzynka o szorstkiej powierzchni, jakieś różnokolorowe guziki, oszklone otwory, niklowane pokrętła... ani śladu bielizny, piżamy czy mydelniczek... Zamknąłem walizkę, opadłem na fotel i zapaliłem papierosa.

Dobra. A więc, co tu mamy, inspektorze Glebsky? Zamiast leżeć w czystej pościeli i słodko spać. Zamiast wcześniej wstać, obetrzeć się śniegiem, obieć na nartach dookoła dolinę. Zamiast następnie z radością zjeść obiad, zagrać w bilard, poflirtować z panią Moses, a wieczorem usiąść przy kominku ze szklanką gorącego portweinu. Zamiast rozkoszować się każdym dniem pierwszego od czterech lat prawdziwego urlopu... Co mamy zamiast tego wszystkiego? Mamy świeżego trupa. Bestialskie morderstwo. Beznadziejną, niepojętą kryminalną łamigłówkę.

A więc: w nocy z drugiego na trzeci marca, o godzinie zero dwadzieścia cztery roku bieżącego, ja – inspektor Glebsky – w obecności dwóch obywateli o nieskazitelnej opinii, a mianowicie Aleca Ceneverta oraz du Bamstockre'a, znalazłem zwłoki niejakiego Olafa



Andvaraforsa. Zwłoki znajdowały się w numerze wyżej wymienionego Andvaraforsa, który to numer był zamknięty od wewnątrz na klucz, natomiast okno w pokoju było szeroko otwarte. Trup leżał na brzuchu, rozciągnięty na podłodze. Głowa zamordowanego była w bestialski i nienaturalny sposób wykręcona o sto osiemdziesiąt stopni, tak że chociaż ciało leżało na brzuchu, twarz była zwrócona ku sufitowi. Ręce denata były wyciągnięte i niemal dotykały niewielkiej walizki, która to walizka była jedynym bagażem należącym do zmarłego. W prawej dłoni zabity trzymał sznur drewnianych koralii, stanowiący własność, jak to zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, cieszącej się nieskazitelną opinią obywatelki Kaisy. Twarz zabitego wykrzywił grymas, oczy były szeroko otwarte, zęby wyszczerzone. W okolicy ust unosił się słaby, ale wyraźny zapach jakiejś substancji chemicznej, może karbolu, może formaliny. Śladów walki brak. Narzuta na zaścielenym łóżku nieco zmięta, drzwi ściennej szafy uchylone, ciężki fotel, który w pokojach tego rodzaju stoi przy stole, wysunięto na środek pokoju. Żadnych śladów na parapecie ani na gzymsie za oknem nie stwierdzono. Śladów na kluczu... (wyjąłem klucz z kieszeni i jeszcze raz uważnie go obejrzałem)... śladów na kluczu przy ekspertyzie wizualnej również nie stwierdzono. Z powodu braku fachowców, narzędzi oraz laboratorium przeprowadzenie specjalistycznych ekspertyz nie było (i nie jest) możliwe. Na podstawie istniejących danych można przypuszczać, że śmierć nastąpiła wskutek tego, że ktoś okrutnie, z potworną siłą skrzył kark Olafowi Andvaraforsowi.

Niezrozumiały jest dziwny zapach z ust i niezrozumiałe, jak człowiek mógł być tak silny, żeby skrzył kark temu olbrzymowi, i to bez długotrwałej, hałaśliwej i pozostawiającej mnóstwo śladów walki. Zresztą dwa minusy, jak wiadomo, czasami dają plus. Można postawić hipotezę, że Olafa najpierw otruto, a kiedy trucizna spowodowała, że utracił przytomność, dopiero wtedy skrzył mu kark, co zresztą również wymaga niemałej krzepy... Owszem, taka hipoteza coś tam wyjaśnia, chociaż od razu pojawiają się kolejne pytania. Po co dobijano go w taki okrutny i trudny sposób? Dlaczego po prostu nie zabito go nożem czy też ostatecznie nie uduszono sznurem? Wściekłość, nienawiść, zemsta? Sadyzm? Hincus? Może i Hincus, chociaż nie wygląda na wystarczająco silnego do takich ćwiczeń... A może nie Hincus, tylko ten, kto mi podrzucił list o Hincusie?

Nie. W ten sposób do niczego nie dojdę. O Boże, dlaczego to nie jest podrobiony los na loterię albo sfałszowana księgowość? Raz – dwa bym wiedział, o co chodzi... Wiem, co mam zrobić: wsiąść do samochodu, podjechać pod zasypane przejście, na nartach przedostać się do Muir i wrócić tu z chłopakami z wydziału zabójstw. Nawet prawie wstałem, ale potem znowu usiadłem. To rzeczywiście byłoby dobre wyjście, szkoda tylko, że takie fatalne. Zostawić to wszystko na los szczęścia, dać mordercy czas... zostawić bez pomocy du Barnstockre'a, któremu grożono... Zresztą jak niby mam się wydostać przez zawał? Można sobie wyobrazić, jak wygląda lawina w Wilczej Gardzieli.

Ktoś zapukał. Wszedł właściciel hotelu, niosąc na tacy gorącą kawę i kanapki.

– Wszystkie samochody są na miejscu – oznajmił, stawiając przede mną tacę. – Narty również. Hincusa nigdzie nie znalazłem. Na dachu leży jego futro i czapka, ale to na pewno widziałeś.

– Tak, widziałem – mruknąłem, popijając kawę. – A jednoręki?

– Śpi – powiedział Alec. Zacisnął wargi i dotknął palcem zakrzepłych zacieków kleju na stole. – N-no tak...

– Dziękuję, Alec – powiedziałem. – Możesz na razie iść i nic nikomu nie mów. Niech wszyscy śpią.

Cenevert pokręcił głową.

– Za późno. Moses już wstał, pali się u niego światło. Dobrze, pójdę. A Kaisę zamknę, bo to wyjątkowa idiotka... chociaż ona jeszcze nic nie wie.

– I niech nie wie – powiedziałem.

Alec wyszedł. Z rozkoszą wypilem kawę, odsunąłem od siebie talerz z kanapkami i znowu zapaliłem. Kiedy widziałem Olafa ostatni raz? Grałem w bilard, a on tańczył z latoroślą... To było jeszcze przed tym, zanim rozeszli się karciarze... A karciarze rozeszli się, kiedy wybiło wpół do którejś. Natychmiast potem Moses oświadczył, że idzie spać. No, tę godzinę nietrudno będzie ustalić. Ale o ile wcześniej przed tym momentem widziałem Olafa? Chyba jednak niewiele wcześniej. No dobrze, jakoś to wyjaśnimy. Teraz tak – korale Kaisy, kartka du Barnstockre'a, czy coś słyszeli sąsiedzi Olafa – du Barnstockre i Simonet...

Ledwie, ledwie zaczął mi się rysować w myśli jaki taki plan śledztwa, kiedy nagle usłyszałem przytłumione i dosyć silne uderzenia w ścianę od strony pokoju muzeum. Zdaje się, że nawet cichutko zajęczałem z nieprzytomnej wściekłości. Zrzuciłem marynarkę, zakasałem rękawy i na palcach ostrożnie wyszedłem na korytarz. W mordę, pomyślałem, w mordę i w zęby. Ja mu pokażę żarciki, ktokolwiek to jest...

Otworzyłem drzwi i jak pocisk wpadłem do środka. Było ciemno, więc błyskawicznie zapaliłem światło. Pokój był pusty, stukanie nagle ustało, ale czułem, że ktoś tu jest. Wszedłem do toalety, otworzyłem szafę, zajrzałem za zasłony. Za moimi plecami ktoś głucho zamuczał. Podbiegłem do stołu i odciągnąłem ciężki fotel.

– Wyłazić! – wrzasnąłem z furją.

W odpowiedzi rozległo się głucho beczenie. Przykucnąłem i zajrzałem pod stół. Tam, wciśnięty pod blat w strasznie niewygodnej pozycji, okręcony sznurkiem, z kneblem w ustach siedział złożony jak scyzoryk niebezpieczny gangster, maniak i sadysta Hincus, i w półmroku wytrzeszczał na mnie załzawione i umęczone oczy. Wyciągnąłem go na środek pokoju i wyrwałem knebel z ust.

– Co to znaczy? – zapytałem.

W odpowiedzi Hincus zaniósł się kaszlem. Kaszał długo, zachłystując się i chrypiąc, spluwał na wszystkie strony, jęczał i rzeził. Poszedłem do toalety, wziąłem brzytwę Poległego Alpinisty i przeciąłem więzy Hincusa. Biedak tak zdrętwiał, że nie był w stanie nawet ręki podnieść, żeby wytrzeć fizjonomię. Dałem mu wody. Chciwie wypił i nareszcie dał głos – rzucił wiąchę straszliwych i skomplikowanych przekleństw. Pomogłem mu wstać i posadziłem go w fotelu. Bełkocąc przekleństwa, płacząco wykrzywiając twarz, Hincus zaczął obmacywać sobie boki, szyję i nadgarstki.

– Co się z panem stało? – zapytałem.

– Co się stało... – wymamrotał. – Sam pan widzi, co się stało! Związali mnie jak barana i wsadzili pod stół...

– Kto?

– A skąd mam wiedzieć? – zapytał ponuro i nagle cały się zatrzęsł. – O mój Boże – wyjęczał – napiłbym się... Nie ma pan czegoś mocniejszego do wypicia, inspektorze?

– Nie – powiedziałem. – Ale może będę miał. Jak tylko pan odpowie na moje pytania.

Hincus z trudem podniósł lewą rękę i odsunął mankiet.

– O cholera, zegarek mi rozgnietli, dranie... – wychrypiał. – Która teraz godzina, inspektorze?

– Pierwsza w nocy – odpowiedziałem.

– Pierwsza w nocy... – powtórzył. – Pierwsza w nocy! – Oczy mu znieruchomiały. – Nie – powiedział i wstał. – Muszę się czegoś napić. Zejdę do bufetu i wypiję.

Lekkim pchnięciem usadziłem go z powrotem w fotelu.

– Nie ma pośpiechu – powiedziałem.

– Mówię panu, że chcę się napić! – Hincus podniósł głos i znowu spróbował wstać.

– A ja mówię, że nie ma pośpiechu! – powiedziałem, znowu uniemożliwiając mu tę próbę.

– Kim pan jest, żeby tu się rządzić? – na cały głos histerycznie zaskowyczał Hincus.

– Niech pan się nie wydziera – powiedziałem. – Jestem inspektorem policji. A pan jest na liście podejrzanych, Hincus.

– Jakich znowu podejrzanych? – zapytał, z miejsca spuszczać z tonu.

– Sam pan dobrze wie – starałem się wygrać na czasie, żeby wymyślić, co mam robić dalej.

– Ja nic nie wiem – ponuro oświadczył Hincus – Niech mi pan nie zawraca głowy. Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. A pan, inspektorze, odpowie za swoje głupie żarty.

Sam czułem, że przyjdzie mi odpowiadać za moje żarty.

– Niech no pan posłucha, Hincus. W hotelu popełniono morderstwo. Więc lepiej niech pan odpowiada na moje pytania.

Przez jakiś czas Hincus wpatrywał się we mnie w milczeniu – usta miał na wpół otwarte.

– Morderstwo – powtórzył jakby z rozczarowaniem. – A to ci historia! Ale co ja mogę mieć

z tym wspólnego? Przecież mnie samego o mało nie ukatrupili... A kogo zabito?

– No a jak pan myśli? Kogo?

– Skąd mam wiedzieć? Kiedy wychodziłem z jadalni, chyba wszyscy byli żywi. A potem... – zamilkł.

– No – zapytałem. – A co było potem?

– A nic nie było. Siedziałem sobie na dachu, drzemałem. Nagle czuję, że ktoś mnie dusi, wali na ziemię i więcej nic nie pamiętam. Ocknąłem się pod tym parszywym stołem. Mało nie zwariowałem, myślałem, że mnie żywcem pogrzebali. Zacząłem stukać. Stukam, stukam, nikt nie idzie. Potem pan przyszedł. I to wszystko.

– Czy może mi pan powiedzieć, kiedy mniej więcej pana napadnięto?

Hincus popadł w zadumę i znowu przez jakiś czas siedział w milczeniu. Potem wytarł usta dłonią, spojrzął na swoje palce, znowu nim wstrząsnęło, i wytarł rękę o spodnie.

– No? – powiedziałem. Podniósł na mnie oczy bez blasku. – Co?

– Pytam, kiedy mniej więcej pana...

– A... Gdzieś koło dziesiątej. Kiedy ostatni raz patrzyłem na zegarek, była ósma czterdzieści.

– Niech mi pan pokaże swój zegarek – powiedziałem.

Hincus posłusznie odpiął zegarek i podał mi go. Zauważyłem, że jego nadgarstek jest pokryty czerwono-sinymi plamami.

– Zegarek jest rozbity – poinformował mnie Hincus.

Zegarek nie był rozbity, zegarek był zmiażdżony. Mała wskazówka była odłamana, a duża pokazywała czterdzieści trzy minuty.

– Kto to był? – spytałem.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież mówiłem już, że drzemałem.

– I nie obudził się pan, kiedy na pana napadli?

– Przecież napadli na mnie od tyłu – powiedział posępnie Hincus. – Nie mam oczu w zadku.

– Ano, niech pan podniesie głowę!

Patrzył na mnie ponuro, spode łba, zrozumiałem, że jestem na właściwym tropie. Wziąłem Hincusa dwoma palcami za szczękę i jednym ruchem uniosłem mu podbródek do góry. Jeden Pan Bóg wie, co oznaczały te siniaki i zadrapania na jego chudej, żylastej szyi, ale powiedziałem pewnym siebie głosem:

– Niech pan przestanie kłamać, Hincus. Dusili pana z przodu, i pan widział tego człowieka. Kto to był?

Hincus szarpnął głową i wyrwał mi się.

– Niech pan idzie do diabła – wychrypiał. – Do wszystkich diabłów! Nie pański zasrany interes! Kogokolwiek tutaj wykończyli, ja nie mam z tym nic wspólnego, a resztę mam gdzieś... Ja muszę się czegoś napić! – rozdarł się nagle. – Wszystko mnie boli, rozumiesz to czy nie,

przeklęty glino?!

Miał rację. W cokolwiek byłby zamieszany, z morderstwem to się nie wiązało, w każdym razie bezpośrednio. Jednakże ja nie miałem prawa się wycofywać.

– Jak pan chce – powiedziałem zimno. – W takim razie zamknę pana w komórce i nie będzie mowy o żadnej brandy ani o papierosach, dopóki nie usłyszę wszystkiego, co pan wie.

– I czego panu potrzeba? – wyjęczał. Widziałem, że lada moment się rozplacze. – Co się pan do mnie przyczepił?

– Kto to był?

– D-do diabła! – wysyczał z rozpaczą. – Ja nie chcę o tym mówić, czy może to pan zrozumieć? Widziałem, tak, widziałem kto to był! – Zatrzęsło nim znowu, prawie skręciło. – Wrogowi nie życzyłbym, żeby zobaczył coś takiego! Nawet panu też nie życzę! Zdechłby pan ze strachu!

Widać było, że wychodzi z siebie.

– Dobrze – powiedziałem i wstałem. – Idziemy.

– Dokąd?

– Po wódkę – odpowiedziałem.

Wyszliśmy na korytarz. Hincus staniał się i czepiał mojego rękawa. Byłem ciekaw, jak zareaguje, kiedy zobaczy zaklejone paskami papieru drzwi Olafa, ale Hincus nic nie zauważył, najwyraźniej nie miał do tego głowy. Zaprowadziłem go do sali bilardowej, znalazłem na parapecie pół butelki brandy, która pozostała tu od wieczora, i dałem ją Hincusowi. Porwał ją łapczywie i długo nie odejmował od ust.

– Boże! – wychrypiał, wycierając usta. – Jakie to dobre!

Patrzyłem na Hincusa. Można było, rzecz jasna, założyć, że jest w zмовie z mordercą i że wszystko zostało wymyślone dla zamydlenia oczu, tym bardziej że Hincus przyjechał razem z Olafem. I można było nawet przypuścić, że on właśnie jest mordercą i że współnicy związali go potem, by mu zapewnić alibi. Ale czułem, że hipoteza ta jest cokolwiek zbyt skomplikowana, żeby była prawdziwa. To znaczy, oczywiście, z Hincusem wyraźnie nie wszystko było w porządku. Żadnej gruźlicy, rzecz jasna, nie miał, nie był też prawdopodobnie kuratorem do spraw nieletnich. I bez odpowiedzi pozostawało pytanie, w jakim celu właściwie sterczał na dachu... Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie te wszystkie historie z prysznicem, z fajką, z tajemniczymi listami i przypomniałem sobie, jaki zielony i przerażony był Hincus, kiedy w dzień schodził z dachu.

– Niech pan posłucha, Hincus – powiedziałem łagodnie. – Ten, kto napadł na pana... Przecież pan go widział już przedtem w ciągu dnia, prawda?

Hincus dziko spojrział na mnie i znowu przyszał się do butelki.

– Tak – powiedziałem. – No to chodźmy. Zamknę pana w pańskim pokoju. Butelkę może

pan zabrać ze sobą.

– A pan? – ochryple zapytał Hincus. – Co ja?

– Pan odejdzie?

– Naturalnie – odpowiedziałem.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Niech mnie pan posłucha, inspektorze... – Oczy mu biegały, nie wiedział, co powiedzieć. – Pan... Może ja pójdę z panem? Ja nie ucieknę i... nic... przysięgam panu...

– Boi się pan sam zostać w pokoju? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział Hincus.

– Ale przecież ja pana zamknę – uspokajałem go. – I klucz zabiorę ze sobą...

Jakoś rozpaczliwie machnął ręką.

– To nie pomoże – wymruczał.

– No, no, Hincus – powiedziałem surowo. – Niechże pan będzie mężczyzną! Rozkleił się pan jak stara baba!

Hincus nic nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej obiema rękami przytulił butelkę do piersi. Odprowadziłem go do pokoju, jeszcze raz obiecałem, że go odwiedzę, i zamknąłem. Klucz rzeczywiście zabrałem i włożyłem do kieszeni. Czułem, że Hincus to niewyeksplotowana żyła złota i że przyjdzie mi jeszcze nad nim popracować. Odszedłem nie zaraz. Kilka minutostałem pod drzwiami, przyłożywszy ucho do dziurki od klucza. Słysząc było, jak bulgocze płyn, potem zaskrzypiało łóżko, potem rozległy się częste, przerywane dźwięki. Nie od razu domyśliłem się, co to takiego, ale potem dotarło do mnie. Hincus płakał.

Zostawiłem go sam na sam z jego sumieniem i poszedłem do du Barnstockre'a. Stary otworzył mi natychmiast. Był okropnie wzburzony. Nawet nie zaproponował mi, żebym usiadł. Pokój był pełen dymu z cygar.

– Drogi panie inspektorze! – przemówił natychmiast. – Mój szanowny przyjacielu! Czuję się diabelnie niezręcznie, ale sprawy zaszły zbyt daleko. Muszę wyznać panu moje niewinne przestępstwo..

– To pan zamordował Olafa Andvaraforsa? – zażartowałem ponuro.

Du Barnstockre wzdrygnął się i załamał ręce.

– O Boże! Nie! Nigdy w życiu nikogo nawet palcem nie dotknąłem! *Quelle ideel* Nie! Chcę tylko szczerze wyznać, że regularnie mistyfikowałem publiczność w naszym hotelu... – Przcisnął ręce do piersi, obsypując szlafrok szarym popiołem. – Niech mi pan wierzy, niech mnie pan zrozumie właściwie, to były tylko żarty! To zawodowe przyzwyczajenie! Uwielbiam atmosferę tajemniczości, mistyfikacje, powszechne zdumienie... Bez żadnych złych zamiarów, zapewniam pana! Bezinteresownie...

– Jakie konkretnie żarty ma pan na myśli? – zapytałem sucho. Byłem zły i rozczarowany. Nie

sądziłem, że to robota właśnie du Barnstockre'a. Miałem o nim lepsze zdanie.

– No... wszystkie te zabawne historie z cieniem Poległego Alpinisty. No, te pantofle, które ukradłem sam sobie i schowałem pod jego łóżkiem... Żart z prysznicem... I z pana trochę zażartowałem – pamięta pan popiół z fajki? No i takie inne mistyfikacje, już nie pamiętam wszystkich.

– Uświniony stół w moim pokoju to też pana robota? – zapytałem.

– Stół? – Du Barnstockre popatrzył na mnie stropiony, a potem spojrzął na swój stół.

– Tak, stół. Zalał pan klejem stół i zniszczył doszczętnie niebrzydki mebel.

– N-nie – zaprzeczył z przestachem. – Klejem... stół... Nie, nie, to nie ja, przysięgam panu! – Znowu przycisnął ręce do piersi. – Niechże pan zrozumie, inspektorze, wszystko, co robiłem, było całkowicie niewinne, nikomu nie sprawiło najmniejszej przykrości... Wydawało mi się nawet, że wszystkim to się ogromnie podoba, a nasz drogi gospodarz tak wspaniale mi podgrywał...

– Był w zмовie z panem?

– Ależ nie, co też pan mówi! – Du Barnstockre zamachał rękami. – Chciałem powiedzieć, że on... że mu się to właściwie bardzo podobało, sam też trochę jest mistyfikatorem, zauważył pan? Kiedy przemawia, wie pan, tym swoim szczególnym głosem, i to jego wspaniałe „proszę mi pozwolić pogrążyć się w przeszłości...”

– Rozumiem – powiedziałem. – A ślady w korytarzu? Twarz du Barnstockre'a spoważniała.

– Nie, nie – powiedział. – To nie ja. Ale wiem, o czym pan mówi. Raz je widziałem. Było to jeszcze przed pańskim przyjazdem. Mokre ślady bosych stóp zaczynały się na podeście i prowadziły, co było bardzo dziwne, do pokoju muzeum... Też żart, ale oczywiście nie mój...

– Dobrze – powiedziałem. – Zostawmy to. Jeszcze jedno pytanie. Kartka, którą panu jakoby podrzuciono, to również pański żart, o ile dobrze rozumiem?

– Też nie mój – z godnością odpowiedział du Barnstockre. – Przekazując panu tę kartkę, opowiadałem najczystsą prawdą.

– Chwileczkę. To znaczy, że wyglądało to tak: Olaf wyszedł, a pan został. Ktoś zapukał do drzwi, pan się odezwał, potem pan się obejrzał i zobaczył pan kartkę na podłodze przy drzwiach. Tak?

– Tak.

– Chwileczkę – powtórzyłem. Do głowy przyszła mi nowa myśl. – A dlaczego właściwie pan, panie du Barnstockre, doszedł do wniosku, że list był przeznaczony dla pana?

– Całkowicie się z panem zgadzam – odparł du Barnstockre. – Przecież ten, kto zapukał, słyszał mój głos, to znaczy wiedział, że jestem w pokoju... Pan mnie rozumie? W każdym razie, kiedy nasz biedny Olaf wrócił, niezwłocznie pokazałem mu kartkę...

– Tak – powiedziałem – i co Olaf? Śmiał się?

– Nie, nie śmiał się. Wie pan, jego poczucie humoru... Przeczytał, wzruszył ramionami i natychmiast powróciliśmy do gry. Olaf był nadal zupełnie spokojny, flegmatyczny i ani razu nie wspomniał o liście... A ja, jak pan już wie, uznałem, że to czyjaś mistyfikacja, i szczerze mówiąc, myślę tak nadal... Wie pan, w wąskim gronie wypoczywających, znudzonych ludzi zawsze znajdzie się człowiek...

– Wiem – odpowiedziałem. – Pan przypuszcza, że ten list rzeczywiście...

– Wszystko jest możliwe.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– A teraz niech mi pan opowie, co pan robił, poczynając od chwili, kiedy Mosesowie poszli spać.

– Proszę bardzo – powiedział du Barnstockre. – Spodziewałem się tego pytania i specjalnie zrekonstruowałem w pamięci wszystkie moje czynności według następstwa w czasie. Wygląda to tak: kiedy wszyscy się rozeszli, a było to mniej więcej o wpół do dziesiątej...

– Momencik – przerwałem mu. – Mówi pan, że to było o wpół do dziesiątej?

– Tak. Mniej więcej.

– Dobrze. W takim razie niech mi pan najpierw powie coś innego. Kto był w jadalni między wpół do dziewiątej a wpół do dziesiątej?

Du Barnstockre położył na czole dłoń o wąskich białych palcach...

– Hm... To będzie bardziej skomplikowane – powiedział. – Byłem przecież zajęty kartami... No, naturalnie Moses, właściciel... Od czasu do czasu karty zbierała również pani Moses. To przy naszym stoliku... Brane i Olaf tańczyli, a potem... nie, pardon, jeszcze przedtem... Tańczyła pani Moses i Brane... Ale rozumie pan przecież, drogi inspektorze, że nie jestem w stanie ustalić dokładnie, kiedy to było – o wpół do dziewiątej, o dziewiątej... O! Zegar wybił dziewiątą i ja, jak sobie przypominam, spojrzałem na salę i pomyślałem, że bardzo mało już zostało osób. Grała muzyka, sala była pusta, tylko Brane i Olaf tańczyli... Wie pan, to chyba jedyny wyraźny obraz, jaki utrwalił się w mojej pamięci.

– Tak – powiedziałem. – A czy właściciel i pan Moses choć raz wstawali od stolika?

– Nie – odpowiedział du Barnstockre z przekonaniem. – Obaj okazali się zatwardziałymi hazardzistami.

– To znaczy o dziewiątej było tam tylko trzech grających, Brane i Olaf?

– Dokładnie tak. Pamiętam to bardzo dobrze.

– Dobrze. Teraz powróćmy do pana. Tak więc kiedy wszyscy się rozeszli, posiedział pan jeszcze jakiś czas przy stoliku, ćwicząc sztuki z kartami.

– Ćwicząc sztuki? A tak, to zupełnie możliwe. Czasem w zamyśleniu nie kontroluję swoich rąk... to dzieje się poza moją świadomością. Tak. Następnie postanowiłem wypalić cygaro i przyszedłem tu, do swojego numeru. Zapaliłem cygaro, usiadłem w fotelu i muszę panu



wyznać, że się zdrzemnąłem. Obudziłem się nagle – przypomniałem sobie, że obiecałem o dziesiątej zagrać rewanżową partię z biednym Olafem. Spojrzałem na zegarek, dokładnej godziny nie pamiętam, ale było niewiele po dziesiątej, i z ulgą pomyślałem sobie, że spóźnię się bardzo nieznacznie. W korytarzu, panie inspektorze, było pusto, to pamiętam. Zapukałem do Olafa – nikt się nie odezwał. Zrozumiałem, że pan Olaf sam zapomniał o rewanżu. Uczciwie poczekałem do jedenastej, czytając tę oto książkę, a o jedenastej położyłem się spać. Ale jest jeszcze coś ciekawego, panie inspektorze. Niedługo przedtem, jak pan i właściciel zaczęliście hałasować i pukać

– w korytarzu, obudziło mnie pukanie do moich drzwi. Otworzyłem, ale nikogo nie było. Położyłem się z powrotem, ale usnąć już nie mogłem.

– Uhm – powiedziałem. – Rozumiem. To znaczy do jedenastej, do chwili, kiedy pan położył się spać, nie zaszło nic ciekawego... nie było żadnego hałasu, żadnego ruchu za drzwiami?

– Nie – powiedział du Barnstockre. – Nic nie słyszałem.

– A gdzie pan był? Tu czy w sypialni?

– Tu. Siedziałem w tym fotelu.

– Uhm – powiedziałem. – I ostatnie pytanie. Czy wczoraj przed obiadem nie rozmawiał pan z Hincusem?

– Z Hincusem?... A, to taki maleńki, żaloszny... Sekundę, mój przyjacielu... Ależ tak, oczywiście! Przecież my wszyscy staliśmy przed drzwiami łazienki, pamięta pan? Pan Hincus był bardzo zirytowany oczekiwaniem i ja uspokoiłem go jakąś maleńką sztuczką. Ach, tak, landrynki! Pan Hincus wtedy bardzo zabawnie się stropił. Uwielbiam takie mistyfikacje.

– Później już pan z nim nie rozmawiał?

Du Barnstockre w zamyśleniu złożył wargi w trąbkę.

– Nie – powiedział. – O ile pamiętam, to nie.

– I nie wchodził pan na dach?

– Na dach? Nie. Nie, nie. Nie wchodziłem na dach.

– Dziękuję panu, panie du Barnstockre. Okazał pan pomoc śledztwu. Teraz radzę zażyć jakiś środek nasenny i położyć się spać.

– Spróbuję – skwapliwie zgodził się du Barnstockre.

Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem. Zamierzałem obudzić latorośl, kiedy nagle zauważyłem, że na końcu korytarza szybko i bezszelestnie zamknęły się uchylone drzwi Simoneta. Niezwłocznie ruszyłem w tamtą stronę.

Wszedłem bez pukania i od razu stało się dla mnie jasne, że postąpiłem słusznie. Przez otwarte drzwi sypialni zobaczyłem, jak smętny figlarz, podskakując na jednej nodze, zdiera z siebie spodnie. Było to tym głupsze, że w obu pomieszczeniach paliło się światło.

– Niech pan się nie wysila, Simonet – powiedziałem ponuro. – I tak nie zdąży pan rozwiązać

krawata.

Simonet bezsilnie opadł na łóżko. Szczęka mu latała, a oczy miał wielkie jak filiżanki. Wszedłem do sypialni i stanąłem przed Simonetem, trzymając ręce w kieszeniach. Przez jakiś czas obaj milczeliśmy. Nie powiedziałem ani słowa więcej, tylko patrzyłem na niego, dając mu czas na zrozumienie, że jest zgubiony. A Simonet pod moim spojrzeniem coraz bardziej malał, wtulał głowę w ramiona, a jego smętny nos stawał się coraz smętniejszy. Wreszcie nie wytrzymał.

– Będę mówić tylko w obecności mojego adwokata – oświadczył nadpękniętym głosem.

– Niech pan przestanie, Simonet – powiedziałem z obrzydzeniem. – I to ma być fizyk? Skądże ja tu panu wezmę, u diabła, adwokata?

Simonet złapał mnie nagle za połą marynarki i zagładając mi w oczy, wychrypiął:

– Niech pan sobie myśli, co pan chce, inspektorze, ale przysięgam – ja jej nie zabiłem.

Teraz na mnie przyszła kolej, żeby usiąść. Poszukałem ręką krzesła, przysunąłem je i usiadłem.

– Niech pan sam pomyśli, dlaczego miałbym to zrobić? – żarliwie przekonywał mnie Simonet. – Przecież trzeba mieć jakiś motyw... Nikt nie zabija ot tak sobie... Oczywiście, są na świecie sadyści, ale to przecież wariaci, a ja... Prawda, lekarze... Ale sam pan rozumie, nerwowe przemęczenie, zmysłowe radości... To przecież zupełnie, zupełnie coś innego! Tym bardziej takie bestialstwo, taki koszmar... Przysięgam panu! Ona była już zupełnie zimna, kiedy ją objąłem!

Na kilka sekund zamknąłem oczy. Tak. W domu był jeszcze jeden trup. Tym razem trup kobiety.

– Przecież pan świetnie wie – gorącym szeptem kontynuował Simonet – że nie popełnia się przestępstwa ot tak... Co prawda Andre Gide pisał... Ale to wszystko tylko tak, gra intelektu... Potrzebny jest motyw... Przecież pan mnie zna, Peter! Niech pan spojrzy na mnie! Czy wyglądam na mordercę?

– Stop – powiedziałem. – Niech pan się zamknie na minutę. Proszę się dobrze zastanowić i opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Simonet się nie zastanowił.

– Proszę bardzo – powiedział skwapliwie. – Ale musi mi pan uwierzyć, inspektorze. Wszystko, co panu opowiem, to prawda i tylko prawda. To było tak. Ona i przedtem dawała mi do zrozumienia, tylko że jakoś nie mogłem się zdecydować... Ale tym razem, kiedy pan mnie napompuwał brandy, postanowiłem zaryzykować. Gdzieś koło jedenastej, kiedy wszyscy już się uspokoili, wyszedłem ze swego pokoju i cichutko poszedłem na dół. Pan i właściciel hotelu gadaliście w salonie o jakichś bzdurach, bodaj o ochronie przyrody, normalne zawracanie głowy. U starego światło już się nie paliło, u niej – również. Ciemno choć oko wykol, ale jednak zauważyłem jej sylwetkę. Siedziała na kozetce na wprost drzwi. Zawołałem cichutko, ona nie

odpowiedziała. Wobec tego, sam pan rozumie, usiadłem obok niej, i sam pan rozumie, objąłem ją... Brr! Nawet jej nie zdążyłem pocałować! Ona była zupełnie martwa! Twarda, zimna... Lodowata! Skamieniała jak drzewo! I te wyszczerzone zęby... Nie pamiętam, jak stamtąd wybiegłem. Zdaje się, że wszystkie meble połamałem... Przysięgam panu, inspektorze, niech pan uwierzy uczciwemu człowiekowi, kiedy ją dotknąłem, była już martwa, zimna i sztywna! Poza tym, przecież nie jestem zwierzęciem...

– Niech pan włoży spodnie – powiedziałem cicho z rozpaczą. – Niech pan doprowadzi się do porządku i idzie ze mną.

– Dokąd? – zapytał Simonet ze zgrozą.

– Do więzienia! – ryknąłem. – Do lochu! Do wieży tortur, idioto!

– Już idę – powiedział. – Za sekundę. Po prostu w pierwszej chwili nie zrozumiałem pana, inspektorze.

Zeszliśmy do holu wprost na pytające spojrzenie właściciela hotelu. Alec siedział przy stoliku, na którym leżał ciężki wielostrzałowy winchester. Gestem kazałem mu pozostać na miejscu, a sam z Simonetem skręciłem w stronę apartamentów Mosesów. Lelle, leżący na progu pokoju jednorękiego, nieprzychylnie zawarczał. Simonet dreptał za mną i od czasu do czasu wzdychał spazmatycznie.

Zdecydowanym ruchem pchnąłem drzwi do pani Moses i osłupiałem. W pokoju płonęła stojąca różowa lampa, a na kanapie, naprzeciw drzwi spoczywała w pozie madame de Recamier pani Moses i czytała książkę. Zobaczywszy mnie, ze zdziwieniem uniosła brwi, zresztą natychmiast mile się uśmiechnęła. Simonet za moimi plecami wydał z siebie dziwaczny dźwięk – coś w rodzaju „a-ap!”

– Najmocniej przepraszam – wydusiłem z siebie, z trudem poruszając skołowaciałym językiem. I tak szybko, jak tylko to było możliwe, wycofałem się. Następnie odwróciłem się do Simoneta i z rozkoszą, bez pośpiechu, ująłem go za krawat.

– Przysięgam! – samymi wargami wyszeptał Simonet. Był bliski utraty przytomności. Puściłem go.

– Pan się omylił, Simonet! – powiedziałem sucho. – Idziemy do pana pokoju.

W poprzednim szyku pomaszerowaliśmy do mego pokoju. Ale po drodze rozmyśliłem się i zaprowadziłem go do siebie. Nagle przypomniałem sobie, że nie zamknąłem drzwi na klucz, a tam jest przecież dowód rzeczowy. I nieźle byłoby pokazać go fizykowi.

Kiedy weszliśmy, Simonet rzucił się na mój fotel, na sekundę zasłonił oczy rękami, a potem zaczął się tłuc pięściami po głowie jak rozweselony szympan.

– Jestem uratowany! – bełkotał z kretyńskim uśmiechem. – Hura! Znowu żyję! Nie mam nic do ukrycia! Hura!

Następnie położył dłonie na brzegu stołu, skierował na mnie spojrzenie okrągłych oczu

i powiedział szeptem:

– Ale przecież ona była martwa, inspektorze! Przysięgam panu! Była nieżywa i mało tego...

– Zawracanie głowy – powiedziałem zimno. – Po pijanemu pomylił pan drzwi...

– Nie, nie – zaprzeczył Simonet, kręcąc głową. – Byłem pijany, to prawda. Ale to nieczysta sprawa, tu jest coś nie w porządku... Już prędzej mogła to być halucynacja, majaczenie... Może faktycznie coś jest ze mną nie tak, Peter?

– Być może – zgodziłem się.

– Nie wiem, po prostu nie wiem... Przez cały czas nie mogłem oka zmrużyć, to się rozbierałem, to znowu ubierałem... Chciałem uciekać... Szczególnie kiedy usłyszałem, jak wy tam rozmawiacie zduszonymi głosami...

– Gdzie pan był przez ten czas?

– U siebie. Więcej już nie wychodziłem.

– W którym pokoju, konkretnie, pan siedział?

– To w jednym, to w drugim... Mówiąc szczerze, póki pan przesłuchiwał Olafa, próbowałem podsłuchiwać i siedziałem w sypialni... – Oczy znów mu wylazły z orbit. – Niech pan poczeka – powiedział. – Przecież, jeżeli ona żyje... w takim razie skąd to zamieszanie? Co się stało? Ktoś zachorował?

– Proszę odpowiadać na moje pytania – powiedziałem. – Co pan robił potem, kiedy już wyszedłem z sali bilardowej?

Milczał przez chwilę, patrząc na mnie okrągłymi oczami i przygryzając dolną wargę.

– Rozumiem – powiedział. – A więc coś się jednak stało. No dobrze. Co robiłem potem, kiedy pan już wyszedł? Zagrałem sam ze sobą w bilard i wróciłem do siebie. Było już około dziesiątej, a ja wyznaczyłem sobie całe przedsięwzięcie na jedenastą, trzeba było doprowadzić się do porządku, odświeżyć, ogolić, coś tam jeszcze... Tym zajmowałem się mniej więcej do wpół do jedenastej. A potem czekałem, patrzyłem na zegarek, patrzyłem w okno... Resztę pan wie... to byłoby tyle...

– Wrócił pan do siebie około jedenastej. A dokładnie? Przecież wybierał się pan na randkę, więc często musiał pan patrzeć na zegarek.

Simonet cicho zagwizdał.

– Oho! – powiedział. – Mam wrażenie, że to śledztwo według wszelkich zasad. Może jednak powie mi pan, co się stało?

– Zamordowano Olafa – powiedziałem.

– Jak to zamordowano? Przecież pan dopiero przed chwilą był u niego... Słyszałem, jak pan z nim rozmawiał...

– Rozmawiałem nie z nim... Olaf nie żyje. I dlatego niech się pan postara możliwie precyzyjnie odpowiadać na moje pytania. Kiedy pan wrócił do siebie?

Simonet wytarł pokryte potem czoło. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

– To jakieś szaleństwo – wymamrotał. – Majaczenia wariata... Najpierw tamto, teraz to...

Zastosowałem stary, wypróbowany chwyt. Przenikliwie patrząc na Simoneta, powiedziałem:

– Niech pan przestanie kręcić. Proszę odpowiadać na moje pytania.

Simonet natychmiast poczuł się podejrzanym i wszystkie jego emocje jakby ręką odjęło. Przeszedł myśleć o pani Moses. Przeszedł myśleć o biednym Olafie. Teraz już myślał wyłącznie o sobie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał niepewnie. – Co to znaczy „przestać kręcić”?

– To znaczy, że czekam na odpowiedź – wyjaśniłem. – O której wrócił pan do siebie?

Simonet, wcielenie niewinności, wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo – powiedział. – To oczywiście śmieszne i zdumiewające w najwyższym stopniu, ale... proszę. Proszę bardzo. Z sali bilardowej wyszedłem za dziesięć dziesiątą. Z dokładnością do plus minus jednej minuty. Spojrzałem na zegarek i zrozumiałem, że czas już na mnie. Była za dziesięć dziesiątą.

– Co pan zrobił, kiedy wrócił pan do siebie?

– Proszę bardzo. Poszedłem do sypialni, rozebrałem się... – Nagle przerwał: – A wie pan, inspektorze... Przecież wiem, o co panu chodzi. Wtedy Olaf jeszcze żył. Zresztą skąd mogę wiedzieć? Może to nie był już Olaf.

– Proszę opowiedzieć wszystko po kolei.

– Tu nie ma co opowiadać po kolei. Za ścianą sypialni przesuwano meble. Głosów sobie nie przypominam. Głosów nie było. Ale coś się tam ruszało. Pamiętam, że pokazałem ścianie język i pomyślałem: tak, blond bestio, ty położysz się spać, a ja pójdę do mojej Olgi... Czy coś w tym rodzaju. Jak z tego wynika, było mniej więcej za pięć dziesiątą. Z dokładnością do trzech minut.

– Tak. Dalej.

– Dalej... Dalej poszedłem do toalety, starannie umyłem się do pasa... Starannie wytarłem włosy ręcznikiem... Starannie ogoliłem elektryczną maszynką... Starannie ubrałem... – W głosie posępnego figlarza nieustępliwie rosło szyderstwo. Ale dosyć szybko poczuł, że to niezbyt stosowne, i przestał. – Krótko mówiąc, następnym razem spojrzałem na zegarek, kiedy wyszedłem z toalety. Było około wpół do jedenastej. Z dokładnością do dwóch, trzech minut.

– Został pan w sypialni?

– Tak, ubierałem się w sypialni. Ale nic już więcej nie słyszałem. A jeżeli nawet słyszałem, to nie zwróciłem uwagi. Kiedy się ubrałem, usiadłem w fotelu i zacząłem czekać. I stwierdzam pod przysięgą, że po wieczorynce nie widziałem Olafa na oczy.

– Przysięgał pan też, że pani Moses jest martwa – zauważyłem.

– No, tego nie wiem... Ja tego nie rozumiem. Zapewniam pana, Peter.

– Wierzę – powiedziałem. – Teraz proszę mi powiedzieć, kiedy pan ostatni raz rozmawiał

z Hincusem?

– Hm... Ja z nim chyba w ogóle nigdy nie rozmawiałem. Nie wyobrażam sobie, o czym mógłbym z nim mówić.

– A kiedy pan go widział po raz ostatni? Simonet zmrużył oczy, przypominając sobie.

– Pod łazienką? – powiedział pytająco. – Nie, co też ja mówią! Przecież on jadł obiad razem ze wszystkimi, pan go przyprowadził z dachu... A co się stało?

– Nic szczególnego – odparłem niedbale. – Jeszcze jedno pytanie. Kto, pańskim zdaniem, robił te wszystkie sztuczki z łazienką, z ukradzionymi pantoflami...

– Rozumiem – powiedział Simonet. – Moim zdaniem zaczął du Barnstockre, a później włączył się w to każdy, kto miał ręce i nogi. Właściciel w pierwszej kolejności.

– I pan?

– I ja. To ja zaglądałem w okna pani Moses. Uwielbiam takie numery... – Tu Simonet spróbował zarzeć swoim pozagrobowym śmiechem, ale połapał się i przybrał poważny wyraz twarzy.

– I nic więcej?

– Dlaczego nic? Dzwoniłem na Kaisę z pustych pokoi, urządzałem „odwiedziny topielców”...

– To znaczy...

– To znaczy biegałem boso po korytarzu i zostawiałem mokre ślady. Zamierzałem jeszcze skonstruować niewielkiego upiora, ale jakoś nie mogłem się zebrać.

– Mieliśmy szczęście – powiedziałem sucho. – A zegarek Mosesa to też pańska robota?

– Jaki zegarek Mosesa? Taka złota cebula? Miałem ochotę mu przysunąć.

– Tak – powiedziałem. – Cebula. Pan ją gwizdnął?

– Za kogo mnie pan bierze? – oburzył się Simonet. – Za jakiegoś pajęczarza?

– Nie – odparłem, opanowując się. – Pan zabrał zegarek dla żartu. Zainscenizował pan „odwiedziny złodzieja z Bagdadu”.

– Niech pan posłucha, Peter – powiedział Simonet bardzo poważnie. – Widzę, że z tym zegarkiem coś się stało. Więc oświadczam panu, że go nie ruszałem. Ale widziałem go. Zresztą wszyscy widzieli. Taka wielka cebula, Moses pewnego razu na oczach wszystkich upuścił ją do filiżanki.

– Dobrze. Zostawmy to. Teraz mam do pana pytanie jako do specjalisty. – Położyłem przed nim walizkę Olafa i uniosłem wieko. – Co to może być, pana zdaniem?

Simonet szybko spojrzał na aparat, ostrożnie wyjął go z walizki i pogwizdując przez zęby, starannie go ze wszystkich stron obejrzał. Potem zważył w rękach i równie ostrożnie odłożył z powrotem do walizki.

– To nie z mojej specjalności – powiedział. – Biorąc pod uwagę stopień miniaturyzacji i jakość wykonania, to coś ma przeznaczenie albo wojskowe, albo kosmiczne. Nie wiem. Gdzie

pan to znalazł? U Olafa?

– Tak – powiedziałem.

– Pomyśleć tylko! – mruzczał Simonet. – U takiego ćwoka... Zresztą pardon. Po jaką cholere tu są gałki mikrometryczne? No a to są pewnie gniazdzka... Bardzo dziwna aparatura... – Simonet spojrział na mnie. – Jeżeli pan chce, inspektorze, to mogę pokręcić tymi śrubkami i kółkami. Ale niech pan weźmie pod uwagę, że to bardzo niezdrowe zajęcie.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Niech pan to odda. – Zamknąłem walizkę.

– Słusznie – poparł mnie Simonet, rozpierając się w fotelu. – Trzeba to dać ekspertom. Nawet nie bardzo wiem, komu... Nawiasem mówiąc, dlaczego pan nie wezwie specjalistów?

Krótko powiedziałem mu o lawinie.

– I tak źle, i tak niedobrze – podsumował niewesoło. – Mogę już iść?

– Tak – powiedziałem. – Niech pan idzie i najlepiej położy się spać.

Simonet wyszedł. Wziąłem walizkę i zastanawiałem się, gdzie ją można schować. Nigdzie nie było można. Przeznaczenie wojskowe albo kosmiczne, pomyślałem. Tylko tego jeszcze właśnie mi brakowało. Morderstwo polityczne, szpiegostwo, dywersja... Tfu, co za nonsens! Gdyby powodem morderstwa była walizka, walizkę by zabrali... Gdzie ją schować? Przypomniałem sobie o sejfie Aleca, wziąłem walizkę pod pachę i zszedłem na dół.

Cenevert siedział, a przed nim na stoliku leżały papiery i stał przedpotopowy arytmometr. Winchester miał w zasięgu ręki – oparty o ścianę.

– Co nowego? – zapytałem.

– Nic specjalnie dobrego – odpowiedział Alec z miną winowajcy. – Musiałem Mosesowi powiedzieć, co się stało.

– Po co?

– Jak nosorożec rwał się do ciebie na górę, ryczał, że nikomu nie pozwoli w nocy włączyć do pokoju swojej żony. Zupełnie nie wiedziałem, jak go zatrzymać, i powiedziałem mu, o co chodzi. Uznałem, że wtedy będzie mniej hałasu.

– Niedobrze. Ale to moja wina. A on co?

– A nic. Wybałuszył na mnie ślepią, z pół minuty pomilczał, a potem zaczął się wydzierać, że kogo to ja wprowadziłem do jego pokoju i jak śmiałem... Ledwie się od niego opędziłem.

– No dobrze – powiedziałem. – Słuchaj, Alec. Daj mi klucz od twojego sejfu, schowam tę walizkę, a klucz, musisz wybaczyć, zatrzymam przy sobie. Po drugie, muszę przesłuchać Kaisę. Przyprowadź ją do twojego biura. Po trzecie, strasznie bym się napił kawy.

– Chodźmy – powiedział Alec Cenevert.

## Rozdział IX

Wypiłem filiżankę kawy i przesłuchałem Kaisę. Kawa była znakomita, ale od Kaisy prawie nic nie udało mi się wyciągnąć. Po pierwsze, co chwila zasypiała na krześle, a kiedy ją budziłem, natychmiast pytała: „Czego?” Po drugie, wydawało się, że absolutnie nie jest w stanie mówić o Olafie. Za każdym razem, kiedy wymawiałem jego imię, robiła się czerwona, zaczynała chichotać, wykonywała niesłychanie skomplikowane ruchy ramieniem, zasłaniała twarz dłonią. Miałem nieodparte wrażenie, że Olaf zdążył narozrabiać i stało się to od razu po obiedzie, kiedy Kaisa zносиła naczynia na dół i zmywała. „A korale to on mi zabrał – opowiadała, krygując się. – Ze będzie miał, znaczy się, pamiątkę... Też figlarz...” Udało mi się wyjaśnić, że Olaf wyprosił u niej korale na pamiątkę i odbyło się to prawie od razu po obiedzie. W końcu wyprawiłem ją spać, a sam poszedłem do hotelu i zabrałem się za Aleca.

– Co myślisz o tym wszystkim, Alec? – zapytałem.

Z przyjemnością odsunął od siebie arytmometr i z chrzęstem wyprostował potężne ramiona.

– Myślę, Peter, że bardzo niedługo przyjdzie mi zmienić nazwę hotelu.

– O! – powiedziałem. – A na jaką?

– Jeszcze nie wiem – odparł. – I to mnie odrobinę niepokoi. Za kilka dni w mojej dolinie zaroi się od reporterów i do tego czasu muszę być przygotowany. Oczywiście wiele będzie zależało od tego, do jakich wniosków dojdą oficjalne organa śledcze, ale przecież prywatnej opinii właściciela hotelu prasa nie może nie wziąć po uwagę...

– Właściciel wyrobił już sobie jakąś opinię? – zdziwiłem się.

– No, może niezupełnie słuszne byłoby nazwać to opinią. Ale w każdym razie mam niejakie odczucia, których ty, odnoszę wrażenie, jeszcze nie masz. Ale to przyjdzie, Peter. Z całą pewnością pojawi się u ciebie, kiedy dokopiesz się głębiej. Po prostu ty i ja jesteśmy inaczej skonstruowani. Pomimo wszystko jestem tylko mechanikiem samoukiem i dlatego opieram się raczej na swoich wrażeniach, zamiast wyciągać wnioski. A ty jesteś inspektorem policji. Twoje wrażenia powstają w rezultacie wniosków, kiedy wnioski nie wydają ci się zadowolające, kiedy zbijają cię z tropu. Jednym słowem, zadawaj pytania.

Nieoczekiwanie dla samego siebie – byłem już bardzo zmęczony i skołowany – opowiedziałem mu o Hincusie. Alec słuchał i kiwał łysą głową.

– Tak – powiedział. – Więc widzisz, i Hincus również...

Rzuciwszy tę zagadkową uwagę, właściciel szczegółowo i bez nacisku z mojej strony opowiedział, co robił po ukończeniu gry w karty. Olafa widział po raz ostatni mniej więcej wtedy, kiedy i ja. O wpół do dziesiątej zszedł na dół razem z Mosesami, nakarmił Lelle'a, wypuścił go na dwór, obsztorcował Kaisę za ślamazarność, i wtedy właśnie przyszedłem ja. Wpadliśmy na pomysł, żeby posiedzieć przy kominku i napić się gorącego portweinu. Alec



wydał polecenie Kaisie i poszedł do jadalni, żeby wyłączyć muzykę i zgasić światła.

– Oczywiście mogłem wtedy od razu wejść do Olafa, skrócić mu kark, chociaż wcale nie jestem przekonany, że Olaf pozwoliłby mi to zrobić. Ale ja nawet nie spróbowałem, tylko poszedłem prosto na dół i zgasilem światło w holu. O ile pamiętam, wszystko było w porządku. Wszystkie drzwi na piętrze były pozamykane, na korytarzu panowała cisza. Wróciłem do bufetu, napełniłem szklanki portweinem i właśnie wtedy zeszła lawina. Jeżeli pamiętasz, przyniosłem ci portwein, a sam pomyślałem, że dobrze byłoby zadzwonić do Muir. Już wtedy miałem wrażenie, że klops z nami. Próbowałem dzwonić, potem wróciłem do salonu i od tej chwili się nie rozstawaliśmy.

Obserwowałem go spod w półprzymkniętych powiek. Tak, Alec był bardzo silnym mężczyzną. I prawdopodobnie miał dosyć krzepy, żeby skrócić kark Olafowi, szczególnie jeżeli Olafa przedtem otruto. I właśnie on, właściciel hotelu, jak nikt inny miał możliwość otrucia każdego z nas. Więcej nawet, mógł mieć jeszcze jeden klucz od numeru Olafa. Trzeci klucz... Alec mógł zrobić to wszystko. Ale pewnych rzeczy jednak nie mógł. Nie mógł na przykład wyjść z pokoju przez drzwi i potem zamknąć za sobą od wewnątrz. Nie mógł wyskoczyć przez okno, nie zostawiając śladów na parapecie i bardzo głębokich i wyraźnych śladów na dole pod oknem... Nawiasem mówiąc, tego nie potrafiłby dokonać nikt. Pozostało założyć, że istnieje jakieś tajemne przejście prowadzące z numeru Olafa do numeru, w którym teraz leży jednoręki. Ale wtedy zbrodnia staje się nieprawdopodobnie perfidna i skomplikowana, co oznacza, że zaplanowano ją dawno, nadzwyczaj starannie i w absolutnie niepojętym celu... A tam, do diabła, przecież słyszałem na własne uszy, kiedy wyłączył muzykę, schodził po schodach i karciał Lelle'a. Minutę później zeszła lawina, a potem...

– Czy mógłbyś, oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu – powiedział Alec – wyjaśnić mi, po co chodziliście z Simonetem do pani Moses?

– Głupstwo – odparłem. – Fizyk spił się i zwidziało mu się Bóg wie co...

– Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, co konkretnie?

– Zwykła bzdura! – powiedziałem, próbując złapać za kark umykającą mi, interesującą myśl.

– Przerwałeś mi tok rozumowania, Alec. No trudno, potem sobie przypomnę... Teraz co do Hincusa. Spróbuj przypomnieć sobie, kto wychodził z jadalni między w pół do dziewiątej a dziewiątą.

– Oczywiście, mogę spróbować – łagodnie powiedział gospodarz. – Ale przecież sam zwróciłeś uwagę na to, że Hincusa nieludzko wystraszyła ta, powiedzmy, istota, która na niego napadła.

Wlepiłem w niego oczy.

– No i co o tym myślisz?

– A ty? – zapytał w odpowiedzi. – Ja bym na twoim miejscu zastanowił się nad tym

nadzwyczaj poważnie.

– Żarty sobie robisz? – zirytowałem się. – Nie mogę się teraz zajmować mistyką, fantastyką i inną filozofią. Moim zdaniem Hincus jest po prostu tego... – Puknąłem się palcem w czoło. – Nie wyobrażam sobie, żeby w hotelu mógł się ukrywać ktoś, kogo nie znamy.

– No dobrze, dobrze – pokojowo zgodził się Alec. – Nie dyskutujmy na ten temat. A więc, kto wychodził z jadalni między wpół do dziewiątej a dziewiątą? Po pierwsze, Kaisa. Wychodziła i wracała. Po drugie, Olaf. Też przychodził i wychodził. Po trzecie, dziecię du Barnstockre'a... Zresztą nie. Dziecko znikło później, razem z Olafem...

– O której to było? – zapytałem szybko.

– Dokładnej godziny, rzecz jasna, sobie nie przypominam, ale dobrze pamiętam, że wtedy graliśmy w karty i gra trwała jeszcze przez pewien czas po ich wyjściu.

– To bardzo ciekawe – powiedziałem. – Ale o tym potem. Tak. Kto jeszcze wychodził?

– Właściwie pozostaje nam już tylko pani Moses... Hm... – Alec mocno podrapał się po policzku. – Nie – powiedział stanowczo. – Nie przypominam sobie. Jako gospodarz właściwie uważałem na gości i dlatego, jak widzisz, coś tam zapamiętałem. Ale wiesz, był taki moment, kiedy miałem diabelne szczęście. To trwało niedługo, jakieś dwa, trzy rozdania, ale co się działo w tym czasie... – Gospodarz rozłożył ręce. – Dobrze pamiętam, że pani Moses tańczyła z dzieckiem, i dobrze pamiętam, że potem przysiadła się do nas i nawet brała udział w grze. Ale czy wychodziła... Nie, nie zauważyłem. Niestety.

– No cóż, dzięki i za to – powiedziałem z roztargnieniem, myślałem już o czymś innym. – A dziecko, jak się okazuje, wyszło z Olafem i już nie wróciło, podobnie jak Olaf, prawda?

– Tak.

– I to było przed pół do dziesiątej, kiedy wstaliście od stolika?

– Dokładnie tak.

– Dziękuję – powiedziałem i wstałem. – To ja już sobie pójdę. Aha, jeszcze jedno pytanie.

Czy po obiedzie widziałeś Hincusa?

– Po obiedzie? Nie.

– A tak, przecież graliście w karty... A przed obiadem?

– Przed obiadem widziałem go kilkakrotnie. Widziałem go rano, kiedy jadł śniadanie... Potem z mojego biura nadawał depeszę do Muir, potem... Tak! Potem zapytał mnie, jak się wchodzi na dach i powiedział, że pójdzie się opalać... To chyba wszystko... Nie, widziałem go jeszcze raz w ciągu dnia, to było w bufecie, tulił do siebie butelkę brandy. Później, w ciągu dnia, już nie.

W tym momencie wydało mi się, że złapałem myśl uciekinierkę.

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Zapomniałem zupełnie, jak Olaf się wpisał do twojej książki meldunkowej?

– Mam ją przynieść? – zapytał właściciel. – Czy wystarczy, że ci powiem?

– Wystarczy.

– Olaf Andvarafors, urzędnik państwowy. Przyjechał sam na dziesięciodniowy urlop.

Nie, to nie była ta myśl.

– Dziękuję, Alec – powiedziałem i usiadłem z powrotem. – Teraz zajmij się swoimi sprawami, a ja posiedzę i pomyślę.

Oparłem głowę na dłoniach i zacząłem myśleć. A więc czym w tej chwili rozporządzam? Mało tego jest, diabelnie mało. Dowiedziałem się, że Olaf wyszedł z jadalni między dziewiątą a wpół do dziesiątej i więcej nie wrócił i że razem z nim wyszło to dziecko. Tak więc w tej chwili należy sądzić, że latorośl jest ostatnim człowiekiem, który widział Olafa żywego. Jeśli nie liczyć mordercy, rzecz jasna. I pod warunkiem, że wszyscy przesłuchiwani mówią prawdę. To oznacza, iż Olafa zamordowano między kilka minut po dziewiątej a dwunastą z minutami... Nie ma co, ładny kawałek czasu. Simonet twierdzi jednak, że za pięć dziesiąta słyszał w pokoju Olafa jakiś ruch, a mniej więcej dziesięć po dziesiątej nikt nie odpowiedział na pukanie du Barnstockre'a. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Olaf mógł wtedy po prostu wyjść na chwilę. Ze złością szarpnąłem się za włosy. Olafa w ogóle mogli zamordować poza jego pokojem. Nie, jeszcze za wcześnie na jakieś wnioski. Została mi jeszcze Brune w sprawie Olafa i pani Moses w sprawie Hincusa... Chociaż co ona może mi powiedzieć. No dobrze, weszła na dach. No, zobaczyła Hincusa... Chwila, moment? A po co ona poszła na dach? Sama, bez męża, do tego ten dekolt... Dobrze. Pytanie: od kogo zacząć? Ponieważ zamordowano Olafa, a nie Hincusa, ponieważ pani Moses na pewno już wie o Olafie od męża, zaczniemy od dziecięcia. Ludzie z nagłą przebudzeni mówią czasem ciekawe rzeczy. Przy okazji może wreszcie uda mi się dowiedzieć, jakiej ono jest płci, przeleciało mi przez głowę, kiedy wstawałem.

Pukać do dziecięcia musiałem długo i głośno. Potem za drzwiami usłyszałem człapanie bosych stóp i zagniewany zachrypli głos zapragnął się dowiedzieć, po jakiego diabła.

– Proszę otworzyć, Brane, to ja, Glebsky – powiedziałem. Nastąpiło krótkie milczenie. Potem głos ze strachem zapytał:

– Czy pan oszalał? Jest trzecia w nocy! – Otwierać!

– A o co chodzi?

– Wujek źle się czuje – powiedziałem na chybił trafił.

– Naprawdę? Niech pan poczeka, tylko włożę spodnie...

Człapanie bosych nóg się oddaliło. Czekałem. Szczęk klucza w zamku, drzwi się otworzyły i dziecię stanęło na progu.

– Nie tak prędko – powiedziałem, przytrzymując je za ramię. – Wejdźmy na chwilę do środka...

Dziecię najwyraźniej jeszcze się nie obudziło na dobre i dlatego nie okazało zbytniego

sprzeciwu. Pozwoliło zaprowadzić się do pokoju i posadzić na rozgrzebanym łóżku. Ja usiadłem w fotelu naprzeciwko. Przez kilka sekund dziecię patrzyło na mnie przez swoje ogromne ciemne okulary i nagle jego różowe pulchne wargi zadrżały.

– Tak z nim źle? – zapytało szeptem. – Niech pan nie milczy, niech pan wreszcie coś powie!

Z niejakim zdumieniem zmuszony byłem stwierdzić, że to dzikie stworzenie prawdopodobnie kocha swojego wujka i niepokoi się o niego. Wyciągnąłem papierosa i zapalając go, powiedziałem:

– Wujek jest zdrowy i cały. Porozmawiamy o czymś innym.

– Ale pan przecież powiedział...

– Nic nie mówiłem, to była senna mara. A teraz proszę mi szybko i bez ociągania powiedzieć, kiedy rozstaliście się z Olafem? Żywo!

– Z jakim Olafem? Czego pan chce ode mnie?

– Kiedy i gdzie byliście z Olafem? Prędzej!

Dziecię pokręciło głową.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego Olaf? Co z wujkiem?

– Wujek jest zdrowy i cały. Kiedy i gdzie rozstaliście się z Olafem?

– Po co pan powtarza w kółko to samo? – rozwścieczyło się dziecię. Stopniowo wracało do normy. – I po cholere łąduje się pan do mnie w środku nocy?

– Pytam...

– A ja mam pana gdzieś! Wynosić się, bo zawołam wujka! Gliniarz przekłęty!

– Tańczyliście z Olafem, a potem wyszliście. Dokąd? Po co?

– A pana co to obchodzi? Zazdrosny?

– Dostyc tego gadania! – wrzasnąłem. – Olaf nie żyje! Wiem, że potem nikt już nie widział go żywego. Kiedy to było? Gdzie? Prędzej! No?

Na pewno byłem straszny. Dziecię odskoczyło i obronnym ruchem wyciągnęło ręce przed siebie.

– Nie! – wyszeptano. – Co też pan? Co?

– Proszę odpowiadać – powiedziałem spokojnie. – Wyszliście razem z jadalni i poszliście... dokąd?

– D-donikąd... po prostu wyszliśmy na korytarz...

– A później?

Dziecię milczało. Nie widziałem jego oczu i było to niezwykle i niewygodne.

– A potem – powtórzyłem.

– Niech pan zawoła wujka – powiedziało dziecię stanowczo. – Chcę, żeby wujek tu był.

– Wujek nie pomoże – zapewniłem. – Pomóc ci może tylko jedno, prawda. Mów prawdę.

Dziecię milczało. Siedziało nastroszone na łóżku pod wielkim, ręcznie malowanym plakatem

Będziemy okrutni i milczało. Potem spod czarnych okularów po policzkach popłynęły łzy.

– Łzy też nie pomogą – powiedziałem zimno. – Proszę mówić prawdę. Jeżeli usłyszę kłamstwa albo wykręty, to – wsadziłem rękę do kieszeni – pojedziesz do Muir i do tego w kajdankach. Tu chodzi o morderstwo. Jasne?

– Jasne – ledwie dosłyszalnie wyszeptało dziecię. – Powiem...

– Słuszna decyzja – pochwaliłem. – Tak więc wyszliście z Olafem na korytarz. Co było dalej?

– Wyszliśmy na korytarz... – powtórzyło dziecię mechanicznie. – A potem... Słabo pamiętam, mam parszywą pamięć. Olaf coś powiedział i poszedł, a ja... tego...

– Do niczego – powiedziałem i pokręciłem głową. – Spróbuj jeszcze raz.

Dziecię, chlipiąc, wytarło nos i sięgnęło ręką pod poduszkę. Po chusteczkę do nosa.

– No?

– Ja... ja się wstydzę – wyszeptało dziecię. – To wstrętne. A Olaf jest martwy.

– Policja podobnie jak medycyna – oznajmiłem pouczająco, czując się fatalnie głupio – nie uznaje takich pojęć jak „wstyd”.

– No dobrze – powiedziało niespodziewanie dziecię, dumnie wznosząc głowę. – Pies z panem tańcował. Powiem. To było tak. Najpierw żarciki, narzeczony i narzeczona, chłopiec czy dziewczyna... no, mniej więcej tak jak pan... Olaf pewnie też uważał mnie nie wiadomo za co. Potem zaczął się pchać z łapami. Zrobiło się nieprzyjemnie i trzeba było dać mu w mordę... w twarz...

– No? – zapytałem, nie patrząc na dziecię.

– Może niepotrzebnie, nie należało tego robić, ale on też był bezczelny... No i on się obraził, nawymyślał mi i poszedł sobie.

– Dokąd?

– A skąd mam wiedzieć? Dużo mnie to obchodzi, dokąd i po co... Poszedł korytarzem – dziecię machnęło ręką – nie wiem dokąd.

– A ty?

– A ja? Co ja? Zepsuł mi humor, obrzydliwość, nudy na pudy. Pozostało tylko wrócić do siebie, zamknąć się i zalać w trupa.

– I co, udało się? – zapytałem, ostrożnie pociągając nosem i dyskretnie oglądając pokój. Bałagan był tu straszny, rzeczy porzucane, wszystko poniewierało się byle gdzie, na stole leżały długie papierowe plakaty z wypisanymi hasłami. Powiesić by je na drzwiach urzędników w policji... Faktycznie było czuć alkohol, a na podłodze u wezłowania łóżka zauważyłem butelkę.

– Jasne, przecież mówię!

Podniosłem butelkę. Butelka była w znacznym stopniu opróżniona.

– Która to była godzina?

– Nie pamiętam.

– No dobrze, przypuśćmy – powiedziałem. – A teraz proszę mi dokładnie opisać wszystkie swoje czynności do chwili, kiedy wyszłście z Olafem na korytarz.

– Dokładnie? – zapytało dziecię.

– Tak, ze wszystkimi szczegółami.

– Dobrze – zgodziło się dziecię, pokazując drobne, ostre zęby, tak białe, że aż niebieskawe. – Było tak: kończę jeść deser, a tu przyczepia się do mnie zalany w trupa inspektor policji i truje głodne kawałki, jak to mu się podobam i względem natychmiastowych zaręczyn... Przy tym bez przerwy klepie mnie swoją łapą po ramieniu i powtarza: „A ty idź sobie, idź, ja nie z tobą, tylko z twoją siostrą...”

Słuchałem tego, nawet nie mrugnawszy okiem. Mam nadzieję, że twarz miałem wystarczająco kamienną.

– Wtedy na moje szczęście – kontynuowało jadowicie dziecię – przyływa madame Moses i łąpczywie porywa inspektora do tańca. Oni tańczą, a ja patrzę, i to wszystko bardzo mi przypomina pewną portową knajpę w Hamburgu. Potem inspektor łapie madame Moses i ciągnie ją za portierę, a to już przypomina zupełnie inną instytucję w tym samym Hamburgu. Zrobiło mi się żal inspektora, bo w gruncie rzeczy niezły z niego facet, tylko że pić nie umie, a stary Moses już krwiożerczo kikuje na tę portierę. Więc wstaję i zapraszam madame Moses do tańca, a inspektor cieszy się jak głupi, widać wytrzeźwiał za portierą...

– Kto wtedy był w jadalni? – zapytałem oschle.

– Wszyscy. Nie było Olafa, nie było Kaisy, a Simonet rznął w bilard. Z tej rozpaczki, że inspektor odbił mu damę serca.

– Tak, proszę mówić dalej – powiedziałem.

– No więc tańczę z madame Moses, ona lepi się do mnie jak landrynka i nagle coś jej nawala w garderobie. Ach, powiada ona, pardon, zdarzyła się katastrofa. No, mnie to wisi... madame ze swoją katastrofą zasuwa na korytarz, a do mnie zaczyna się dowalać Olaf...

– Chwileczkę, kiedy to było?

– To już pardon! Zegarek mnie nie interesował.

– To znaczy, że pani Moses wyszła na korytarz?

– No, nie wiem, czy wyszła na korytarz, czy do siebie, czy do pustego pokoju, tam obok są, zdaje się, dwa puste pokoje... Ja przecież nie wiem, jaka to była katastrofa, może jej pan za portierą połamał wszystkie fiszbiny w gorsecie... Opowiadać dalej?

– Tak.

– No więc tańczymy sobie z Olafem, on mi zasuwa komplementy, że niby co za figura, jaki wdzięk i tak dalej... A potem powiada, chodźmy, mam coś ciekawego, mogę pokazać. Co mi szkodzi? Proszę, mogę iść... Tym bardziej że w sali na nic ciekawego się nie zanosi...

– Pani Moses była wtedy w jadalni?

– Nie, madame jest w suchym doku, na kapitalnym remoncie... No, wychodzimy na korytarz... A dalej już pan wie...

– Pani Moses już się nie pokazała?

I tu nastąpił moment wahania. Króciuteński moment, ale ja go zauważyłem.

– N-nie – powiedziało dziecię. – Skądże? Jedno, co mi zostało, to uchlać się z nudów.

Bardzo, ale to bardzo przeszkadzały mi ciemne okulary i postanowiłem, że przy powtórny przesłuchaniu ja te okulary zdejmę. Choćby siłą.

– A co było na dachu? – zapytałem ostro.

– Na jakim dachu?

– Na dachu hotelu. – Wskazałem palcem sufit. – I nie kłam, widziałem cię.

– Niech pan się każe wypchać, dobrze? – najeżyło się dziecię. – Tylko lunatycy łążą po dachach, ja nie.

– W takim razie musiał to być ktoś inny – powiedziałem pokojowo. – No dobrze. Teraz co do Hincusa. Pamiętasz go? Taki maleńki, przy obiedzie pomylił ci się z Olafem... Kiedy go widziałaś ostatni raz?

– Ostatni raz? To było chyba w korytarzu, kiedyśmy wyszli z Olafem z jadalni.

Aż podskoczyłem.

– Kiedy?!

Dziecię się zaniepokoiło.

– A bo co? – zapytało. – To przecież nic takiego... Jak tylko wyszliśmy z jadalni, patrzeć, a tu Hincus skręca na schody...

Gorączkowo starałem się wykombinować, o co chodzi. Nie wyszli z jadalni przed dziewiątą, o dziewiątej jeszcze tańczyli, widział ich du Barnstockre. Ale zegarek Hincusa został zgnieciony o ósmej czterdzieści trzy, a to znaczy, że o dziewiątej już związany leżał pod stołem...

– Masz pewność, że to był Hincus?

Dziecię wzruszyło ramionami.

– Zdawało mi się, że to Hincus... Co prawda od razu skręcił w lewo, na podest... Ale wszystko jedno... Hincus. Kto by to jeszcze mógł być? Trudno go pomylić z Kaisą albo z Mosesem... zresztą i z kim innym. Taki maleńki, przygarbiony...

– Stop! – powiedziałem. – Ten człowiek był w futrze?

– Tak... w tym swoim śmiesznym kretyńskim futrze do pięt, a na nogach miał coś białego... A bo co? – Dziecię przeszło na szept. – To on zamordował? Tak? Hincus?

– Nie, nie – odparłem.

Czyżby Hincus kłamał? Czyżby to jednak była inscenizacja? Zegarek zgnieciono, przesuwając przedtem wskazówki do tyłu... A Hincus siedział pod stołem i chichotał, potem

zręcznie zrobił ze mnie balona, a teraz chichoce u siebie w numerze... a jego współnik chichoce gdzie indziej. Zerwałem się.

– Proszą siedzieć tutaj – rozkazałem. – Nie waż się wychodzić z pokoju. Pamiętaj, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

Ruszyłem do drzwi, potem wróciłem i zabrałem ze stołu butelkę.

– Konfiskuję to. Niepotrzebni mi są pijani świadkowie.

– A mogę pójść do wujka? – zapytało dziecię drżącym głosem.

Wahałem się przez chwilę, potem machnąłem ręką.

– Możesz. Może on cię przekona, że trzeba mówić prawdę.

Wyskoczyłem na korytarz, podbiegłem do numeru Hincusa, przekręciłem klucz i wdarłem się do środka. Światło paliło się wszędzie – w przedpokoju, w toalecie, w sypialni. Sam Hincus, zlany potem, przykucnął za łóżkiem, szczerząc zęby. Na środku pokoju leżało połamane krzesło, a Hincus trzymał w ręku jedną z jego nóg.

– To pan? – zapytał ochryple i wyprostował się.

– Tak! – powiedziałem. Wygląd Hincusa i obłąkany wyraz przekrwionych oczu zachwiały moją pewność, że ten człowiek kłamie i udaje, ale mimo to wrzasnąłem z furją: – Znudziło mi się wysłuchiwanie bajek, Hincus! Powiedział mi pan, że pana napadli o ósmej czterdzieści. A tymczasem widziano pana w korytarzu po dziewiątej! Będzie pan mówił prawdę czy nie?

Na sekundę na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Mnie? Po dziewiątej?

– Tak! Szedł pan korytarzem i skręcił pan na podest!

– Ja? – Hincus nagle zaśmiał się spazmatycznie. – Ja szedłem korytarzem? – Znowu się zaśmiał, i jeszcze raz, i jeszcze, i nagle cały zatrząsł się w piskliwym histerycznym śmiechu. – Ja? Mnie? To jest właśnie to, inspektorze! To jest to! – powtórzył, zachłystując się. – Widziano mnie w korytarzu... I ja też widziałem mnie! I ja rzuciłem się na mnie! I ja mnie związałem... I zamurowałem mnie w ścianie! Ja mnie... Rozumie pan, inspektorze? Ja mnie!



## Rozdział X

Zszedłem do holu i ponuro oznajmiłem właścicielowi hotelu:

– Hincus kompletnie oszalał. Czy masz jakieś silne środki uspokajające?

– Ja wszystko mam – odparł Alec.

– Będziesz umiał zrobić zastrzyk?

– Ja wszystko umiem.

– To się nim zajmij – powiedziałem, dając mu klucz.

W głowie mi huczało. Zbliżała się za pięć czwarta. Byłem zmęczony, wściekły, a co najważniejsze nie odczuwałem żadnych myśliwskich emocji. Zbyt jasno rozumiałem, że ta sprawa przekracza moje możliwości. Żadnego przebłysku światła. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – im dalej, tym ciemniej. Być może w hotelu ukrywa się ktoś podobny do Hincusa? Może istotnie Hincus ma sobowtóra – niebezpiecznego gangstera, maniaka i sadystę? To by co nieco wyjaśniło... morderstwo, strach Hincusa, jego histerię... ale za to powstawał następny problem – jak się tu dostał, gdzie i w jaki sposób sobowtór się ukrywa? Ten hotel to jednak nie Luwr i nie Pałac Zimowy – to tylko „mały, uroczy hotel na dwanaście numerów; przytulny jak wasz prywatny dom. Gwarantujemy”. Pal go diabli, lepiej zajmę się Mosesami.

Stary Moses nie wpuścił mnie do siebie. Kiedy zapukałem, wyszedł z nieodłącznym kubkiem w ręku, w ogromnym tureckim szlafroku i dosłownie wycisnął mnie na korytarz swoim wielkim brzuchem.

– Zamierza pan rozmawiać tutaj? – zapytałem zmęczonym głosem.

– Tak, zamierzam – odparł wyzywająco i dmuchnął mi w twarz skomplikowaną mieszaniną dziwnych zapachów. – Właśnie tu. Policjant nie ma czego szukać w domu Mosesa.

– W takim razie lepiej chodźmy do biura – zaproponowałem.

– No, do biura... – pociągnął z kubka. – Do biura to ewentualnie mógłbym. Chociaż nie bardzo rozumiem, na jaki temat mamy rozmawiać? Chyba nie podejrzewa mnie pan o morderstwo, mnie, Mosesa?

– Nie – odpowiedziałem. – Boże broń... Ale pańskie zeznania mogą okazać nieocenioną pomoc śledztwu.

– Śledztwu! – prychnął pogardliwie i łyknął ze swojego kubka. – No dobrze, chodźmy... – Póki zśliśmy, zrządził: – Nie mógł pan znaleźć zegarka, zwyczajnego ukradzionego zegarka, a tu morderstwo, śledztwo...

W biurze posadziłem go w fotelu, sam zaś usiadłem przy biurku.

– To znaczy pański zegarek się nie odnalazł? – zapytałem. Popatrzył na mnie z irytacją.

– A pan, inspektorze, miał nadzieję, że zegarek jakoś sam się odnajdzie?

– Miałem taką nadzieję – przyznałem. – Ale jeśli tak się nie stało, to nic nie poradzę.

– Nie podoba mi się nasza policja – wybałuszając na mnie oczy, oznajmił niezwłocznie. – Nie podoba mi się ten hotel. Jakiś morderca, jakieś lawiny... psy, złodzieje, hałasy po nocach... Przecież wyraźnie powiedziałem – cały korytarz jest mój, z wyjątkiem sali z kominkiem. Kominek mi niepotrzebny. Jak się pan ośmielił złamać umowę? Co to za włóczęga zagnieździł się w moim trzecim pokoju?

– Ten człowiek trafił pod lawinę. Jest ranny i odmrożony. Byłoby okrucieństwem ciągnąć go na górę.

– Ale ja zapłaciłem za trzeci pokój! Miał pan obowiązek zapytać mnie o pozwolenie!

Nie mogłem z nim dyskutować, nie miałem sił tłumaczyć mu, że po pijanemu pomylił mnie z właścicielem hotelu. Dlatego powiedziałem po prostu:

– Administracja hotelu przeprasza pana, panie Moses, i zobowiązuje się już jutro przywrócić status quo.

– Przybłęda! – zaryczał pan Moses i łyknął z kubka. – Ale czy to przynajmniej przyzwoity człowiek, włóczęga z mojego trzeciego numeru? Czy jakiś tam złodziejaszek?

– To bardzo przyzwoity człowiek – powiedziałem uspokajająco.

– W takim razie dlaczego go pilnuje ten wasz obrzydliwy pies?

– To czysty przypadek – powiedziałem, zamykając oczy. – Jutro wszystko wróci do normy, zapewniam pana.

– Może i nieboszczyk zmartwychwstanie? – jadowicie zainteresował się wstrętny dziadyga. – Może pan mi to również obieca? Ja jestem Moses, mój panie! Albert Moses! Nie jestem przyzwyczajony do tych wszystkich nieboszczyków, psów, upiorów i lawin...

Siedziałem z zamkniętymi oczyma i czekałem.

– Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby ktoś w środku nocy włąził do mojej żony – kontynuował swoje wywody pan Moses. – Nie jestem przyzwyczajony do przegrywania co wieczór trzystu koron do jakichś wędrownych magików, którzy udają arystokratów... Ten Barl... Barl... To zwyczajny szuler! Moses nie siada do stolika z szulerami! Moses to jest Moses, mój panie!

Jeszcze długo warczał, syczał, głośno siorbał, czał i sapał, ja zaś na całe życie zapamiętałem sobie, że Moses to Moses, Albert Moses, mój panie, i że Moses nie przywykł do tego i do tamtego, do przekłętego śniegu, wręcz przeciwnie, przywykł do tego i do owego, do kąpieli z dodatkiem sosnowego ekstraktu, mój panie... Siedziałem z zamkniętymi oczyma i żeby się lepiej wyłączyć, próbowałem wyobrazić sobie, jak Moses kładzie się spać, nie wypuszczając z ręki swego kubka, jak chrapiąc i pogwizdując przez nos, pieczołowicie trzyma go przed sobą, jak od czasu do czasu pociąga z niego, nie przerywając snu... Potem zapadła cisza.

– A więc tak to jest, inspektorze – powiedział pan Moses pouczająco i wstał. – Niech pan sobie dobrze zapamięta to wszystko, co panu powiedziałem, i niech to będzie dla pana nauczka

na całe życie. Dobranoc.

– Chwileczkę – zatrzymałem go. – Dwa nieistotne pytania... Moses z oburzeniem otworzył już usta, ale ja byłem czujny i nie dopuściłem do tego, by zaczął mówić.

– O której mniej więcej wyszedł pan z jadalni?

– Mniej więcej – kwiknął Moses. – I w taki sposób ma pan zamiar złapać mordercę? Mniej więcej... Mogę panu udzielić precyzyjnie konkretnych informacji. Moses niczego nie robi mniej więcej, inaczej nie zostałby Mosesem. Może jednak pozwoli mi pan usiąść – zainteresował się jadownicę.

– Tak, oczywiście, przepraszam pana.

– Dziękuję panu, inspektorze – oświadczył jeszcze jadownicę i usiadł. – A więc ja i pani Moses, do której pokoju w sposób wysoce nieprzyzwoity wdarł się pan dzisiejszej nocy, zresztą całkowicie bezprawnie, do tego nie sam, i bez pukania, nie wspominam już o urzędowym nakazie albo o czymś w tym rodzaju, rzecz jasna nie mamy prawa oczekiwać od dzisiejszej policji zachowywania takich subtelności prawnych, jak przestrzeganie prawa każdego uczciwego człowieka do przebywania w swoim domu jak w twierdzy, szczególnie, mój panie, kiedy chodzi o kobietę, o żonę, mój panie, o żonę Mosesa, Alberta Mosesa, inspektorze!

– Tak, tak, istotnie zachowałem się nierozważnie – powiedziałem. – Proszę przyjąć ode mnie i przekazać również pani Moses wyrazy ubolewania z powodu tego pożałowania godnego wypadku.

– Nie mogę przyjąć pańskich przeprosin, inspektorze, do chwili, w której nie będę miał całkowitej jasności, co za człowiek został ulokowany w trzecim wynajętym przeze mnie pokoju, na jakiej podstawie ulokowany został w pokoju graniczącym z pokojem mojej małżonki i dlaczego pilnuje go pies.

– My sami nie wiemy jeszcze dokładnie, co to za człowiek – powiedziałem i znowu przymknąłem oczy. – Wiemy, że uległ katastrofie samochodowej, że to kaleka bez jednej ręki i że teraz śpi. Jak tylko jego tożsamość zostanie stwierdzona, natychmiast zostanie pan o tym powiadomiony. – Otworzyłem oczy. – A teraz powróćmy do chwili, kiedy pan wraz z małżonką opuścił jadalnię. Która to była godzina?

Moses podniósł kubek do ust i popatrzył na mnie groźnie.

– Przyjmuję pańskie wyjaśnienia – oznajmił. – Mam nadzieję, że dotrzyma pan swojej obietnicy i natychmiast mi zamelduje... – Upił nieco. – A więc ja i moja żona wstaliśmy od stolika i opuściliśmy jadalnię mniej więcej... – zmrużył oczy złośliwie i powtórzył: – mniej więcej, inspektorze, o dwudziestej pierwszej trzydzięści trzy z sekundami, według miejscowego czasu! Jest pan zadowolony? Znakomicie! Niech pan zadaje drugie i mam nadzieję ostatnie pytanie.

– Jeszcze niezupełnie skończyliśmy z pierwszym – zastrzegłem. – Wyszedł pan z sali

o dwudziestej pierwszej trzydziści trzy. I co potem?

– Potem? – złowieszczo zapytał Moses. – Co chce pan przez to powiedzieć, młody człowieku? Czy przypadkiem nie chce pan zapytać, co robiłem, kiedy wróciłem do siebie?

– Śledztwo byłoby panu niezmiernie wdzięczne – powiedziałem z uczuciem.

– Śledztwo? Nie interesuje mnie wdzięczność waszego śledztwa! Zresztą nie mam nic do ukrycia. Poszedłem do siebie, natychmiast rozebrałem się i położyłem spać. I spałem dopóty, dopóki nie zaczęły się te niedopuszczalne hałasy w należącym do mnie trzecim numerze. Tylko wrodzone opanowanie i świadomość tego, że nazywam się Moses, nie pozwoliły mi pójść tam i niezwłocznie przegonić całą tę szajkę na czele z policją. Ale proszę zakarbować sobie, że moje opanowanie ma swoje granice i nie pozwolę żadnym nierobom...

– Tak, tak, oczywiście, będzie pan miał absolutną rację – powiedziałem pospiesznie. – Jeszcze jedno, ostatnie już pytanie, panie Moses.

– Ostatnie! – powiedział Moses, groźnie potrząsając wskazującym palcem.

– Czy nie zauważył pan, o której mniej więcej pani Moses wychodziła z jadalni?

Nastąpiła przerażająca pauza. Moses, wybałuszając na mnie mętne ślepie, stopniowo fioletowiał.

– Zdaje mi się, że śmie pan przypuszczać, że żona Mosesa ma coś wspólnego z morderstwem? – zapytał zdławionym głosem. Rozpaczliwie pokręciłem głową, ale nic mi to nie pomogło. – I, zdaje się, śmie pan liczyć na to, że Moses w tej sytuacji będzie składał jakiegokolwiek zeznania? Albo pozwala pan sobie wyobrażać, mój panie, że ma do czynienia nie Mosesem, tylko z jakimś jednorękim włóczęgą, który mi ukradł drogocenny złoty zegarek? Albo może...

Zamknąłem oczy. W ciągu następnych pięciu minut usłyszałem masę najstraszliwszych przypuszczeń, dotyczących moich zamiarów oraz moich zamysłów skierowanych przeciwko godności, czci oraz majątkowi Mosesa, jak również przeciwko fizycznemu bezpieczeństwu Mosesa, mój panie, nie jakiegoś paskudnego, zapchlonego psa, ale Mosesa, Alberta Mosesa, mój panie, pan jest to w stanie zrozumieć czy nie?... Pod koniec tego przemówienia nie liczyłem już, że otrzymam jakąkolwiek sensowną odpowiedź. Myślałem tylko z rozpaczą, że teraz to już do pani Moses nigdy sienie dostanę. Ale okazało się inaczej. Moses nagle przerwał, odczekał, aż otworzę oczy i powiedział z nieopisaną pogardą:

– Zresztą to śmieszne przypisywać takiej marnej kreaturze tak podstępne zamiary. Śmieszne i niegodne Mosesa. Oczywiście mamy tu do czynienia z elementarnym policyjno-urzędniczym brakiem taktu uwarunkowanym niskim poziomem umysłowego i kulturalnego rozwoju. Przyjmują pańskie przeprosiny, inspektorze, i mam honor pożegnać pana. Mało tego. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności... Rozumiem, że nie będzie pan miał dość taktu, aby zostawić w spokoju moją żonę i nie zadręczać jej swymi głupimi pytaniami. Dlatego pozwalam panu

zadać jej te pytania – nie więcej niż dwa, mój panie! W mojej obecności. I to natychmiast. Proszę za mną.

Triumfując wewnątrz, poszedłem za Mosesem. Stary zapukał do drzwi swojej żony, a kiedy usłyszał odpowiedź, zgrzytliwie zagruchał:

– Można cię odwiedzić, najdroższa? Nie jestem sam. Najdroższą można było odwiedzić. Najdroższa w tej samej co poprzednio pozie spoczywała pod lampą, teraz już całkowicie ubrana. Powitała nas swoim czarującym uśmiechem. Stary grzyb podreptał do żony i ucałował jej rękę – w tym momencie przypomniałem sobie, że Alec twierdził, jakoby Moses bił żonę pejczem.

– To inspektor, najdroższa – wyskrzypiał Moses, zwałając się na fotel. – Pamiętasz inspektora?

– Ach, jakże mogłabym zapomnieć naszego miłego pana Glebsky'ego? – odezwała się piękna pani. – Pan będzie łaskaw usiąść, inspektorze. Uroczą noc, nieprawdaż? Ileż w niej poezji! Księżyc...

Usiadłem na krześle.

– Inspektor zaszczyił nas, najdroższa – wyjaśnił Moses – podejrzeniem o zamordowanie tego Olafa. Pamiętasz Olafa? No więc, został zabity.

– Tak, już o tym słyszałam – powiedziała pani Moses. – To przerażające. Drogi Glebsky, czyżby naprawdę podejrzewał nas pan o popełnienie tej koszmarniej nikczemności?

Miałem tego po dziurki w nosie. Basta, pomyślałem. Do diabła z nimi.

– Proszę pani – powiedziałem oschle. – Śledztwo ustaliło, że wczoraj mniej więcej o wpół do dziewiątej opuściła pani jadalnię. Pani, oczywiście, to potwierdza?

Stary z oburzeniem poruszył się w swoim fotelu, ale pani Moses była szybsza.

– Rozumie się, że potwierdzam – odpowiedziała. – Z jakiej racji miałabym zaprzeczać? Miałam powód, żeby wyjść, więc wyszłam.

– O ile dobrze rozumiem – mówiłem dalej – przyszła pani do swego pokoju, a parę minut po dziewiątej znowu wróciła pani do jadalni? Czy tak było?

– Tak, oczywiście. Co prawda nie jestem zupełnie pewna, czy to działo się właśnie o tej godzinie, nie patrzyłam na zegarek... Ale najprawdopodobniej właśnie tak było.

– Chciałbym bardzo, aby pani sobie przypomniała, czy widziała pani kogoś, wychodząc z jadalni i wracając tam.

– Tak... wydaje mi się – powiedziała pani Moses. Zmarszczyła czołko, a ja czekałem w napięciu. – Ależ tak, oczywiście! – zawołała. – Kiedy już wracałam, zobaczyłam w korytarzu parę...

– Gdzie? – zapytałem szybko.

– No... od razu na lewo, od podestu. To był nasz biedny Olaf i to zabawne stworzenie... nie wiem, chłopiec czy dziewczyna... A jak ty sądzisz, Albercie?

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Czy jest pani pewna, że stali na lewo od podestu?

– Jestem tego najzupełniej pewna. Stali, trzymając się za ręce, i bardzo miło ze sobą rozmawiali. Rzecz jasna udałam, że ich nie zauważyłam...

Oto króciutkie wahanie Brune. Dziecię przypomniało sobie, że ktoś ich widział przed drzwiami Olafa, nie zdążyło nic wymyślić i zełgało, licząc, że łgarstwo się nie wyda.

– Jestem kobietą, inspektorze – mówiła dalej pani Moses. – I nigdy nie wtrącam się w cudze sprawy. W innych okolicznościach nie usłyszałby pan ode mnie ani słowa, ale teraz, jak mi się wydaje, jestem zobowiązana, zmuszona nawet do szczerości... Nieprawdaż, Albercie? Moses w fotelu zamruczał niewyraźnie.

– I jeszcze jedno – powiedziała pani Moses. – Ale to pewnie nie ma większego znaczenia... Kiedy schodziłam na dół, spotkałam na schodach tego maleńkiego, nieszczęsnego człowieczka...

– Hincusa – powiedziałem ochryple i odkaszlnąłem. Coś mi uwięzło w gardle.

– Tak, Fincusa... Zdaje się, że tak brzmi jego nazwisko... A wie pan, inspektorze, on ma gruźlicę. A nie wygląda na to, prawda?

– Przepraszam – powiedziałem. – Kiedy pani spotkała Hincusa, szedł po schodach na górę?

– Nawet dla policjanta powinno to być jasne – z rozdrażnieniem zaryczał Moses. – Moja żona wyraźnie powiedziała, że spotkała tego Fikusa, kiedy schodziła na dół. To znaczy, że ten człowiek szedł jej na spotkanie, czyli na górę...

– Nie gniewaj się, Albercie – łagodnie powiedziała pani Moses. – Inspektora po prostu interesują szczegóły... Tak, inspektorze, szedł na górę, najwidoczniej z holu. Szedł, nie śpiesząc się, chyba głęboko zamyślony, bo w ogóle nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Minęliśmy się i każde z nas poszło w swoją stronę.

– Jak on był ubrany?

– Okropnie! Jakieś koszmarnie futro... To się chyba nazywa... owczyna! Zalatywało od niego, przepraszam za wyrażenie, pseem... mokrą sierścią... Nie wiem, jak pan, inspektorze, ale ja uważam, że jeżeli człowieka nie stać na przyzwoite ubranie, to powinien siedzieć w domu i oszczędzać, a nie przyjeżdżać tam, gdzie bywają ludzie z towarzystwa.

– I niektórym innym również bym doradził, żeby siedzieli w domu – zawarczał znad swego kubka Moses – a nie pchali się tam, gdzie przyjeżdżają ludzie z towarzystwa. No co, inspektorze, skończył pan nareszcie?

– Nie, jeszcze niezupełnie – powiedziałem powoli. – Jeszcze jedno pytanie... Kiedy pani po balu wróciła do siebie, zapewne położyła się pani spać i twardo zasnęła?

– Twardo zasnęłam?... Jakby to panu powiedzieć... Tak, zdrzemnąłam się na chwilę, czułam się trochę wzburzona, zapewne wypięłam więcej, niż powinnam...

– I, jak przypuszczam, coś panią obudziło? Przecież kiedy nieco później tak nietaktownie wtargnąłem do pani pokoju, proszą mi wybaczyć moje niestosowne zachowanie, nie spała pani...

– Ach, o to panu chodzi... Nie spałam... Tak, istotnie nie spałam, ale nie mogę powiedzieć, inspektorze, żeby mnie coś obudziło. Po prostu czułam, że dzisiejszej nocy nie uda mi się zasnąć, jak należy, i postanowiłam trochę poczytać... Zresztą jeżeli chciał się pan ode mnie dowiedzieć, czy słyszałam w nocy jakieś podejrzone hałasy, to mogę oświadczyć stanowczo: nie, nie słyszałam.

– Nic pani nie słyszała? – zdziwiłem się.

Pani Moses, jak mi się wydało, nieco spłoszona, spojrzała na męża. Nie spuszczałem z niej oczu.

– Zdaje mi się, że nie – powiedziała niepewnie. – A ty, Albercie?

– Absolutnie nic – stanowczo powiedział Moses. – Jeżeli nie liczyć niedopuszczalnego hałasu, jaki zrobili ci panowie wokół tego przybłądy...

– I żadne z was nie słyszało nawet łoskotu lawiny?

– Jakiej lawiny? – zdziwiła się pani Moses.

– Nie denerwuj się, najdroższa – powiedział Moses. – To nic strasznego. Niedaleko w górach zeszła lawina, opowiem ci o tym później... No, inspektorze, może teraz już wystarczy?

– Tak – powiedziałem. – Teraz już wystarczy. – Wstałem. – Jeszcze jedno, tym razem już naprawdę ostatnie pytanie.

Pan Moses zawarczał, zupełnie jak rozgniewany Lelle, ale pani Moses dobrotliwie skinęła głową.

– Proszę, inspektorze.

– Dziś w ciągu dnia, niedługo przed obiadem, szła pani na dach...

Pani Moses roześmiała się i przerwała mi.

– Nie, nie wchodziłam na dach. Szłam z holu na piętro i na skutek roztargnienia w zamyśleniu poszłam wyżej po tych okropnych schodach. Poczułam się głupio, kiedy zobaczyłam nagle przed sobą drzwi, deski... nawet nie od razu zrozumiałam, gdzie jestem...

Miałem ogromną ochotę zapytać ją, w jakim właściwie celu weszła na pierwsze piętro. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, czego szukała pani Moses na pierwszym piętrze, chociaż można było przypuścić, że chodziło o amory z Simonetem, w które przypadkowo się włączyłem. Ale właśnie spojrzałem na starego i wszystko wyleciało mi z głowy. Na kolanach Mosesa leżał pejcz – posępny, czarny, z grubym trzonkiem i mnóstwem plecionych rzemyków, w których połyskiwał metal. Wstrząśnięty odwróciłem oczy.

– Dziękuję pani – mruknąłem. – Okazała pani wielką pomoc śledztwu.

Beznadziejnie zmęczony dowlokłem się do holu, siadłem obok Aleca, żeby odpocząć. Okropny pejcz ciągle jeszcze stał mi przed oczami, pokręciłem głową i z trudem odegnałem od siebie ten obraz. To nie moja rzecz. To ich prywatna sprawa, nic mi do tego... Oczy mnie piekły, jakbym miał pod powiekami piasek. Na pewno powinienem się przespać, choćby ze dwie

godziny. Musiałem jeszcze przesłuchać nieznanego, ponownie dziecię, ponownie Kaisę, do tego trzeba mi sił, dlatego powinienem iść spać, ale czułem, że teraz nie usnę. Po hotelu włóczy się sobowtór Hincusa. Latorośl du Barnstockre' a łże. A i z panią Moses nie wszystko jest jasne. Albo spała jak zabita, a w takim razie nie wiadomo, dlaczego się obudziła i dlaczego kłamie, że prawie nie spała. Albo nie spała i w takim razie również nie wiadomo, dlaczego nie słyszała lawiny i krzątany w sąsiednim pokoju. A już całkowicie niepojęta jest przygoda Simoneta... Za dużo jest wariatów w tej historii, pomyślałem ospale. Wariatów, pijanych i idiotek... A w ogóle na pewno wszystko robię nie tak jak trzeba. Jak by postąpił na moim miejscu Segut? Natychmiast oddzieliłby wszystkich, którzy mają dosyć siły, żeby skrócić kark dwumetrowemu wikingowi i zająłby się wyłącznie nimi. Ja zaś zawracam sobie głowę latoroślą albo tym zasmarkanym schizofrenikiem Hincusem, starym alkoholikiem Mosesem... Zresztą nie o to chodzi. No dobrze, powiedzmy, że znajdę mordercę. A co dalej? To przecież typowy przypadek zabójstwa w zamkniętym pokoju. W życiu nie udowodnię, jak morderca tam wszedł i jak stamtąd wyszedł... Same zmartwienia. Może się napić kawy?

Spojrzałem na właściciela hotelu. Pracowicie naciskał klawisze arytmometru i wpisywał coś do księgi buchalteryjnej.

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Czy w twoim hotelu może się ukryć tak, żeby go nikt nie zauważył, sobowtór Hincusa?

Cenevert uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Akurat Hincusa? – zapytał rzeczowo. – A nie jeszcze kogoś?

– Tak. Właśnie sobowtór Hincusa. W twoim hotelu przebywa sobowtór Hincusa. I zwracam ci uwagę, że nie płaci za pobyt. Zapewne kradnie jedzenie, pomyśl o tym, Alec!

Gospodarz się zamyślił.

– Nie wiem – powiedział. – Nic takiego nie zauważyłem. Czuję tylko jedno, Peter. Jesteś w błędzie. Wybrałeś najbardziej naturalną drogę postępowania i właśnie dlatego mylisz się szczególnie mocno. Badasz alibi, zbierasz poszlaki, szukasz motywów. A mnie się wydaje, że w tej sprawie normalne metody waszej pracy tracą sens, podobnie jak pojęcie czasu przy prędkościach ponadświatlnych.

– To są twoje wrażenia? – zapytałem gorzko.

– Co masz na myśli?

– Tę twoją filozofię w związku z alibi przy ponadświatlnych prędkościach. Mnie już głowa puchnie, a ty mi opowiadasz, diabli wiedzą co. Już lepiej daj mi kawy.

Alec wstał.

– A jednak jeszcze nie dojrzałeś, Peter – powiedział. – A ja czekam, kiedy wreszcie dojrzejesz.

– Po co ci to potrzebne? Już dojrzałem, przejrzałem i niedługo spadnę.



– Nie spadniesz! – uspokoił mnie właściciel hotelu. – I jeszcze daleko ci do dojrzałości. A ja chcę doczekać chwili, kiedy moje słowa wydadzą ci się jedynym kluczem do zrozumienia tej sprawy.

– O Boże! – mruknąłem. – Wyobrażam sobie, co to za słowa!

Alec uśmiechnął się pobłaźliwie i ruszył do kuchni. Na progu się zatrzymał.

– Jak chcesz, powiem ci, co się przywidziało naszemu zwariowanemu fizykowi?

– No, spróbuj.

– Nasz zwariowany fizyk władował się do łóżka pani Moses i znalazł tam zamiast żywej kobiety martwy manekin. Lalkę, Peter, zimną lalkę.

## Rozdział XI

Ciągle jeszcze stał w progu i spoglądał na mnie z uśmiechem.

– Ano, wracaj – powiedziałem. – Opowiadaj.

– A kawa?

– Pal diabli kawę! Widzę, że ty coś wiesz. Nie zwracaj mi głowy, tylko mów, jak sprawa wygląda.

Alec wrócił do stolika, ale nie usiadł.

– Nie wiem, jak sprawa wygląda – powiedział. – Mogę tylko snuć pewne przypuszczenia.

– Skąd wiesz, co znalazł Simonet?

– Aha, więc zgadłem... – Wygodnie usadowił się w fotelu. – Przyznaj, że wypadło to efektownie...

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Nie będę ukrywał, podobasz mi się.

– Ty mi się również podobasz – powiedział właściciel.

– Zamknij się. Podobasz mi się. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Nie podejrzewam cię, Alec. Niestety, nie mam żadnych podstaw, żeby cię podejrzewać... A już pora, już najwyższy czas, żeby zacząć kogoś podejrzewać...

– Nie pozwalaj sobie za dużo! – powiedział gospodarz, podnosząc gruby palec.

– Powiedziałem: zamknij się. Jeżeli będziesz zwracać mi głowę, to zacznę podejrzewać ciebie. I będziesz miał nieprzyjemności, Alec. Jestem bardzo niedoświadczony w tego rodzaju sprawach i dlatego możesz mieć wyjątkowo duże nieprzyjemności... Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, na jakie nieprzyjemności może narazić przyzwoitego obywatela niedoświadczony policjant.

– No, jeśli tak – powiedział właściciel – to oczywiście. To znaczy, skąd ja wiem, co zobaczył Simonet w sypialni pani Moses...

– Tak – powiedziałem. – Skąd?

Alec siedział w swoim fotelu, szeroki w barach, krępy, jowialny, nieznośnie zadowolony z siebie.

– A więc tak. Zaczniemy od teorii. Czarownicy i znachorzy w niektórych mało zbadanych plemionach Afryki centralnej od dawna władają sztuką przywracania pozoru życia swoim zmarłym współplemieńcom...

Jęknąłem, właściciel podniósł nieco głos.

– Takie jak najbardziej realne zjawisko. Zmarły, który sprawia wrażenie człowieka żyjącego i na pierwszy rzut oka zachowuje się całkowicie sensownie, jest w stanie wykonywać samodzielnie różne czynności – nazywa się zombi. Można powiedzieć, że zombi to trzeci stan żywego organizmu. A używając terminologii naukowej, funkcjonalnie zombi jest bardzo

precyzyjnym mechanizmem biologicznym, który wykonuje...

– Słuchaj, Alec – powiedziałem z udawką. – Ja oglądam telewizję i od czasu do czasu chodzę do kina. Wszystkie te potwory, Frankenstein, szare dziewice, John Bloody Bladder, Dracula...

– Wszystko to są płody wyobraźni prymitywnych ciemniaków – z godnością powiedział właściciel hotelu. – A Dracula to już w ogóle...

– To wszystko mnie nie interesuje – powiedziałem. – Rozumiem cię, urządzasz próbę generalną przed rozmową z dziennikarzami. Ale mnie to nie dotyczy. Obiecałeś powiedzieć mi coś ciekawego o pani Moses i o Simonecie. Więc opowiadaj. Co, może też wlałeś do jej łóżka? I też, mówiąc delikatnie, zawiodłeś się?

Alec przez jakiś czas patrzył na mnie ze smutkiem.

– Tak – powiedział wreszcie z żalem. – Tak właśnie myślałem. Jeszcze nie dojrzałeś... No dobrze – westchnął. – Niech będą same fakty, bez teorii. Sześć dni temu, kiedy mój hotel zaszczyli swoim przyjazdem państwo Moses, przydarzyła mi się następująca przygoda. Kiedy dokonałem niezbędnych adnotacji w paszportach wyżej wymienionych, udałem się do numeru pana Mosesa w celu zwrócenia mu paszportów. Zapukałem. Byłem nieco zamyślony i dlatego nie czekając na pozwolenie, otworzyłem drzwi. I zostałem niezwłocznie ukarany za naruszenie elementarnych zasad dobrego wychowania. Zobaczyłem mianowicie w fotelu na środku pokoju coś, co przy dobrej woli można by nazwać panią Moses. Nie była to jednak pani Moses. Była to naturalnej wielkości piękna lalka, bardzo podobna do pani Moses i ubrana identycznie jak ona. Teraz zapytasz mnie, dlaczego jestem pewien, że to była lalka, a nie pani Moses. W odpowiedzi mógłbym wyliczyć konkretne szczegóły: nienaturalność pozy, szklane spojrzenie, absolutnie nieruchome rysy twarzy i tak dalej. Chyba zresztą to nie jest w najmniejszym stopniu konieczne. Jak się wydaje, każdy normalny człowiek zdolny jest w ciągu kilku sekund zobaczyć, co widzi, manekina czy modelkę. Ja miałem tych kilka sekund. Następnie zostałem brutalnie złapany za ramię i wyrzucony na korytarz. To była gwałtowna, acz całkowicie usprawiedliwiona reakcja pana Mosesa, który w tym czasie najwidoczniej oglądał apartamenty swojej małżonki i zaatakował mnie od tyłu...

– Lalka – powiedziałem w zamyśleniu.

– Zombi – łagodnie poprawił mnie właściciel hotelu.

– Lalka... – powtórzyłem, nie zwracając na niego uwagi. – Jaki bagaż ma Moses?

– Kilka zwyczajnych walizek – powiedział Alec. – I gigantyczny, okuty żelazem staromodny kufer. Przyjechało z nim czterech tragarzy, którzy dobrze się namordowali, zanim wtaszczyli ten kufer do domu. Rozwalili mi całą futrynę...

– No cóż – powiedziałem po chwili namysłu. – W końcu to jego prywatna sprawa. Słyszałem o milionerze, który wszędzie woził ze sobą kolekcję nocników... Jeżeli człowiek ma ochotę wozić ze sobą naturalnej wielkości manekin swojej żony... Cóż, pieniędzy ma dużo, najwyraźniej

nie ma co robić. Nawiasem mówiąc, zupełnie możliwe, że Moses zauważył zaloty naszego Simoneta i podsunął mu zamiast żony tę lalkę... Do diabła, a może w ogóle on wozi ze sobą ten manekin właśnie w takich celach! Sądząc po zachowaniu pani Moses... – Wyobraziłem sobie siebie na miejscu Simoneta i wzdrygnąłem się. – Jak Boga kocham, niezły dowcip – powiedziałem.

– No i wszystko stało się jasne – powiedział właściciel.

Nie spodobał mi się jego ton. Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie. Alec ciągle jeszcze był mi sympatyczny. Ale u diabła, po co mu to było potrzebne – ta cała gadanina, te afrykańskie brednie? Przecież nie jestem reporterem i nie mam zamiaru reklamować tego hoteliku, psując przy tym własną opinię... Nie, wystarczy. Więcej na te tematy z panem Alekiem Cenevertem nie rozmawiam. Jeżeli ma na celu zabicie mnie z pantałyku, to mu się nie uda, tylko pogorszy własną sytuacją. Nie powinien być za bardzo zwracać na siebie mojej uwagi.

– Tak – powiedziałem – przeszkadzasz mi, Alec. Siedź tu, a ja pójdę do salonu. Muszę się dobrze zastanowić.

– Jest już za piętnaście piąta – przypomniał właściciel.

– No to co? Spać i tak dzisiaj nie będziemy. I weź pod uwagę, że bynajmniej nie odnoszę wrażenia, jakoby na tym miało się skończyć. Dlatego zostań w holu i bądź czujny.

– No cóż, jak trzeba, to trzeba – powiedział Alec.

Poszedłem do salonu (Lelle znowu na mnie zawarczał), wziąłem pogrzebacz i rozgarnąłem węgiel. Tak więc historia z Simonetem mniej więcej się wyjaśniła i można o niej zapomnieć. Albo przeciwnie – w żadnym razie nie należy o niej zapominać, bo jeżeli o jedenastej wieczorem w pokoju pani Moses był manekin, to gdzie była sama pani Moses? Dowcip rzeczywiście wyśmienity... Ale może nieco przyciężki... I czy to w ogóle dowcip? A może próba zapewnienia alibi? Nie, bzdura, jakie, u diabła, alibi – noc, ciemno, stwierdzić to alibi można tylko po omacku, a po omacku okazuje się, że to nie alibi, tylko dowcip...

Może liczone na to, że biedny Simonet nie wytrzyma nerwowo, zacznie krzyczeć, wszyscy się zlecą, zacznie się skandal, awantura, panika... a co dalej? I najważniejsze – po co ta lalka? Równie dobrze obyłyby się bez niej. Ale właściwie co mnie tu niepokoi? Tylko jedno – pokój Simoneta sąsiaduje z pokojem Olafa. Można na przykład założyć, że Mosesom zależało, aby pokój Simoneta przez jakiś czas, poczynając od jedenastej, był pusty. To właśnie mnie niepokoi. Ale żeby zająć czas Simonetowi, niepotrzebna jest lalka, wystarczyłaby sama pani Moses. To byłoby najnaturalniejsze i najpewniejsze. A jeśli uciekają się do takiego niepewnego i nienaturalnego sposobu jak lalka, to znaczy, że zależało im na tym, żeby pani Moses znajdowała się zupełnie gdzie indziej... Pani Moses... delikatna, rozpieszczona, światowa aż do zidiocenia pani Moses... Nie, to mnie donikąd nie zaprowadzi... Zupełnie zapominać o wyśmienitym dowcipie nie należy, ale też żadnych korzyści z tej historii chwilowo nie widać...

Wyjątkowo obrzydliwa sytuacja – wszystkie nici prowadzą donikąd. Po pierwsze: nie ma ani jednego podejrzanego. Po drugie: zupełnie niezrozumiałe jest, w jaki sposób popełniono przestępstwo. Sama istota sprawy jest niezrozumiała. Bóg z nim, z mordercą. Wy tłumaczcie mi, jak on to zrobił?! Jak? Okno otwarte, ale nie ma żadnych śladów na parapecie, żadnych śladów na śniegu ani na gzymsie. Ani z dołu, ani z lewej, ani z prawej strony nie można się dostać do okna. Pozostaje ostatnia możliwość – od góry. Z dachu po linie. Ale wtedy byłyby ślady na brzegu dachu. Można oczywiście iść i jeszcze raz obejrzeć dach, ale przecież dobrze pamiętam – śnieg jest zdeptany tylko obok leżaka Hincusa. Teraz nie pozostaje już nic innego oprócz Karlssona ze śmigłem w zadku. Wleciał, skręcił rodakowi kark i odleciał... W rezerwie zostały mi więc tylko dwie dość beznadziejne hipotezy. Pierwsza – różne tam ukryte włazy, potajemne drzwi i podwójne ściany. A druga – jakiś geniusz wynalazł urządzenie pozwalające przekręcać klucz z zewnątrz, nie pozostawiając na nim żadnych śladów...

Obie hipotezy wskazują wprost na właściciela hotelu, mechanika wynalazcę. Tak. A jak wygląda alibi tego człowieka? Do dziewiątej trzydzieści nieprzerwanie siedzi przy zielonym stoliku. Poczynając mniej więcej od za pięć dziesiąta do chwili znalezienia trupa praktycznie znajduje się w zasięgu mego wzroku albo słuchu. Na morderstwo zostaje mu w przybliżeniu dwadzieścia do dwudziestu pięciu minut, kiedy nie widzi go nikt albo też widzi go tylko Kaisa, którą według jego własnych słów sztorcuje za powolną obsługę. To oznacza, że teoretycznie właściciel hotelu może być mordercą, jeżeli zna potajemne przejście albo jeżeli posiada umiejętności przekręcania klucza z zewnątrz bez pozostawiania śladów. Niezrozumiałe motywy (przecież nie dla reklamy). Psychologicznie też całkowicie nieuzasadnione jest jego późniejsze zachowanie. Ale, powtarzam, teoretycznie Alec mógł zamordować. Zapamiętajmy to sobie i idźmy dalej.

Du Bamstockre. Nie ma alibi. Ale to cherlawy starzec i po prostu nie starczyłoby mu siły, żeby skręcić komuś kark. Simonet. Też nie ma alibi. Skręcić kark mógłby, to silny mężczyzna i do tego lekko stuknięty. Niezrozumiałe, jak się dostał do pokoju Olafa? A jeżeli się dostał, to jak stamtąd wyszedł? Teoretycznie mógł, rzecz jasna, przypadkowo odkryć te hipotetyczne tajne drzwi. Niezrozumiałe są motywy, niezrozumiałe jego zachowanie po morderstwie. Wszystko niezrozumiałe. Hincus... Sobowtór Hincusa... Dobrze byłoby napić się jeszcze kawy... Dobrze byłoby plunąć na wszystko i położyć się spać...

Brune. Tak, to jedyna nitka, która się jeszcze nie zerwała. To dziecko skłamało. Dziecko widziało panią Moses, a powiedziało, że jej nie widziało. Dziecko flirtowało z Olafem pod drzwiami jego pokoju, ale powiedziało, że dało mu w mordę pod drzwiami jadalni... I teraz nagle przypomniałem sobie. Siedziałem tu, w tym fotelu. Podłoga zadrżała, usłyszałem łoskot lawiny. Spojrzałem na zegarek, było dwie minuty po dziesiątej i wtedy na górze trzasnęły drzwi. Właśnie na górze. Ktoś z całej siły trzasnął drzwiami. Kto? Simonet wtedy się golił. Du Bamstockre spał

i możliwe, że właśnie to trzaśnięcie go obudziło. Hincus leżał związany pod stołem. Alec i Kaisa byli w kuchni. Mosesowie byli u siebie. To znaczy, że drzwi mógł zatrzasknąć albo Olaf, albo Brune, albo morderca. Na przykład sobowtór Hincusa. Rzuciłem pogrzebacz i pobiegłem na górę.

Pokój latorośli był pusty, więc zapukałem do du Barnstockre'a. Dziecię z głową wspartą na pięściach smętnie siedziało przy stole. Du Bamstockre otulony w szkocki pled drzemał w fotelu przy oknie. Oboje aż podskoczyli, kiedy wszedłem.

– Zdjąć okulary! – ostro przykazałem latorośli, a latorośl natychmiast usłuchała.

Tak, to była dziewczyna. W dodatku prześliczna, chociaż oczy miała opuchnięte i zaczerwienione od łez. Usiadłem naprzeciw niej i powiedziałem:

– Słuchaj uważnie, Brune. Dziesięć po dziewiątej pani Moses widziała was, ciebie i Olafa, pod drzwiami jego pokoju. Powiedziałaś mi nieprawdę. Nie rozstaliście się z Olafem pod drzwiami jadalni. Gdzie się z nim rozstałaś? Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach?

Przez jakiś czas Brune wpatrywała się we mnie i wargi jej drżały, zaczerwienione oczy znowu napełniły się łzami. Potem ukryła twarz w dłoniach.

– Byliśmy u niego w pokoju – powiedziała.

Du Barnstockre jęknął żałośnie.

– Nie ma co jęczeć, wujku! – powiedziała Brune, niezwłocznie wpadając w furję. – Nic takiego się nie stało. Całowaliśmy się i było bardzo wesoło, tyle że zimno, bo przez cały czas w pokoju było otwarte okno. Olaf miał coś w rodzaju naszyjnika, jakieś korale, i bez przerwy chciał mi je włożyć na szyję, ale nagle rozległ się łoskot, powiedziałam: „Niech pan posłucha – lawina”. Wtedy on mnie puścił i złapał się za głowę, jakby sobie coś przypomniał... Wie pan, jak ludzie łapią się za głowę, kiedy przypominają sobie o czymś ważnym... To trwało dosłownie kilka sekund. Olaf rzucił się do okna, ale natychmiast zawrócił, złapał mnie za ramię i dosłownie wyrzucił na korytarz. Mało się nie przewróciłam, a on od razu z całej siły zatrzasknął za mną drzwi. I nic przy tym nie mówił, tylko zaklął szeptem... Pamiętam jeszcze, jak przekręcił klucz w zamku. Więcej go nie widziałam, wściekłam się nieprzytomnie i poszłam spać...

– Tak – powiedziałem. – Olaf złapał się za głowę, jakby sobie coś przypomniał i rzucił się do okna... Może go ktoś zawołał...

Brune pokręciła głową.

– Nie. Słyszałam tylko łoskot lawiny.

– I od razu odeszłaś? Nie zatrzymałaś się przed drzwiami ani na sekundę?

– Nie. Byłam potwornie wściekła.

– Co się działo po tym, jak wyszliście razem z jadalni? Proszę powtórzyć.

– Olaf powiedział, że chce mi coś pokazać – zaczęła Brune, pochyliwszy głowę. – Wyszliśmy na korytarz i on zaciągnął mnie do swojego pokoju. Ja się oczywiście opierałam...

w ogóle się wygłupialiśmy. Potem, kiedy już staliśmy pod jego drzwiami...

– Stop. Mówiłaś, że widzieliście Hincusa.

– Tak, widzieliśmy. Od razu jak tylko wyszliśmy na korytarz, akurat skręcał z korytarza na schody.

– Tak. Proszę mówić dalej.

– Kiedy już staliśmy pod drzwiami Olafa, objawiła się ta Mosesowa. Oczywiście udała, że nas nie zauważyła, ale mnie się zrobiło nieprzyjemnie. To obrzydliwe, kiedy się tacy różni kręcą i gapią na ciebie. N-no... i poszliśmy do pokoju Olafa.

– Rozumiem. – Spojrzałem na du Barnstockre'a. Starzec siedział, wzniosłszy oczy ku niebiosom. Dobrze mu tak. Ci wujaszkwie wiecznie sobie wyobrażają, że pod ich skrzydłami wyrastają aniołki. Tymczasem aniołeczki podrabiają podpisy na wekslach. – No dobrze. Piliście coś u Olafa?

– Ja?

– Interesuje mnie, co pił Olaf.

– Nic. Ani on, ani ja. Nic nie piliśmy.

– Teraz tak... Hm... Czy nie było tam jakiegoś dziwnego zapachu?

– Nie. Powietrze było bardzo czyste i świeże.

– Nie chodzi mi o pokój. Do diabła, kiedy się całowaliście, nic tam nie było dziwnego?

– Nic podobnego nie zauważyłam – powiedziała gniewnie Brune.

Przez jakiś czas próbowałem sformułować następne pytanie możliwie delikatnie, ale potem zrezygnowałem i powiedziałem wprost:

– Istnieje przypuszczenie, że Olafa przed zamordowaniem otruto powoli działającą trucizną. Czy zauważyłaś coś, co potwierdzałoby takie przypuszczenie?

– A co takiego mogłabym zauważyć?

– Zwykle widać, że człowiek źle się czuje – wyjaśniłem. – Zwłaszcza jeżeli mu się pogarsza w twojej obecności.

– Niczego takiego nie było – stanowczo powiedziała Brune. – Olaf czuł się znakomicie.

– Zapaliliście światło?

– Nie.

– A czy nie powiedział czegoś, co wydałoby ci się dziwne?

– W ogóle nic nie pamiętam, co on mówił – odparła cicho Brune. – To była taka sobie zwyczajna gadka-szmatka. Dowcipy, złośliwości... O motocyklach rozmawialiśmy i o nartach. Moim zdaniem Olaf był świetnym mechanikiem. Pierwszorzędnie znał się na wszystkich silnikach...

– Nie pokazywał ci nic ciekawego? Przecież miał taki zamiar...

– Nie, oczywiście. Pan nic nie rozumie? On to przecież tylko tak sobie powiedział... no, dla

fasonu.

– Kiedy zeszła lawina, siedzieliście czy staliście?

– Staliśmy.

– Gdzie?

– Przy samych drzwiach. Już mi się to znudziło i chciałam sobie pójść. I wtedy zaczął mi zakładać te korale...

– Jesteś pewna, że właśnie wtedy podbiegł do okna?

– N-no... jakby to panu powiedzieć... Złapał się za głowę, odwrócił do mnie plecami i zrobił krok albo dwa w kierunku okna... A może nie do okna, ale ja po prostu niczego poza oknem w pokoju nie widziałam...

– A czy ci się nie wydaje, że oprócz was w pokoju mógł być ktoś jeszcze? Może teraz przypomnisz sobie jakiś szmer, dziwaczny odgłos, na który nie zwróciłaś wtedy uwagi...

Zastanowiła się.

– Nie. Było zupełnie cicho... jakieś ciche odgłosy było słychać, ale za ścianą. Olaf jeszcze zażartował, że to Simonet chodzi u siebie po ścianach... I to wszystko.

– I to rzeczywiście dochodziło od strony Simoneta?

– Tak – powiedziała Brane z przekonaniem. – Już wtedy staliśmy, i słyszeliśmy dźwięki z lewej strony. Najzwyczajniejsze – kroki, woda z kranu.

– Czy Olaf przesuwiał jakieś meble?

– Meble? Ach tak, było coś takiego. Powiedział, że mnie nie wypuści i przysunął fotel do drzwi... no, a potem, rzecz jasna, odsunął.

Wstałem.

– To by było na dzisiaj wszystko – powiedziałem. – Połóż się spać. Dziś już cię nie będę niepokoić.

Du Bamstockre również wstał i ruszył ku mnie z wyciągniętymi ramionami.

– Drogi inspektorze! Rozumie pan chyba, że nie miałem najmniejszego pojęcia...

– Tak, du Barnstockre – powiedziałem. – Dzieci rosną, du Bamstockre. Wszystkie dzieci. W tym również dzieci nieboszczyków. Niech pan jej nigdy w przyszłości nie pozwala nosić ciemnych okularów, du Bamstockre. Oczy są zwierciadłem duszy.

Zostawiłem ich, aby wspólnie rozmyślali nad tymi bezcennymi klejnotami ze skarbnicy policyjnej mądrości, sam zaś poszedłem do holu.

– Jesteś zrehabilitowany, Alec – zawiadomiłem właściciela hotelu.

– A czy byłem skazany? – zdziwił się, podnosząc oczy znad arytmometru.

– Chcę powiedzieć, że obecnie jesteś poza wszelkimi podejrzeniami. Masz stuprocentowe alibi. Ale nie wyobrażaj sobie, że to ci daje prawo do ponownego mącenia mi w głowie jakimś zombizmem-mombizmem... Nie przerywaj. Teraz zostaniesz tu i będziesz siedział, póki nie



pozwolę ci wstać. Zakonotuj sobie, że z tym jednoręki facetem ja muszę rozmawiać pierwszy.

– A jeśli on się obudzi wcześniej niż ty?

– Nie zamierzam się kłaść – powiedziałem. – Chcę przeszukać dom. Jeżeli ten biedak się obudzi i będzie wołał kogokolwiek, nawet mamę, natychmiast pošlesz po mnie.

– Rozkaz – powiedział właściciel hotelu. – Jedno pytanie. Rozkład dnia w hotelu pozostaje niezmienny?

Zastanowiłem się.

– Tak, chyba tak. O dziewiątej śniadanie. A potem zobaczymy. Aha, kiedy twoim zdaniem można się tu spodziewać kogoś z Muir?

– Ciężko powiedzieć. Rozkopywać śnieg być może zaczną nawet jutro. Pamiętam przykłady takiej operatywności... Ale jednocześnie przecież oni tam dobrze wiedzą, że nam tu nic nie grozi... Możliwe, że za jakieś dwa dni przyleci helikopterem Cwiryk, nasz górski inspektor... jeśli na jego pozostałym terenie wszystko jest w porządku. Cały problem w tym, że na początek trzeba się skądś w ogóle dowiedzieć, że zeszła lawina... Krótko mówiąc, na jutrzejszy dzień to ja bym nie liczył...

– To znaczy, na dzisiejszy?

– Tak, na dzisiejszy... Ale jutro ktoś może przylecieć.

– Nadajnika tu nie ma?

– A skąd? I przede wszystkim po co? Dla mnie to nie byłoby zbyt wygodne, Peter.

– Rozumiem – powiedziałem. – To znaczy, że jutro...

– Nie mogę zaręczyć – uprzedził gospodarz.

– Słowem, w ciągu najbliższych, dwóch, trzech dni. Dobrze. Teraz posłuchaj mnie, Alec. Załóżmy, że postanowiłeś się ukryć w tym domu. Na długo, na parę dni. Gdzie byś się schował?

– Hm... – powiedział właściciel z powątpiewaniem. – Jednak przypuszczasz, że w domu jest ktoś obcy?

– Gdzie byś się schował? – powtórzyłem. Alec pokręcił głową.

– Oszukują cię – powiedział. – Słowo honoru, że oszukują. Tu nie ma gdzie się schować. Dwanaście pokoi, tylko dwa stoją puste, ale Kaisa tam codziennie sprząta, musiałyby zauważyć. Człowiek zawsze pozostawia ślady. Na przykład śmiecie, a ona ma fioła na punkcie czystości... Piwnica – od zewnątrz zamknięta na kłódkę... Strychu nie ma, między dachem a sufitem ledwie można rękę przesunąć... Wszystkie służbowe pomieszczenia również zamyka się z zewnątrz, a poza tym przez cały dzień ktoś się tam kręci, albo ja, albo Kaisa... To byłoby właściwie wszystko...

– A łazienka na górze?

– Racja. Tam dawno nie zaglądaliśmy. I jeszcze być może warto wpaść do maszynowni, tam rzadko zaglądam...

– Dawaj klucze – powiedziałem.

Wszystko dokładnie obejrzałem i przeszukałem. Obszedłem piwnicę, zajrzałem do łazienki, przeszukałem garaż, kotłownię, maszynownię, zbadałem nawet podziemny składzik paliwa i nigdzie nic nie znalazłem. Naturalnie nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdę, to byłoby zbyt proste, ale przekłeta urzędnicza skrupulatność nie pozwalała mi na zostawienie białych plam. Dwadzieścia lat nieskazitelnej służby to dwadzieścia lat nieskazitelnej służby. W oczach przełożonych, zresztą i w oczach podwładnych, zawsze lepiej wyglądać na pedantycznego bałwana niż na olśniewającego geniusza, który wszystko robi po łebkach. Więc pełzałem, łąziłem na czworakach, wdychałem kurz i inne paskudztwa, litowałem się nad sobą i przeklinałem swój kretyński los.

Kiedy zły, brudny wylazłem z podziemnego magazynu, już świtało. Księżyc zbiegał i skłaniał się ku zachodowi. Szare załomy skał zasnuła liliowa mgiełka. A jakie świeże było mroźne powietrze napełniające dolinę! Niech to wszystko szlag trafi!

Już prawie podchodziłem do domu, kiedy otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł właściciel hotelu.

– Aha – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – A ja właśnie idę po ciebie. Ten biedak obudził się i woła mamę.

– Idę – powiedziałem, otrzepując marynarkę.

– Mówiąc ściśle, nie o mamę mu chodzi – powiedział Alec. – Woła Olafa Andvaraforsa.

## Rozdział XII

Nieznajomy, kiedy mnie zobaczył, gwałtownie pochylił się do przodu i zapytał:

– Olaf Andvarafors?

Takiego pytania nie oczekiwałem. Doprawdy nie oczekiwałem. Poszukałem wzrokiem krzesła, przysunąłem je do łóżka, bez pośpiechu usiadłem i dopiero wtedy spojrzałem na nieznajomego. Kusilo mnie, aby odpowiedzieć twierdząco i zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale przecież nie jestem ani z kontrwywiadu, ani tajniakiem. Jestem uczciwym urzędnikiem policyjnym. Więc odpowiedziałem:

– Nie. Nie jestem Olaf. Jestem inspektorem i nazywam się Peter Glebsky.

– Tak? – zapytał nieznajomy ze zdziwieniem, ale bez cienia niepokoju. – Ale gdzie jest Olaf Andvarafors?

Już zupełnie przyszedł do siebie po wczorajszym. Jego chuda twarz poróżowiała, koniuszek długiego nosa, taki biały wczoraj, poczerwieniał. Nieznajomy siedział na łóżku, do pasa przykryty kołdrą. Nocna koszula Aleca wisiała na nim jak na wieszaku – w wycięciu kołnierza widać było kości obojczyka i białą bezwłosą skórę. Twarz nieznajomego również była pozbawiona zarostu – zaledwie kilka włosków tam, gdzie powinny być brwi, i rzadkie białe rzęsy. Siedział pochylony do przodu i machinalnie nawijał na lewą rękę pusty rękaw prawej.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem – ale na wstępie muszę panu zadać kilka pytań.

Na te słowa nieznajomy nie odpowiedział nic. Twarz jego przybrała dziwny wyraz, tak dziwny, że nie od razu zrozumiałem, na czym rzecz polega. A polegała na tym, że jedno oko nieznajomy skierował na mnie, drugie zaś postawił w ślup, tak że nie było widać źrenicy, tylko białko. Przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

– Tak więc – zacząłem – przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, kim pan jest i jak się pan nazywa.

– Loirevic – powiedział krótko. – Loirevic... A imię?

– Imię? Loirevic.

– Pan Loirevic Loirevic?

Znowu zamilkł. Walczyłem z niemiłym uczuciem, jakie ma się zawsze w czasie rozmowy z zezowatym człowiekiem.

– Mniej więcej tak – odparł wreszcie.

– W jakim sensie mniej więcej?

– Loirevic Loirevic.

– Dobrze. Przypuśćmy. Kim pan jest?

– Loirevic – powiedział. – Jestem Loirevic. – Zamilkł na chwilę. – Loirevic Loirevic. Loirevic L. Loirevic.

Wyglądał na absolutnie zdrowego i normalnego człowieka. I to właśnie było najbardziej zdumiewające. Zresztą nie jestem lekarzem.

– Chciałbym wiedzieć, jaki jest pański zawód?

– Mechanik – odpowiedział. – Mechanik kierowca.

– Kierowca czego? – zapytałem.

Teraz spojrzał na mnie obydwójmiem oczu. Wyraźnie nie rozumiał pytania.

– Dobrze, dajmy temu spokój – powiedziałem pospiesznie. – Jest pan cudzoziemcem?

– Bardzo – odpowiedział. – W dużym stopniu.

– Zapewne jest pan Szwedem?

– Zapewne. W dużym stopniu Szwedem.

Kpi sobie ze mnie czy co? – pomyślałem. Na to nie wygląda. Wygląda raczej na człowieka przypartego do muru.

– W jakim celu przyjechał pan tutaj? – zapytałem.

– Tu jest Olaf Andvarafors.

– Pan jechał do niego?

– Tak.

– Dostał się pan w lawinę?

– Tak.

– Jechał pan samochodem!

Zastanowił się.

– Maszyna – powiedział.

– Po co panu jest potrzebny Andvarafors?

– Mam do niego sprawę.

– Konkretnie jaką?

– Mam do niego sprawę – powtórzył. – Do niego.

Za moimi plecami skrzypnęły drzwi. Odwróciłem się. Na progu, trzymając przed sobą kubek, stał Moses.

– Tu nie wolno wchodzić – powiedziałem ostro.

Moses spod krzaczastych brwi wpatrywał się w nieznajomego. Na mnie nie zwrócił najmniejszej uwagi. Zerwałem się z krzesła i ruszyłem na Mosesa.

– Proszę natychmiast stąd wyjść, panie Moses.

– Niech pan nie krzyczy – nieoczekiwanie pokojowo zaproponował Moses. – Chyba wolno mi zainteresować się człowiekiem, którego umieściliście w moim pokoju?

– Nie teraz, później... – Powoli, ale stanowczo zacząłem przymykać drzwi.

– Proszę, proszę... – burczał wypychany na korytarz Moses. – Oczywiście mógłbym protestować...

Zamknąłem drzwi i ponownie zwróciłem się do Loirevica L. Loirevica.

– To był Olaf Andvarafors? – zapytał Loirevic.

– Nie – odparłem. – Olaf Andvarafors został dziś w nocy zamordowany.

– Zamordowany – powtórzył Loirevic. W jego głosie nie było żadnych emocji. Ani zdziwienia, ani lęku, ani smutku. Jakbym go właśnie zawiadomił, że Olaf wyszedł i za parę minut wróci. – Martwy? Olaf Andvarafors?

– Tak.

– Nie – powiedział Loirevic. – Pan niedokładnie wie.

– Wiem zupełnie dokładnie. Widziałem jego zwłoki. Na własne oczy.

– Chcę zobaczyć.

– Po co to panu? O ile dobrze zrozumiałem, nie zna go pan.

– Ja mam do niego sprawę.

– Ale przecież mówię panu, że Olafa zamordowano. Umarł. Zabili go.

Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie o walizce.

– Olaf miał coś panu przekazać?

– Nie – odpowiedział Loirevic obojętnie. – My musimy rozmawiać. Ja z nim.

– O czym?

– Ja z nim. Z nim.

– Proszę posłuchać, panie Loirevic – powiedziałem. – Olaf Andvarafors jest martwy. Zabito go. Prowadzę śledztwo. W sprawie morderstwa. Szukam mordercy, rozumie pan? Muszę jak najwięcej wiedzieć o Olafie. Proszę, żeby pan był ze mną szczery. Wcześniej czy później i tak będzie pan mi musiał wszystko opowiedzieć. Lepiej wcześniej niż później.

Loirevic nagle podciągnął koldrę aż po same uszy. Jego oczy znowu patrzyły w różne strony.

– Nic panu nie mogę powiedzieć – wymamrotał niewyraźnie poprzez koldrę.

– Dlaczego?

– Mogę powiedzieć tylko Olafowi.

– Skąd pan przyjechał? – zapytałem.

Milczał.

– Gdzie pan mieszka?

Milczenie. Ciche posapywanie. Jedno oko patrzy na mnie, drugie w sufit.

– Wykonuje pan czyjeś polecenie?

– Tak.

– Czyje?

– Po co pan chce to wiedzieć? – zapytał. – Mam sprawę nie do pana. Pan nie ma z nami żadnych spraw.

– Niechże pan zrozumie – powiedziałem z głębokim przekonaniem. – Jeżeli uda nam się

dowiedzieć czegokolwiek o Olafie, dowiemy się, kto jest mordercą. No dobrze. Pan, jak widzę, nie zna Olafa. Ale ci, którzy pana do niego posłali, mogą coś wiedzieć.

– Oni również nie znają Olafa – powiedział Loirevic.

– Jak to?

– Oni nie znają Olafa. Po co?

Potarłem dłonią zarośnięte policzki.

– To wszystko nie trzyma się kupy – powiedziałem ponuro. – Ludzie, którzy nie znają Olafa, posyłają pana, który również nie zna Olafa, z jakimś poleceniem do Olafa. Jak to być może?

– Może być. Jest.

– Kim są ci ludzie?

Milczenie.

– Gdzie się obecnie znajdują?

Milczenie.

– Panie Loirevic, pan może mieć poważne nieprzyjemności.

– Po co? – zapytał.

– Kiedy w grę wchodzi morderstwo, każdy lojalny obywatel jest zobowiązany do udzielania policji żądanych wyjaśnień – powiedziałem surowo. – Odmowa może być potraktowana jako współudział w przestępstwie.

Loirevic Loirevic nie reagował.

– Niewykluczone, że będę musiał pana aresztować – dodałem. To była bezprawna groźba i poprawiłem się pośpiesznie: – W każdym razie uparta odmowa współpracy może bardzo zaszkodzić panu w czasie procesu.

– Ja chcę włożyć ubranie – powiedział nagle Loirevic. – Ja nie chcę leżeć. Ja chcę zobaczyć Olafa Andvaraforsa.

– W jakim celu?

– Chcę go zobaczyć.

– Ale przecież pan go nie zna. Jego twarz nic panu nie powie.

– Ja nie chcę jego twarzy – powiedział Loirevic.

– Więc czego pan chce?

Loirevic wylaźł spod kołdry i znowu usiadł.

– Ja chcę widzieć Olafa Andvaraforsa! – powiedział bardzo głośno. Jego prawe oko drgnęło i obracało się dokoła. – Po co pytania? Po co pytania? Bardzo dużo pytań. Dlaczego nie widzę Olafa Andvaraforsa?

Ja też straciłem cierpliwość.

– Pan chce rozpoznać zwłoki? Czy dobrze pana zrozumiałem? – Rozpoznać... Poznać?

– Tak!

– Chcę. Chcę widzieć!

– Jak pan może go poznać, jeśli pan w życiu nie widział jego twarzy?

– Jaka twarz?! – krzyknął Loirevic. – Po co twarz? Ja chcę widzieć, że to nie jest Olaf Andvarafors, że to jest inny!

– Dlaczego pan myśli, że to ktoś inny? – zapytałem szybko.

– Dlaczego pan myśli, że to Olaf Andvarafors? – odparował.

Spojrzelismy sobie w oczy. Musiałem przyznać, że ten dziwny człowiek w pewnym sensie miał rację. Nie mógłbym stwierdzić pod przysięgą, że wiking, który leży na górze ze skręconym karkiem, to właśnie Olaf Andvarafors, którego szuka Loirevic L. Loirevic. To mógł być nie ten Olaf Andvarafors, i to w ogóle mógł nie być Olaf Andvarafors. Z drugiej strony, nie rozumiem, jaki może mieć sens pokazywanie trupa człowiekowi, który nie zna Olafa. Nie widział jego twarzy... Twarz... A rzeczywiście, czy koniecznie trzeba znać twarz? Może powinien był poznać Olafa po ubraniu, pierścieniu albo, powiedzmy, po tatuażu...

Zapukano do drzwi i głos Kaisy zapiszczała: „Ubranie, proszę...” Otworzyłem drzwi i wziąłem od Kaisy wysuszony i wyprasowany garnitur nieznajomego.

– Niech pan się ubiera – powiedziałem i położyłem ubranie na łóżku.

Potem stanąłem twarzą do okna i zacząłem patrzeć na zębatą skałę Poległego Alpinisty, rozjarzoną już blaskiem wschodzącego słońca, na bladą plamę księżyca, na czystą, ciemną granatowość nieba. Za moimi plecami coś szeleściło, syczało, nie wiedzieć czemu przesuwano krzesło, niewyraźnie mamrotano – chyba niełatwo ubierać się jedną ręką, a do tego z takim zezem. Dwukrotnie z trudem powstrzymałem się od zaofiarowania swojej pomocy. Potem Loirevic powiedział: „Już. Jestem ubrany”. Odwróciłem się. Osłupiałem. Ale natychmiast przypomniałem sobie, ile ten człowiek przeżył w nocy i przestałem się dziwić. Podeszedłem do niego, poprawiłem i zapiąłem mu kołnierzyk, rozpiąłem i zapiąłem równo guziki marynarki i podsunąłem nogą ranne pantofle właściciela hotelu. Kiedy robiłem to wszystko, Loirevic stał pokornie w miejscu, odstawiając na bok jedyną rękę. Pusty prawy rękaw wsadziłem mu do kieszeni. Loirevic z powątpiewaniem spojrzał na ranne pantofle i powiedział:

– To nie moje. U mnie nie tak.

– Pańskie buty jeszcze nie wyschły – powiedziałem. – Niech pan wkłada te i idziemy.

Można było pomyśleć, że ten człowiek nigdy w życiu nie miał do czynienia z kapciami. Dwukrotnie z rozmachu próbował trafić w nie stopą i dwukrotnie chybił, za każdym razem tracąc przy tym równowagę. W ogóle miał kłopoty z zachowaniem równowagi – widocznie w nocy musiał niezłe dostać w kość i jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie. Świetnie go rozumiałem – ze mną też już tak bywało...

Zapewne przez cały czas jakaś maszyna nieustannie pracowała w mojej podświadomości, dlatego że nagle olśniła mnie na sekundę dziwaczna myśl: a co, jeśli Olaf, to nie Olaf, a Hincus...

A Hincus, nie Hincus, tylko Olaf i wysłał telegram, żeby wezwać tego dziwnego człowieka. Ale od przestawienia nazwisk nic nie stało się bardziej jasne i wyrzuciłem tę myśl z głowy.

Ramię w ramię wyszliśmy do holu i ruszyliśmy na pierwsze piętro. Alec, wciąż jeszcze na posterunku, odprowadził nas zamyślonym spojrzeniem. Loirevic zaś nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi – skoncentrował się wyłącznie na stopniach schodów. Na wszelki wypadek podtrzymywałem go pod łokieć.

Przed drzwiami Olafa zatrzymaliśmy się. Starannie obejrzałem paski papieru – wszystko było w porządku. Wobec czego wydobyłem klucz i otworzyłem drzwi. Buchnął ostry, niemiły zapach – bardzo dziwny zapach, przypominający odór dezynfekcji. Przystanąłem na progu, zrobiło mi się nieswojo. Zresztą w pokoju nie zaszły żadne zmiany. Tylko twarz trupa jakby ściemniała, być może zawiniło tu oświetlenie, i sine plamy stały się prawie niewidoczne. Loirevic mocno trącił mnie gdzieś w okolice krzyża. Zrobiłem krok naprzód i usunąłem się na bok, żeby przepuścić jednorękiego do pokoju.

Można było pomyśleć, że to nie kierowca mechaniczny, tylko pracownik kostnicy. Z absolutnie obojętną twarzą stanął nad trupem, pochylił się nad nim, trzymając za plecami rękę. Ani lęku, ani obrzydzenia, ani szacunku – nic, tylko rzeczowe oględziny. I tym dziwniejsze wydały mi się jego słowa.

– Jestem zdumiony – powiedział doszczętnie bezbarwnym głosem. – To jest Olaf Andvarafors, rzeczywiście. Nie rozumiem.

– Jak go pan rozpoznał? – zapytałem natychmiast. Loirevic, nie wyprostowując się, odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Stał pochylony na rozstawionych nogach, patrzył na mnie z dołu do góry i milczał. Trwało to tak długo, że aż mi szyja zdrętwiała.

Jak on może wytrzymać w takiej pozycji? Pokręciło go, czy co?... Wreszcie Loirevic się odezwał:

– Przypomniałem sobie. Widziałem przedtem. Nie wiedziałem, że to Olaf Andvarafors.

– A gdzie go pan widział? – zapytałem.

– Tam. – Nie prostując się, machnął ręką gdzieś w stronę okna. – To nie jest najważniejsze.

Nagle stanął prosto i zakuśtykał po pokoju, śmiesznie kręcąc głową. Sprężyłem się jak do skoku, nie spuszczać z niego oczu. Loirevic wyraźnie czegoś szukał, ja zaś domyślałem się czego.

– Olaf Andvarafors umarł nie tu? – zapytał, stając przede mną.

– Dlaczego pan tak myśli? – zapytałem.

– Ja nie myślę. Ja zrobiłem pytanie.

– Pan szuka czegoś?

– Olaf Andvarafors miał przedmiot – powiedział Loirevic. – Gdzie?

– Szuka pan walizki? – zapytałem. – Pan po nią przyjechał?



- Gdzie ona? – powtórzył Loirevic.
- Walizka jest u mnie – powiedziałem.
- To dobrze – pochwalił. – Ja chcę ją tu. Przynieść.

Puściłem jego ton mimo uszu i powiedziałem:

- Mógłbym panu oddać walizkę, ale najpierw musi pan odpowiedzieć na moje pytania.
- Po co? – z nieopisanym zdumieniem zapytał Loirevic. – Po co znów pytania?

– A po to – tłumaczyłem cierpliwie – że może pan otrzymać walizkę tylko w tym wypadku, jeżeli z pańskich odpowiedzi wyniknie, że ma pan do niej prawo.

– Nie rozumiem – oświadczył.

– Nie wiem przecież – powiedziałem – czy to pańska walizka, czy nie. Jeżeli to pana walizka, jeśli Olaf przywiózł ją dla pana, niech pan to udowodni. Wtedy oddam ją panu.

Oczy jego się rozbiegły, a potem zbiegły u nasady nosa.

– Nie trzeba – powiedział. – Nie chcę. Zmęczyłem się. Chodźmy.

Nieco zaskoczony wyszedłem w ślad za nim z pokoju. Powietrze w korytarzu okazało się nad podziw świeże i czyste. Skąd u Olafa ten apteczny smród? Może tam coś się rozlało jeszcze przed morderstwem, tylko przy otwartym oknie niczego się nie czuło? Zamknąłem drzwi na klucz. Potem poszedłem do swego pokoju po klej i papier. Loirevic został na miejscu, pogrążony, jak się wydawało, w głębokiej zadumie.

– No i co? – zapytałem. – Będzie pan odpowiadał na moje pytania?

– Nie – odparł kategorycznie. – Nie chcę pytań. Chcę leżeć. Gdzie można leżeć?

– Niech pan wraca do swojego pokoju – powiedziałem obojętnie. Ogarnęła mnie apatia. Nagle straszliwie rozboleła mnie głowa. Pragnąłem się położyć, rozluźnić mięśnie, zamknąć oczy. Cała ta niepojęta, do niczego niepodobna, dziwaczna i bezsensowna sprawa jakby ucieleśniła się w bezsensownym, niepodobnym do nikogo, przedziwnym i niepojętym Loirevicu L. Loirevicu.

Zeszliśmy do holu. Loirevic pokuśtykał do pokoju, a ja usiadłem w fotelu, wyciągnąłem nogi przed siebie i nareszcie zamknąłem oczy. Gdzieś tam szumiało morze, grała głośna, niewyraźna muzyka, przyplływały i odpływały jakieś mgliste plamy. Czułem suchość w ustach, jakbym wiele godzin bez przerwy przeżuwał watę. Potem ktoś obwąchał mi ucho mokrym nosem i ciężka głowa Lelle'a przyjacielsko legła na moim kolanie.

### Rozdział XIII

Zapewne udało mi się podrzemać z piętnaście minut, na dłuższe spanie nie pozwolił mi Lelle. Oblizywał mi uszy, policzki, ciągnął za spodnie, trącał nosem, a w końcu leciutko ugryzł w rękę. W tym momencie nie wytrzymałem, zerwałem się z fotela gotów rozszarpać psa na drobne kawałki. Straszliwe przekleństwa przemieszane z błaganiem o litość kłębiły się w moim gardle, ale spojrzałem przypadkiem na stolik i zbaraniałem. Na lśniącym lakierowanym blacie stolika obok papierów i rachunków leżał olbrzymi czarny pistolet.

Było to parabellum z przedłużoną rękojeścią. Na stoliku zebrało się już trochę wody, grudki śniegu oblepiały pistolet i kiedy gapiłem się z otwartymi ustami, jedna grudka spadła z cyngla na blat. Rozejrzałem się. W holu było pusto, tylko Lelle stał obok stolika i przekrzywiwszy łeb, spoglądał na mnie poważnym, pytającym spojrzeniem. W kuchni dźwięczały garnki, dolatywał stamtąd zapach kawy i niezbyt głośny głos właściciela.

– To ty przyniosłeś? – zapytałem szeptem.

Lelle przechylił łeb w drugą stronę i w dalszym ciągu wpatrywał się we mnie. Łapy miał zaśnieżone, z kosmatego brzucha kapąło. Ostrożnie wziąłem do ręki pistolet.

To była prawdziwa gangsterska broń. Skuteczne rażenie – dwieście metrów, urządzenie do założenia celownika optycznego, zacisk na składaną kolbę, dźwigienka do przestawiania na ogień ciągły i inne luksusy... Lufa była zatkana śniegiem. Pistolet był zimny, ciężki, chropowata rękojeść dobrze leżała w dłoni. Nie wiedzieć czemu przypomniałem sobie, że nie zrewidowałem Hincusa. Zrewidowałem jego bagaż, przeszukałem jego futro, ale o nim samym zapomniałem. Prawdopodobnie dlatego, że uznałem go za ofiarę napaści.

Wyjąłem magazynek – był pełen. Odciągnąłem zamek, na stół wypadł nabój... I nagle zwróciłem uwagę na dziwny kolor pocisku. Nie był ani żółty, ani matowoszary jak zwykle. Lśnił jak niklowany, tyle że to nie był nikiel, raczej srebro. Nigdy w życiu nie widziałem takich kul i pospiesznie jeden za drugim zacząłem wyłuskiwać naboje z magazynka. Wszystkie były srebrne. Obliząłem wyschnięte wargi i znowu spojrzałem na psa.

– Gdzie to znalazłeś, stary? – zapytałem.

Lelle figlarnie potrząsnął łbem i jakoś bokiem podskoczył do drzwi.

– Jasne – powiedziałem. – Rozumiem. Poczekaj chwileczkę. Załadowałem naboje do magazynka, magazynek włożyłem do pistoletu i poszedłem do wyjścia, po drodze chowając parabellum do bocznej kieszeni. Od razu za drzwiami Lelle zeskoczył z werandy i zapadając się w śnieg, pobiegł wzdłuż frontowej ściany domu. Byłem niemal pewien, że zatrzyma się pod oknem Olafa, ale się nie zatrzymał. Obiegł dom, na sekundę zniknął mi z oczu, potem pojawił się znowu, niecierpliwie wyglądając zza węgła. Chwyciłem pierwsze z brzegu narty i pobiegłem za nim. Okrążyliśmy hotel, następnie Lelle popędził naprzód i stanął jakieś pięćdziesiąt metrów od

domu. Podjechałem do niego i rozejrzałem się. Wszystko wyglądało jakoś dziwnie. Widziałem dołek w śniegu – tam Lelle wykopał pistolet – widziałem ślady swoich nart, widziałem bruzdy, które przeskakując zasy, pozostawił pies, a poza tym śnieg wokół był nietknięty. To mogło oznaczać jedno – parabellum rzucono albo z drogi, albo z hotelu. I to był dobry rzut. Nie byłem pewien, czy potrafiłbym rzucić taki ciężki i nieporęczny przedmiot aż tak daleko. Potem zrozumiałem – pistolet rzucono z dachu. Odebrano go Hincusowi i wyrzucono możliwie jak najdalej. Niewykluczone zresztą, że to sam Hincus pozbył się pistoletu. Może bał się, że go ktoś nakryje z bronią. A być może zrobił to wcale nie Hincus, tylko ktoś inny... ale prawie na pewno rzucono go z dachu. Z drogi taki wynik mógłby osiągnąć tylko rekordzista w rzucie granatem, a z okna jakiegoś pokoju w ogóle nikt nie potrafiłby tego dokonać.

– No cóż, Lelle – powiedziałem do psa. – Zuch jesteś. A ja o sobie niestety nie mogę tego powiedzieć. Hincusa trzeba było mocniej przycisnąć, tak jak to potrafi mój przyjaciel Segut. Prawda? Na szczęście jeszcze nie jest za późno.

I nie czekając na odpowiedź Lelle'a, zawróciłem. Pies rozpryskując śnieg, zapadając się i powiewając uszami, biegł obok.

Miałem zamiar niezwłocznie iść do Hincusa, obudzić sukinsyna i wydusić z niego wszystko, nawet jeżeli będzie mi to groziło naganą z wpisaniem do akt personalnych. Teraz było dla mnie absolutnie jasne, że sprawy Olafa i Hincusa są ze sobą powiązane, i to ściśle, że Olaf i Hincus przyjechali do hotelu razem, bynajmniej nieprzypadkowo, że Hincus siedział na dachu uzbrojony w parabellum w jednym wyłącznie celu – aby trzymać pod obstrzałem dolinę i nie pozwolić komuś uciec z hotelu, że to on właśnie uprzedzał kogoś listem podpisanym „P” (tu wprawdzie coś pokręcił i kartka trafiła pod niewłaściwy adres, du Barnstockre jest poza wszelkimi podejrzeniami), że komuś okropnie przeszkadzał i zapewne przeszkadza nadal i niech ja skonam, jeżeli zaraz nie dowiem się komu i dlaczego. Wprawdzie ta wersja również zawierała masę sprzeczności. Jeżeli Hincus, założmy, stanowił osobistą ochronę Olafa i przeszkadzał mordercom, to dlaczego Hincusa potraktowano tak łagodnie? Dlaczego i jemu nie skręcono karku? Dlaczego jego przeciwnik posłużył się tak wyjątkowo humanitarnymi sposobami walki jak donos i spętanie? Zresztą to akurat nietrudno było wyjaśnić: Hincus był najwyraźniej człowiekiem wynajętym i nie chcieli sobie brudzić nim rąk. Tak! I trzeba dojść, do kogo on właściwie depešował. Przez cały czas umyka to mojej uwagi...

Alec zawołał mnie do bufetu i nie mówiąc ani słowa, podał mi kubek gorącej kawy i olbrzymią kanapkę z soczystą szynką. A więc właśnie to, czego mi było potrzeba. Póki gryzłem i łykałem, Cenevert uważnie obserwował mnie spod przymrużonych powiek i wreszcie zapytał:

– Coś nowego?

Skinąłem głową. Przełknąłem i odpowiedziałem:

– Tak. Pistolet. Tylko nie ja, a Lelle. A ja jestem idiotą.

– Hm... Tak. Lelle to mądry pies. A co to za pistolet?

– Bardzo interesujący – powiedziałem. – Dla fachowca... Ale, ale, czy słyszałeś kiedyś, żeby pistolet ładować srebrnymi kulami?

Przez jakiś czas właściciel milczał, wysuwając do przodu dolną szczękę.

– Ten twój pistolet jest nabity srebrnymi kulami? – zapytał powoli. Przytaknąłem. – T-tak, czytałem o tym... Broń ładuje się srebrną kulą, kiedy człowiek ma zamiar strzelać do upiora.

– Znowu zombizm-mombizm – burknąłem.

– Tak, znowu. Wilkołaka nie można zabić zwykłą kulą. Wilkołak... wampir... królewna żaba... Ja cię uprzedzałem, Peter! – Wzniósł ku górze gruby palec. – Już od dawna oczekuję czegoś w tym rodzaju. A teraz okazuje się, że nie tylko ja...

Skończyłem kanapkę i kawę. Nie mogłbym powiedzieć, że słowa Aleca całkowicie puściłem mimo uszu. Nie wiadomo dlaczego, tak się składało, że wersja właściciela – jedyna i obłądna – ciągle znajdowała nowe potwierdzenia, a wszystkie moje wersje – niezliczone i realistyczne – nie znajdowały... Wilkołaki, duchy, upiory... Całe nieszczęście polegało na tym, że uznając rację właściciela, musiałbym złożyć broń; jak powiedział pewien pisarz, zaświaty to domena kościoła, a nie policji...

– Dowiedziałeś się, do kogo należy pistolet? – zapytał Alec.

– Tak, mamy tu jednego specjalistę od wilkołaków, nazywa się Hincus – powiedziałem i wyszedłem.

W środku holu jakiś powykrzywiany i nienaturalny sterczał niby wierzba płacząca pan Loirevic L. Loirevic. Jednym okiem patrzył na mnie, drugim na schody. Marynarka leżała na nim zdumiewająco krzywo, spodnie opadały, pusty rękaw wisiał i wyglądał jakby go długo i starannie przeżuwała krowa. Kiwnąłem głową i chciałem przejść obok, ale Loirevic, szybko człapiąc, zagroził mi drogę.

– Jedna nieduża, ale ważna rozmowa – oznajmił.

– Jestem zajęty. Niech pan przyjdzie za pół godziny.

Loirevic złapał mnie za łokieć.

– Bardzo proszę wydzielić. Natychmiast!

– Nie rozumiem. Co wydzielić?

– Kilka minut. To bardzo ważne dla mnie.

– To ważne dla pana... – powtórzyłem, idąc w stronę schodów. – Jeżeli to jest ważne tylko dla pana, to dla mnie jest zupełnie nieważne.

Loirevic szedł za mną jak uwiązany, dziwacznie stawiając nogi – jedną noskiem na zewnątrz, drugą noskiem do środka.

– Dla pana też ważne – powiedział. – Pan będzie zadowolony. Pan dostanie wszystko upragnione.

Szliśmy już po schodach.

– A jaką właściwie ma pan do mnie sprawę? – zapytałem.

– To sprawa w sprawie walizki.

– Będzie pan odpowiadać na moje pytania?

– Zatrzymajmy się, żeby rozmawiać – poprosił. – Nogi nie chodzą mi dobrze.

– Za pół godziny – powiedziałem. – I proszę, niech mnie pan puści. Pan mi przeszkadza.

– Tak – zgodził się. – Przeszkadzam. Chcę przeszkadzać. Moja rozmowa jest pilna.

– Jaka tam pilna – powiedziałem. – Zdążymy. Za pół godziny. Albo lepiej za godzinę.

– Nie, nie, bardzo proszę, natychmiast. Dużo zależy. I to szybko. Ja – panu. Pan – mnie.

Koniec.

Byliśmy już na korytarzu pierwszego piętra i ogarnęła mnie litość.

– Dobrze, chodźmy do mnie. Tylko niech się pan streszcza.

– Tak, tak, to będzie szybko.

Zaprowadziłem Loirevica do siebie, przysiadłem na skraju zbezczeszczonego stołu i powiedziałem:

– Niech pan mówi.

Ale Loirevic nie zaczął od razu. Najpierw się rozejrzał, widocznie mając nadzieję, że walizka leży gdzieś tutaj, na widoku.

– Walizki tu nie ma – powiedziałem. – Niech się pan pospieszy.

– To ja usiądę – powiedział i usiadł w moim fotelu. – Walizka bardzo mi potrzebna. Co pan chce za?

– Nic nie chcę. Niech pan udowodni, że ma pan do niej prawo, że należy do pana. Loirevic L. Loirevic pokręcił głową i powiedział:

– Nie. Nie będę udowadniać. Walizka nie moja. Najpierw nic nie rozumiałem. Teraz długo myślałem i już rozumiem. Olaf ukradł walizkę. Mnie kazano znaleźć Olafa i powiedzieć: „Oddaj, coś zabrał. Komendant dwieście dwadzieścia cztery”. Ja nie wiem, co to znaczy. Nie wiedziałem, co on zabrał. A poza tym pan mówi ciągle – walizka. To mnie omyliło. Nie walizka. Futerał. W środku – aparat. Przedtem nie wiedziałem. Kiedy zobaczyłem Olafa, domyśliłem się. Teraz wiem – Olaf nie zabity. Olaf umarł. Od aparatu. Aparat bardzo niebezpieczny. Groźba dla wszystkich. Wszyscy będą jak Olaf albo może być wybuch. Wtedy wszyscy będą jeszcze gorzej. Pan rozumie, dlaczego trzeba szybko? Olaf – głupi, on umarł. My mądrzy, my nie umrzemy. Niech pan szybko daje walizkę.

To wszystko wytrajkotał swoim bezbarwnym głosem, patrząc na mnie po kolei to lewym, to prawym okiem i niemiłosiernie tłamsząc pusty rękaw. Twarz jego pozostawała nieruchoma, tylko od czasu do czasu wznosiły się i opadały rzadziutkie brwi. Patrzyłem na niego i myślałem, że jego manieri i gramatyka nie uległy zmianie, ale zapas słów przez ostatnie pół godziny znacznie

się zwiększył. Loirevic L. Loirevic stał się bardzo rozmowny.

– Kim pan jest? – zapytałem.

– Emigrant. Zagraniczny specjalista. Wgnaniec. Ofiara polityki.

Tak, rozgadał się Loirevic. I skąd mu się to wzięło?

– Emigrant z jakiego kraju? – zapytałem.

– Nie trzeba takich pytań. Nie mogę powiedzieć. Honor. Nie szkodzi waszemu krajowi.

– Ale powiedział mi pan, że jest Szwedem.

– Szwed? Nie mówiłem. Emigrant, polityczny wgnaniec.

– Przepraszam bardzo. Godzinę temu usłyszałem od pana, że jest pan Szwedem. I nawet w dużym stopniu Szwedem. A teraz pan się wypiera?

– Nie wiem... Nie pamiętam – wymamrotał. – Bardzo źle się czuję. Boję się. Walizka potrzebna bardzo szybko.

Im bardziej mnie poganiał, tym mniej byłem skłonny do pośpiechu. Wszystko było dla mnie jasne: Loirevic łągał, i to łągał wyjątkowo nieumiejętnie.

– Gdzie pan mieszka? – zapytałem.

– Nie mogę powiedzieć.

– Jak pan tu przyjechał?

– Samochód.

– Jakiej marki?

– Marki... Czarny, wielki.

– Nie zna pan marki swojego samochodu?

– Nie znam. Nie mój.

– Ale przecież pan jest mechanikiem – powiedziałem złośliwie. – Jaki z pana, u diabła, mechanik, i do tego jeszcze kierowca, jeżeli pan się nie zna na samochodach?

– Niech pan mi da walizkę, inaczej będzie nieszczęście.

– A co pan zrobi z tą walizką?

– Szybko odwiozę.

– Dokąd? Przecież lawina zaważyła drogę.

– To wszystko jedno. Zawiozę gdzieś daleko. Spróbuję rozbroić. Jeśli nie potrafię, ucieknę. Niech leży sama.

– Dobrze – powiedziałem i zeskoczyłem ze stołu. – Jedziemy.

– Jak?

– Moim samochodem. Mam dobry samochód. Moskwicz. Weźmiemy walizkę, zawieziemy gdzieś daleko i zobaczymy.

Loirevic nie ruszył się z miejsca.

– Z panem nie trzeba. Bardzo niebezpiecznie.

– To nic. Zaryzykuję.

Loirevic siedział nieruchomo i milczał.

– Dlaczego pan siedzi? – zapytałem. – Przecież grozi nam niebezpieczeństwo, trzeba szybko...

– Na nic – powiedział wreszcie. – Spróbujemy inaczej. Nie chce pan oddać walizki, niech pan mi ją sprzeda. Co?

– To znaczy? – zapytałem, znowu przysiadając na krawędzi stołu.

– Ja daję pieniądze, dużo pieniędzy. Pan nie jest w pracy, pan jest na urlopie. Pan znalazł walizkę, ja ją kupiłem. Koniec.

– No, a ile pan da? – zapytałem.

– Dużo. Ile pan chce. Tak.

Sięgnął za pazuchę i wyciągnął grubą paczkę banknotów. Takie paczki widziałem tylko raz – w Banku Państwowym, kiedy prowadziłem śledztwo w sprawie fałszerstwa.

– Ile tu jest? – zapytałem.

– Mało? To jeszcze mam.

Z bocznej kieszeni wyciągnął jeszcze jedną taką paczkę i też rzucił na stół przede mną.

– Ile tu jest? – zapytałem.

– Co za różnica? – zdziwił się Loirevic. – Wszystko pana.

– Zasadnicza różnica. Pan wie, ile tu jest pieniędzy?

Loirevic milczał, a jego oczy zbiegały się i rozbiegały.

– Tak. Nie wie pan. A skąd pan je ma?

– To moje.

– Niech pan nie będzie zabawny. Kto panu dał pieniądze? Przecież pan tu pojawił się bez grosza przy duszy. Moses, nikt inny. Tak?

– Nie chce pan pieniędzy?

– A więc tak – powiedziałem – te pieniądze konfiskuję, a pana pociągnę do odpowiedzialności za próbę przekupienia urzędnika państwowego. Wplątał się pan w bardzo nieprzyjemną historię, Loirevic. Pozostaje panu tylko jedno, szczerze wyznać prawdę. Kim pan jest?

– Pan wziął pieniądze? – zainteresował się Loirevic.

– Skonfiskowałem je.

– Skonfiskowałem... Dobrze – powiedział Loirevic. – A gdzie walizka?

– Pan nie rozumie, co to znaczy „skonfiskowałem”? – zapytałem. – Niech pan zapyta Mosesa... A więc kim pan jest?

Nie mówiąc ani słowa, Loirevic wstał i poszedł w stronę drzwi. Zgarnąłem pieniądze i ruszyłem w ślad za nim. Przemaszerowaliśmy korytarzem i zaczęliśmy schodzić na dół.

– Złe, że pan nie oddaje walizki – powiedział Loirevic. – To nie będzie dla pana dobre.

– Niech pan mi nie grozi – upomniałem go.

– Pan będzie przyczyną wielkiego nieszczęścia.

– Mam dosyć łgarstw – powiedziałem. – Nie chce pan mówić prawdy, to pańska prawa. Ale i tak wpadł pan jak śliwka w kompot, Loirevic, i do tego sypanął pan Mosesa... Teraz pan się łatwo nie wykręci... Z godziny na godzinę spodziewamy się policji, i tak czy inaczej będzie pan musiał powiedzieć prawdę. Stop! Nie tędy. Proszę iść za mną.

Złapałem go za pusty rękaw i zaprowadziłem do biura. Potem wezwałem właściciela hotelu i w jego obecności przeliczyłem pieniądze i spisałem protokół. Właściciel również przeliczył pieniądze – było ich ponad osiemdziesiąt tysięcy, cała moja pensja za dziesięć lat nieskazitelnej służby – i podpisał protokół. Przez ten czas Loirevic stał nieopodal, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę, jak człowiek, który chciałby odejść możliwie najszybciej.

– Niech pan podpisze – powiedziałem, wręczając mu pióro.

Loirevic wziął pióro, obejrzał je uważnie i ostrożnie położył na stole.

– Nie – powiedział. – Ja pójdę.

– Jak pan chce – odparłem. – Pańskiej sytuacji to nie zmienię.

Loirevic natychmiast odwrócił się i wyszedł, potrącając ramieniem futrynę. Popatrzyliśmy na siebie z Alekiem.

– Dlaczego próbował cię przekupić? – zapytał Alec. – I o co mu właściwie chodzi?

– O walizkę – powiedziałem.

– Jaką walizkę?

– Walizkę Olafa, która leży teraz w twoim sejfie. – Wyjąłem klucz i otworzyłem sejf. – Oto ona.

– Ta walizka jest warta osiemdziesiąt tysięcy? – zapytał Cenevert z szacunkiem.

– Zapewne warta jest znacznie więcej. To jakaś ciemna afera, Alec. – Włożyłem pieniądze do sejfu, zamknąłem na klucz ciężkie drzwiczki, a protokoły schowałem do kieszeni.

– Kto to właściwie jest ten Loirevic? – zapytał zamyślony gospodarz. – I skąd ma tyle pieniędzy?

– Loirevic nie miał ani grosza. Pieniądze musiał mu dać Moses, innej możliwości nie widzę.

Właściciel znowu uniósł do góry gruby palec, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Energicznie potarł masywny podbródek, zagrzmiał: „Kaisa!” i wyszedł. A ja zostałem. Siedziałem przy biurku i przypominałem sobie wszystko po kolei. Pedantycznie starałem się nie pominąć najmniejszego szczegółu, najbłahszego wydarzenia, którego byłem świadkiem w tym hotelu. Okazało się, że pamiętam dość dużo.

Pamiętałem na przykład, że przy pierwszym naszym spotkaniu Simonet był w szarym garniturze, a na wczorajszej wieczorynce w bordowym. I że w jego spinkach osadzone były żółte



kamyki. Pamiętałem, że kiedy Brune naciągała swojego wujka na papierosy, du Barnstockre zawsze wydobywał je zza prawego ucha. Pamiętałem, że Kaisa ma maleńkie czarne znamię na prawej stronie nosa, że du Barnstockre, operując widelcem, zawsze odstawia w bok mały palec; że klucz od mojego numeru jest bardzo podobny do klucza Olafa i jeszcze wiele podobnych idiotyzmów. W całej tej kupie śmieci znalazłem tylko dwie perły. Po pierwsze – przypomniałem sobie, jak przedwczoraj wieczorem Olaf cały w śniegu stał na środku holu z czarną walizką w rękę i rozglądał się dookoła, jakby oczekiwał, że ktoś mu wyjdzie na powitanie, i jak spojrzał nad moją głowę na portierę oddzielającą apartamenty Mosesów, i jak mi się wydało, że portierą zakołysał przeciąg. Po drugie – przypomniałem sobie, że kiedy staliśmy w kolejce przed drzwiami łazienki, zeszli z góry ramię przy ramieniu Olaf i Moses...

Wszystko to uporczywie naprowadzało mnie na myśl, że Olaf, Moses, a teraz i Loirevic – to jedna szajka, i to szajka, która nie bardzo chce, żeby ktoś cokolwiek zauważył. A jeżeli do tego wziąć pod uwagę, że znalazłem Mosesa w pokoju muzeum, który znajduje się w moim bezpośrednim sąsiedztwie, a w pięć minut później zobaczyłem na swoim zapaskudżonym stole list o gangsterze i maniak, i jeżeli wziąć pod uwagę i to również, że złoty zegarek Mosesa został podrzucony – bez najmniejszej wątpliwości podrzucony, a potem zabrany – do torby Hincusa... jeżeli nie pominąć faktu, że pani Moses była jedyną osobą (nie licząc, być może, Kaisy) nieobecną w tym właśnie czasie, kiedy Hincusa związano w supeł i wsadzono pod stół... jeżeli, powtarzam, wszystko to wziąć pod uwagę, to otrzymamy nadzwyczaj interesującą całość.

Do tej całości niezłe pasuje również oświadczenie Hincusa, że jedną z trzech toreb podróжных przekształcono w fałszywy bagaż, jak też i ta okoliczność, że pani Moses była jedynym człowiekiem, który widział twarz sobowtóra Hincusa.

Oczywiście pozostało mi jeszcze mnóstwo białych i całkowicie niezrozumiałych plam. Ale ostatecznie teraz przynajmniej jasny był układ sił – z jednej strony Hincus, zaś Mosesowie, Olaf i Loirevic – z drugiej. I w tej chwili przyszło mi do głowy, że niesłusznie trzymam Hincusa pod kluczem. Moses zapewne przypuszcza, że Hincus do tej pory siedzi pod stołem. Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy Hincus nagle zjawi się na śniadaniu w jadalni. O tym, kto i jak związał Hincusa, kto i jak zamordował Olafa postanowiłem na razie nie myśleć. Zgniotłem swoje notatki, wrzuciłem je do popielniczki i podпалиłem.

– Na śniadanie proszę... – zapiszczała gdzieś na górze Kaisa.

– Na śniadanie proszę...

## Rozdział XIV

Hincus nie spał. Stał na środku pokoju z opuszczonymi szelkami i wycierał twarz wielkim ręcznikiem.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jak się pan czuje?

Hincus czujnie spoglądał na mnie spode łba. Twarz miał nieco opuchniętą, ale poza tym wyglądał zupełnie przyzwoicie. Niczym nie przypominał tego zaszczutego szczura, którego widziałem przed paroma godzinami.

– Jako tako – burknął. – Dlaczego mnie tu zamknięto?

– Miał pan atak nerwowy – wyjaśniłem. Jego twarz wykrzywił grymas. – Nic strasznego. Właściciel hotelu zrobił panu zastrzyk i zamknął drzwi na klucz, żeby pana nikt nie niepokoił. Pójdzie pan na śniadanie?

– Pójdę – odpowiedział Hincus. – Zjem i spływam stąd do wszystkich diabłów. A zadatek odbiorę. Ładny wypoczynek w górach... – Zmiał i odrzucił ręcznik. – Jeszcze jeden taki wypoczynek, a wyląduję u czubków. Z gruźlicą czy bez... Nie wie pan, gdzie jest mój kozuch? I czapka...

– Pewnie na dachu – powiedziałem.

– Na dachu... – wymamrotał, zapinając szelki. – Na dachu...

– Tak – powiedziałem. – Miał pan pecha. Współczuję panu... No, ale jeszcze sobie o tym wszystkim porozmawiamy.

Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

– Nie mam o czym z panem gadać! – krzyknął ze złością Hincus.

W jadalni jeszcze nikogo nie było. Kaisa rozstawiała talerzyki z kanapkami. Przywitałem się z nią, zostałem uraczony serią min i chichotów i wybrałem sobie nowe miejsce – tyłem do bufetu a twarzą do drzwi, obok du Barnstockre'a. Ledwie usiadłem, jak wszedł Simonet – w grubym pstrokatym swetrze, świeżo wygolony, ale oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte.

– Uroczą noc, prawda, inspektorze? – powiedział. – Nawet pięciu godzin nie spałem. Zupełnie wysiadłem nerwowo. Przez cały czas mam wrażenie, że śmierdzi trupem. Taki apteczny zapach, jakby formalina... – Usiadł, wybrał sobie kanapkę, potem spojrzał na mnie: – Znalazł pan? – zapytał.

– Zależy co – odparłem.

– Aha – powiedział Simonet i niepewnie zarechotał. – Wygląda pan nie najlepiej.

– Każdy wygląda tak, jak na to zasługuje – odezwałem się i w tej samej sekundzie weszli du Bamstockre z bratanicą. Ci to byli świeżutcy jak ogóreczki. Wujaszek miał aster w butonierce, dostojne siwe kędziory wiły się wokół łysej głowy, a Brune była jak zwykle w ciemnych okularach i jak zwykle beczelnie zadzierała nosa. Wujaszek, zacierając ręce, ruszył na swoje

miejsce, wpatrując się we mnie pytającym wzrokiem.

– Dzień dobry, inspektorze – zaszemrał śpiewnie. – Cóż za straszliwa noc! Dzień dobry, panie Simonet. Nieprawdaż?

– Cześć – burknęło dziecię.

– Napiłbym się koniaku – powiedział Simonet tak jakoś tęsknie. – Ale chyba nie wypada. Co? A może wypada?

– Doprawdy, nie wiem – powiedział du Bamstockre. – Raczej bym nie ryzykował.

– A jak pan myśli, inspektorze? – zapytał Simonet.

Pokręciłem głową i łyknąłem kawy, którą postawiła przede mną Kaisa.

– Szkoda – powiedział Simonet. – Chętnie bym się napił.

– A jak tam nasze sprawy? – zapytał ciekawie du Bamstockre.

– Śledztwo jest na właściwym tropie – oznajmiłem. – Klucz do zagadki znajduje się w rękach policji. Mnóstwo kluczy. Cały pęczek.

Simonet znowu zachichotał i natychmiast spowaźniał.

– Jak sądzę, cały dzień przyjdzie nam spędzić w domu – powiedział du Bamstockre. – Wychodzić zapewne nie wolno...

– A to dlaczego? – zdziwiłem się. – Ile dusza zapragnie. Im więcej zapragnie, tym lepiej.

– Uciec i tak się nie da – dodał Simonet. – Wyjście zaważyła lawina. Ja oczywiście mógłbym uciec przez góry...

– Ale? – zapytałem.

– Po pierwsze, przez ten śnieg trudno dobrnąć do skał. A po drugie, co ja tam będę robić? Słuchajcie, panowie – zaproponował nagle. – Chodźcie, spacerujemy się, zobaczymy, co słyhać w Wilczej Gardzieli...

– Pan nie ma nic przeciwko temu, inspektorze? – zapytał du Barnstockre.

– Nie – odparłem. I wtedy właśnie weszli pan i pani Moses. Oni również byli jak ogóreczki. To znaczy madame była jak ogóreczek... jak brzoskwinia... jak jasne słończko. A jeśli chodzi o Mosesa... to ten stary grzyb pozostał oczywiście starym grzybem. Popijając z kubka, nie witając się z nikim, dotarł do swojego miejsca, klapnął na krzesło i surowo popatrzył na spoczywające przed nim kanapki.

– Dzień dobry! – kryształowym głosikiem powiedziała pani Moses.

Spojrzałem spod oka na Simoneta. Zezował na panią Moses. W jego oczach było jakieś niedowierzanie. Potem otrząsnął się spazmatycznie i schwycił filiżankę z kawą.

– Cudowny poranek – mówiła dalej pani Moses. – Tak słonecznie, tak ciepło. Biedny Olaf, już nie widzi tego poranka!

– Wszyscy tam będziemy – oświadczył nagle Moses ochrypłym głosem.

– Amen – zakończył uprzejmie du Barnstockre. Spojrzałem na Brane. Dziewczyna siedziała

nastroszona, z nosem w filizance. Drzwi znowu się otwarły i naszym oczom ukazał się Loirevic L. Loirevic w towarzystwie właściciela hotelu. Na twarzy Aleca zagościł żalobny uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział. – Państwo pozwolą, że im przedstawię pana Loirevica, który przybył do nas dzisiejszej nocy. Po drodze uległ wypadkowi. Nie odmówimy mu oczywiście gościnnego przyjęcia.

Sądząc po wyglądzie Loirevica L. Loirevica, wypadek, któremu uległ, musiał być potworny. Gościnność była mu niezmiernie potrzebna. Alec był zmuszony ująć go pod łokieć i dosłownie wepchnąć na moje dawne miejsce obok Simoneta.

– Jest nam bardzo przyjemnie, Loirevic! – wychrypiał pan Moses. – Tu są sami swoi, Loirevic, niech pan się czuje jak w domu.

– Tak – powiedział Loirevic, patrząc jednym okiem na mnie, a drugim na Simoneta. – Piękna pogoda. Zupełnie zima...

– To wszystko głupstwo, Loirevic – powiedział Moses. – Niech pan jak najmniej mówi i jak najwięcej je. Wygląda pan na niedożywionego... Simonet, niech pan przypomni, co tam było z tym maître d'hôtel? Zdaje się, że zjadł czyjś filet...

W tym momencie wreszcie pojawił się Hincus. Wszedł i od razu stanął jak wryty. Simonet znowu zaczął opowiadać swoją historię i dopóki wyjaśniał, że wyżej wymieniony maître d'hôtel nie jadł żadnego fileta, a wręcz przeciwnie, Hincus stał w progu, ja zaś obserwowałem go, starając się jednocześnie nie spuszczać z oka Mosesów. Patrzyłem i nic nie rozumiałem. Pani Moses spożywała sucharki ze śmietanką i z zachwytem słuchała smętnego figlarza. Pan Moses wprawdzie rzucił okiem na Hincusa, ale zrobił to z absolutną obojętnością i natychmiast powrócił do swojego kubka. Ale sam Hincus swojej twarzy opanować nie potrafił.

Najpierw wyglądał jak człowiek kompletnie zbaraniały, który właśnie dostał pałką przez łeb. Potem na jego twarzy pojawił się wyraz radości, opętańczej jakiejś radości, nawet uśmiechnął się zupełnie po dziecinnemu. A potem wykrzywił się, złowrogo wyszczerzając zęby, i ruszył naprzód, zaciskając pięści. Ale patrzył przez cały czas ku mojemu najwyższemu zdumieniu bynajmniej nie na Mosesów. Patrzył na du Barnstockre'a – z początku w absolutnym osłupieniu, potem z ulgą i radością, a następnie z nienawiścią i wściekłą satysfakcją. W tym momencie zauważył, że go obserwuję, rozluźnił mięśnie, pochylił głowę i poszedł na swoje miejsce:

– Jak się pan czuje, panie Hincus? – zyczliwie zainteresował się du Barnstockre, pochylając się ku niemu. – Tutejszy klimat...

Hincus podniósł na niego rozwścieczone żółte oczka.

– Ja to się czuję nieźle – odpowiedział, usadawiając się na krześle. – Ale ciekawe, jak pan się czuje?

Du Barnstockre zdumiony opadł na oparcie krzesła.

– Ja? Dziękuję panu. – Spojrzał najpierw na mnie, a potem na Brune. – Być może niechcący

uraziłem, dotknąłem... Jeśli tak, to proszę przyjąć moje...

– Numer nie przeszedł! – mówił dalej Hincus z furią, wpychając serwetkę pod szyję. – Klops. Prawda, stary?

Du Barnstockre był straszliwie zmieszany. Rozmowy przy stole umilkły, wszyscy patrzyli na niego i Hincusa.

– Doprawdy, obawiam się... – Stary prestidigitator wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. – Miałem na myśli wyłącznie pańskie samopoczucie i nic poza tym...

– Dobrze, dobrze, będzie się pan tłumaczył innym razem – odpowiedział Hincus. Ujął w obie ręce wielkiego sandwicza, bokiem wsadził go do ust, odgryzł kawałek i nie patrząc na nikogo, zaczął pracowicie poruszać szczękami.

– Jak ktoś jest chamem, to mordę na kłódkę! – odezwała się nagle Brune.

Hincus błyskawicznie podniósł na nią oczy i natychmiast odwrócił wzrok.

– Brune, dziecię moje... – powiedział du Barnstockre.

– R-rozbestwił się! – powiedziała Brune, postukując nożem w talerz. – Było mniej chlać...

– Proszę państwa, proszę państwa – uspokajał właściciel. – To przecież głupstwo!

– Niech pan się nie denerwuje, Cenevert – pośpiesznie odezwał się du Barnstockre. – To jakieś drobne nieporozumienie... Wszyscy są zdenerwowani... Taka noc...

– Zrozumiano? – groźnie zapytała Brune, kierując na Hincusa ciemne szkła swoich okularów.

– Proszę państwa! – zdecydowanie wmieszał się właściciel hotelu. – Proszę o chwilę uwagi! Nie będę mówić o tragicznych wydarzeniach ubiegłej nocy. Rozumiem, tak, wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Ale po pierwsze, śledztwo w sprawie śmierci nieszczęsnego Olafa Andvaraforsa znajduje się obecnie w niezawodnych rękach inspektora Glebsky'ego, a po drugie, nie powinna nas przesadnie niepokoić ta okoliczność, że jesteśmy chwilowo odcięci od cywilizowanego świata...

Hincus przestał żuć i podniósł głowę.

– Nasze piwnice są pełne, proszę państwa! – uroczyście zapewnił właściciel hotelu. – Wszystkie możliwe i nawet niektóre niemożliwe zapasy są do waszych usług. I przekonany jestem, że kiedy za kilka dni dotrze do nas brygada ratownicza, przedzierając się przez zwały lawiny, to...

– Jaka znowu brygada? – głucho zapytał Hincus. – Co się dzieje, u diabła?

– Ach, proszę mi wybaczyć – odparł Cenevert, przykładając dłoń do czoła. – Zupełnie zapomniałem, że niektórzy nasi goście... Chodzi o to, że wczoraj o godzinie dziesiątej wieczorem śnieżna lawina zawała Wilczą Gardziel i zerwała łączność telefoniczną...

Przy stole zapanowało milczenie. Wszyscy spożywali dary boże, patrząc w talerze. Hincus siedział nieruchomo, dolna warga mu opadła i znowu wyglądał jak człowiek, któremu nagle sufit

zawalił się na głowę. Loirevic L. Loirevic melancholijnie gryzł cytrynę, połykając japo kawałku razem ze skórą. Po jego wąskim podbródku ściekał na marynarkę żółty sok. Ścierpło mi w ustach, wypilem łyk kawy i oznajmiłem:

– Chciałbym oświadczyć wszystkim, co następuje: dwie niewielkie liczebnie bandy przestępców wybrały sobie ten hotel na miejsce porachunków. Ponieważ jestem tu nieoficjalnie, mogę podjąć tylko niektóre działania. Na przykład zebrać materiał dla oficjalnych przedstawicieli policji Muir. Ten materiał jest już w zasadzie zgromadzony, chociaż byłbym niezmiernie wdzięczny każdemu, kto poda nowe informacje. Następnie chciałbym zawiadomić wszystkich posłusznych prawu obywateli, że mogą się czuć całkowicie bezpieczni i zachowywać tak, jak mają ochotę. Jeśli zaś chodzi o członków wspomnianych band, proponuję im zaprzestanie wszelkiej działalności, aby nie pogarszali swego i tak beznadziejnego położenia. Przypominam, że nasze odcięcie od świata jest rzeczą względną. Niektórzy z tu obecnych wiedzą już, że dwie godziny temu, korzystając z uprzejmości pana Ceneverta, wysłałem gołębia pocztowego z meldunkiem do Muir. Teraz z godziny na godzinę spodziewam się policyjnego helikoptera i dlatego przypominam osobom zamieszkanym w przestępstwo, że odpowiednio wczesne przyznanie się do winy oraz szczerza skrucha mogą znacznie złagodzić karę. Dziękuję za uwagę.

– Jakie to ciekawe! – z entuzjazmem zawołała pani Moses. – To znaczy, że wśród nas są bandyci? Ach, inspektorze, niech pan powie choć słówko! My zrozumiemy!

Spojrzałem na Aleca. Stał odwrócony do nas szerokimi plecami i starannie wycierał kieliszki stojące na bufecie.

Rozmowa zamarła ostatecznie. Cichutko dźwięczały łyżeczki w szklankach, hałaśliwie sapał pan Moses nad swoim kubkiem, przewiercając każdego po kolei swoim spojrzeniem. Nikt się nie zdemaskował, ale wszyscy, którzy mieli powód, żeby zastanowić się nad swoim dalszym losem, niezawodnie zastanawiali się nad nim. Wpuściłem do tego kurnika krwiożerczą łasicę i teraz trzeba było czekać na dalsze wypadki.

Pierwszy wstał du Barnstockre.

– Panie i panowie! – powiedział. – Wzywam wszystkich lojalnych obywateli, żeby przypięli narty i wyruszyli na niewielką przechadzkę. Słońce, świeże powietrze i czyste sumienie niech będą dla nas oparciem i źródłem uspokojenia. Pójdźmy, Brune, dziecię moje.

Zaszurały krzesła, goście wstawali jeden za drugim. Simonet zaproponował ramię pani Moses – widocznie jego nocne wrażenia w znacznej mierze przybladły pod wpływem słonecznego poranka. Pan Moses wyciągnął z za stołu Loirevica L. Loirevica, postawił go na nogi, i ten, melancholijnie dojadając cytrynę, powłókł się za Mosesem.

Przy stole został tylko Hincus. Całą uwagę skupił na jedzeniu, jakby zamierzał najeść się na zapas. Kaisa zbierała naczynia, gospodarz jej pomagał.

– No i co, Hincus – odezwałem się. – Pogadamy?

– A niby o czym? – burknął ponuro, zjadając jajko z pieprzem.

– A o wszystkim – odpowiedziałem.

– Nie mamy o czym mówić – oświadczył Hincus posępnie. – Ja o tym nic nie wiem.

– O czym?

– O morderstwie! A o czym jeszcze?

– Jest jeszcze sprawa Hincusa – powiedziałem. – Skończyłeś jeść? No to idziemy. Do sali bilardowej. Teraz tam jest słońce i nikt nam nie przeszkodzi.

Nie odpowiedział nic. Skończył przeżuwać jajko, przełknął, wytarł usta serwetką i wstał.

– Alec – powiedziałem do właściciela hotelu. – Bądź tak dobry, – zejdź na dół i posiedź w holu, tam gdzie wczoraj. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odparł właściciel. – Bądź spokojny.

Pospiesznie wytarł ręce ręcznikiem i wyszedł. Otworzyłem drzwi do sali bilardowej i przepuściłem Hincusa przed sobą. Hincus, żując zapałkę, wszedł do środka i zatrzymał się na kwadratowych plamach słońca – ręce trzymał w kieszeniach. Wziąłem stojące pod ścianą krzesło, postawiłem na najostrzejszym słońcu i powiedziałem: „Proszę usiąść”. Po sekundzie wahania Hincus usiadł i od razu zmrużył oczy – słońce świeciło mu prosto w twarz.

– Policyjne sztuczki... – wymruczał z goryczą.

– Taką mamy służbę – powiedziałem i przysiadłem na krawędzi stołu bilardowego, w cieniu, naprzeciw Hincusa. – No, Hincus, co tam między wami zaszło? Z du Barnstockre'em?

– Jaki znowu Barnstockre? Co między nami może zająć? Nic nie zaszło. Ja go w ogóle nie znam.

– To nie do niego był ten list z pogrózkami?

– Żadnych listów nie pisałem. Ale skargę napiszę. Napiszę, jak się znęcają nad chorym człowiekiem...

– Niech pan posłucha, Hincus. Za godzinę, dwie przyleci policja. Przylecą eksperci. Pański list leży u mnie w kieszeni. Sprawdzić, kto go napisał, można w ciągu paru minut. Po co się pan wypiera?

Szybkim ruchem przerzucił żutą zapałkę z jednego kącika ust w drugi. W jadalni Kaisa dzwoniła talerzami, nucąc coś cienkim fałszywym głosikiem.

– Nic nie wiem o liście – powiedział wreszcie Hincus.

– Dosyć kłamstw, Puchacz! – ryknąłem. – Wiem o tobie wszystko. Wpadłeś, Puchacz! I jeżeli chcesz wykręcić się siedemdziesiątym drugim, to kapuj na punkt „c”. Szczere przyznanie się do winy przed rozpoczęciem oficjalnego śledztwa... No?

Hincus wypluł żutą zapałkę, pogrzebał w kieszeni, wyjął paczkę pomiętych papierosów. Następnie podniósł paczkę do ust, wyciągnął wargami jednego papierosa i popadł w zadumę.

– No? – powtórzyłem.

– Coś się panu pokręciło – odpowiedział Hincus. – Jakieś puchacze... Nie jestem Puchacz, tylko Hincus.

Zeskoczyłem ze stołu i podsunąłem mu pod nos pistolet.

– A to poznajesz? No? Twoja spluwa? Gadaj!

– Nic nie wiem – odparł posępnie. – Dlaczego pan się do mnie przyczepił?

Wróciłem na stół bilardowy, położyłem pistolet obok siebie na suknie i zapaliłem.

– Myśl, myśl – powiedziałem. – I to szybko myśl, bo będzie za późno. Twoi kumple nie zdążyli, bo akurat zeszła lawina. A policja będzie tu najwyżej za dwie godziny. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przez uchylone drzwi zajrzała Kaisa i zapiszczała:

– Czy podać coś? Pan życzy?

– Cóż sobie, idź, Kaisa – powiedziałem. – Nie jesteście nam potrzebna.

Hincus milczał, uporczywie szukając czegoś po kieszeniach, wreszcie znalazł pudełko zapalek i zapalił. Na jego twarzy pojawiły się krople potu. Słońce grzało.

– Trafiłeś jak kulą w płot, Puchacz – powiedziałem. – Pomyliłeś łaskę boską z jajecznicą. Dlaczego się przyczepiłeś do Barnstockre'a? Czy to jego kazano ci trzymać na muszce? Mosesa! Mosesa miałeś pilnować, jęłopie nieszczęsny! U mnie to byś nawet nie został stróżem nocnym, nie mówiąc już o takich zadaniach... I twoja banda jeszcze ci to przypomni. Tak że teraz, Puchacz...

Nie było mi dane dokończyć tych pouczeń. Siedziałem na skraju stołu bilardowego, zwiesiwszy jedną nogę, a drugą opierając o podłogę, jeszcze do tego, zdzięczniały idiota, paliłem papierosa i zadowolony z siebie obserwowałem smugi dymu w promieniach słońca. A Hincus siedział na krześle o dwa kroki przede mną... I nagle pochylił się do przodu, złapał mnie za zwisającą nogę, z całej siły szarpnął na siebie i ostro wykręcił. Nie doceniłem Hincusa, powiedzmy to sobie otwarcie, nie doceniłem. Zniosło mnie ze stołu bilardowego – i moimi wszystkimi dziewięćdziesięcioma kilogramami na płask, na mordę, brzuchem i kolanami rąbnąłem o podłogę.

Tego, co działo się dalej, mogę się tylko domyślać. Krótko mówiąc, mniej więcej po minucie ostatecznie przyszedłem do siebie i stwierdziłem, że siedzę na podłodze oparty o stół bilardowy, podbródek mam rozbity, dwa zęby się kiwają, oczy zalewa mi krew płynąca z czoła, a prawe ramię boli tak, że nie mogę wytrzymać. Nieopodał ponieważ się Hincus, zgięty we dwoje, zasłaniając rękami głowę, a nad nim, jak święty Jerzy nad powalonym smokiem, wznosił się uśmiechnięty bohaterki Simonet, trzymając w ręku kawałek najcięższego i największego bilardowego kija. Otarłem z czoła krew i wstałem. Chwiałem się na nogach. Miałem ochotę poleżeć w cieniu i o wszystkim zapomnieć. Simonet pochylił się, podniósł z podłogi pistolet i podał mi.



– Miał pan szczęście, inspektorze – powiedział, promieniejąc. – Jeszcze sekunda, a rozwaliliby panu głowę. Gdzie pan dostał? W ramię?

Skinąłem głowę. Dech mi zaparło, mówić nie mogłem.

– Niech pan poczeka – powiedział Simonet i wybiegł do jadalni, rzuciwszy resztę kija na stół bilardowy.

Obszedłem go dookoła i przysiadłem w cieniu tak, żeby widzieć Hincusa. Hincus ciągle jeszcze leżał nieruchomo. Ma krzepę, a przecież tak na oko nikt by za niego pięciu groszy nie dał... Tak, dżentelmeni, to prawdziwy gangster, wychowany w najlepszych tradycjach Chicago. I skąd oni się biorą w naszym spokojnym i przyzwoitym kraju? Pomyśleć tylko, Segut ma taką samą pensję jak ja, a jego przecież należałoby ozłocić! Wyjąłem z kieszeni chusteczkę do nosa i ostrożnie przyłożyłem do rany na czole.

Hincus jęknął, poruszył się i spróbował wstać. Ciągle jeszcze trzymał się za głowę. Simonet wrócił z karafką napełnioną wodą. Zabrałem karafkę, z trudem dowlokłem się do Hincusa i polałem mu twarz. Hincus zaryczał i oderwał jedną rękę od ciemienia. Fizjonomia jego znowu przybrała kolor zielonkawy, ale teraz można to było wyjaśnić racjonalnie. Simonet przykucnął obok Hincusa.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłem? – zapytał z troską.

– Nie ma powodu do niepokoju, stary, wszystko będzie w porządku... – Podniosłem rękę, żeby poklepać Simoneta po ramieniu i jęknąłem z bólu. – Zaraz się do niego zabiorę.

– Mam wyjść? – zapytał Simonet.

– O, nie, lepiej niech pan zostanie. Bo inaczej on jeszcze zabierze się do mnie. Niech pan przyniesie wody... na wypadek zemdlenia.

– I brandy! – z entuzjazmem zaproponował Simonet.

– Słusznie – powiedziałem. – Raz, dwa doprowadzimy pana Hincusa do stanu używalności. Tylko niech pan nikomu nie mówi, co się stało.

Simonet przyniósł wodę i butelkę koniaku. Rozwarłem Hincusowi zęby i wlałem do gardła pół szklanki. Następnie pół szklanki wypłem sam. Simonet, który zaopatrzył się w trzecią szklankę, wypił z nami dla towarzystwa. Potem przyciągnęliśmy Hincusa pod ścianę, oparliśmy go o nią plecami, znowu polałem go wodą z karafki i dwukrotnie uderzyłem po twarzy. Otworzył oczy i głośno zasapał.

– Jeszcze koniaku? – zapytałem.

– Tak – wydusił z siebie ochryple.

Dałem mu jeszcze koniaku. Oblizął wargi i zdecydowanym głosem zapytał:

– Zdaje się, że pan coś wspominał o siedemdziesiątym drugim „d”?

– To się jeszcze okaże – powiedziałem.

Hincus pokręcił głową i zmarszczył czoło.

– Nie, tak interesu nie zrobimy. Dożywocie i tak mam jak w banku.

– *Wanted and listed?* Listy gończe? – zapytałem.

– Jakby pan był przy tym. Teraz interesuje mnie tylko jedno, jak wykręcić się od krawata. Nawiasem mówiąc, są spore szanse. Z Olafem nie mam nic wspólnego, sam pan dobrze wie. W takim razie co zostaje? Nielegalne posiadanie broni? To przecież drobiazg, a do tego trzeba jeszcze udowodnić, że w ogóle miałem jakąś broń...

– A napad na inspektora policji?

– Przecież o tym właśnie mówię! – powiedział Hincus, ostrożnie obmacując czaszkę. – Według mnie żadnego napadu nie było, a było jedynie szczerze przyznanie się do winy przed rozpoczęciem oficjalnego śledztwa. A jakie jest pańskie zdanie na ten temat, szefie?

– Na razie jeszcze żadnego przyznania się do winy nie było – przypomniałem.

– Zaraz będzie – powiedział Hincus. – Ale obiecuje pan, szefie? W obecności tego fizyka-chemika? Siedemdziesiąty drugi „d”, obiecuje pan?

– Dobrze – powiedziałem. – Na początek założmy, że miała miejsce bijatyka na tle osobistym w stanie odurzenia alkoholowego. To znaczy ty byłeś w stanie odurzenia, a ja cię przywoływałem do porządku.

Simonet zarżał.

– A ja co? – zapytał.

– A pan mi pomagał... Dosyć, dosyć tej gadaniny. Opowiadaj, Puchacz. Ale pamiętaj, jeżeli choć słowo skłamię! Dwa zęby mi nadwerczyłeś, sukinsynu!

Tylko popatrzył na mnie swoimi żółtymi oczkami i zaczął mówić:

– Nadał mi tę robotę Champion. Słyszał pan o Championie? No myślę... A więc jakieś dwa miesiące temu gdzieś wykopał Champion takiego jednego. Gdzie, nie mam pojęcia, jakiego miał na niego haka, nie mam pojęcia, i prawdziwego nazwiska nie znam. U nas nazywał się Belzebub. Słusznie się nazywał, to straszny facet. Zrobił tylko dwa skoki, ale za to takie, że normalny człowiek w życiu nie dałby rady, i wszystko czysto, mucha nie siada. Zresztą na pewno pan wie. Drugi Bank Narodowy, pamięta pan tę sprawę? Albo powiedzmy ten skok na pociąg z transportem złota – to też pan pamięta, szefie... Może nie? Sprawców nie wykryliście, a ci, których przymknęliście, nie mają z tym nic wspólnego, sami tam u was dobrze wiecie. Belzebub te dwie sprawy załatwił cicho i czysto, aż tu nagle mu się odwidziało. Dlaczego – nie wiem, ale nasz Belzebub dał nogę. I nas puścili śladem, żeby go namierzyć, trzymać na muszce i zawiadomić Championa... Ja go właśnie znalazłem i ma pan moje szczerze przyznanie się do winy.

– Tak – powiedziałem. – No i kto tu jest Belzebubem?

– Tu dałem plamę, szefie, szkoda słów. Dopiero pan mi oczy otworzył, a ja celowałem na tego sztukmistrza, na Barnstockre'a. Po pierwsze, widzę sztuki magiczne i inne cuda. A po

drugie, pomyślałem tak: jeżeli Belzebub zechce kogoś udawać, to kogo? Ażeby nie leżać w oczy... Jasne – magika!

– Coś tu kręcisz – powiedziałem. – Sztuki zgoda. Ale przecież Barnstockre i Moses to niebo i ziemia. Jeden, chudy i wysoki, drugi, gruby i przysadzisty...

Hincus machnął ręką.

– Ja go już pod różnymi postaciami widywałem. Był i gruby, i cienki. Nikt nie wie, jak on wygląda naprawdę... Dobrze byłoby, gdyby pan to zrozumiał, szefie. Belzebub to nie jest zwykły człowiek. Czarownik i wilkołak. Ma władzę nad nieczystą siłą...

– Nie opowiadaj mi głodnych kawałów – powiedziałem ostrzegawczo.

– Jasne – zgodził się Hincus. – Jasne, że nikt nie uwierzy, kto sam nie widział... A na przykład ta jego baba, którą on ciąga ze sobą – kto to jest pańskim zdaniem, szefie? Ja przecież na własne oczy widziałem, jak ona wyrwała z betonu kasę pancerną i szła z nią po gzymisie. Pod pachą niosła tę kasę. Była wtedy szczupła i malutka, wypisz, wymaluj dziecko, podlotek, coś w rodzaju tej smarkuli Barnstockre'a... a łapska długości... dwa, co mówię ze trzy metry długości...

– Puchacz – powiedziałem surowo. – Dość tych bajek.

Hincus znowu machnął ręką, na chwilę jakby się zmartwił, ale zaraz znowu się ożywił.

– No dobrze – powiedział. – Niech będzie, że kłamię. Ale przed chwilą ja pana z przeproszeniem gołymi rękami położyłem, szefie, a przecież z pana kawał chłopca i coś niecoś pan potrafi... Więc niech pan sam pomyśli, kto mnie mógł tak załatwić, związać jak dziecko i wepchnąć pod stół?

– Kto? – zapytałem.

– Ona! Teraz już skapowałem, jak to wszystko było. On mnie poznał, zapamiętał. I kiedy zobaczył, że siedzę na dachu i żywego go z domu nie wypuszczę, nasłał na mnie tę swoją, tę... W mojej postaci nasłał... – W oczach Hincusa zamarł przeżyty koszmar. – Matko Najświętsza, siedzę tam, a ono stoi przede mną, to znaczy ja sam przed sobą stoję – goły, martwy, oczy wypłynięte. Jak ja tam nie zdechłem ze strachu, jak ja nie zwariowałem – nie mam pojęcia. Trzy razy traciłem przytomność... I co najgorsze, piję i upić się nie mogę, jakbym wódkę na ziemię wylewał... Coś podobnego, musiał zobaczyć, że w mojej głowie nie wszystko jest jak potrzeba, to u mnie dziedziczne, po tatusiu zostało. Bo jemu też zdarzało się, zwidywały się rozmaite rzeczy – a wtedy łapie za splewę i zaczyna strzelać... I pewnie Belzebub postanowił: albo mi w głowie pomieszać, albo nastraszyć do utraty przytomności, tak żebym zwiął, gdzie pieprz rośnie. A kiedy zobaczył, że nic z tego nie wychodzi, to trudno, nie miał rady, musiał siłą.

– A dlaczego cię zwyczajnie nie zakatrupił? – spytałem.

Hincus potrząsnął głową.

– Nie. Tego on zrobić nie może. Jeśli już mam powiedzieć prawdę, to dlaczego dał nogę?

Kiedy braliśmy wagon, sam pan wie, ochroną trzeba było sprzątnąć. Chłopcy przesadzili, a wyszło na to, że to Belzebub ma krew na rękach... Cała jego czarodziejska siła może przepaść, jeżeli człowiekowi odbierze życie. Tak nam Champion powiedział. O tym my wszyscy wiemy, a jakże... Czy ktoś by go ścigał, gdyby było inaczej? Broń Panie Boże!

– No, przypuśćmy – powiedziałem niezbyt pewnie. Znowu niczego nie rozumiałem.

Hincus jak sam się przyznał był niewątpliwie stuknięty. Ale w jego obłądnie była swoista logika. W ramach tego obłądzenia szczegóły pasowały do siebie i nawet srebrne kule miały swoje miejsce. I to wszystko, co było bardzo dziwne, przeplatało się z rzeczywistością. Sejf z Drugiego Narodowego istotnie zniknął w niezmiernie zagadkowy sposób, „rozpłynął się w powietrzu”, jak mówili, rozkładając ręce, eksperci, a jedyne ślady, które znaleziono w pomieszczeniu, były na gzymsie. A świadkowie napadu na pociąg pancerny jakby się umówili, uparcie stwierdzali pod przysięgą, jakoby wszystko zaczęło się od tego, że jakiś człowiek złapał pociąg za koła i przewrócił na bok... Diabli wiedzą, jak mam to wszystko rozumieć.

– No a srebrne kule? – zapytałem na wszelki wypadek. – Dlaczego pistolet był nabit srebrnymi kulami?

– Właśnie dlatego – pobłażliwie wyjaśnił Hincus. – Ołowiana kula wilkołaka nie ruszy. Champion od samego początku przygotował srebrne pestki, przygotował i pokazał Belzebubowi: przyjrzyj się dobrze, tu jest twoja śmierć, zapamiętaj sobie i nie podskakuj.

– A dlaczego oni zostali w hotelu? – zapytałem. – Ciebie wsadzili pod stół, a sami zostali...

– Tego to już nie wiem – przyznał Hincus. – Sam tego nie rozumiem. Kiedy rano zobaczyłem Barnstockre'a, to mnie zamurowało. Przecież myślałem, że po nich tu od dawna ani śladu nie zostało... Tfu, nie Barnstockre'a, oczywiście... Ale ja wtedy myślałem, że Barnstockre'a... Mówiąc krótko, Belzebub jest tutaj, a dlaczego tu został, tego panu nie powiem, bo nie wiem. Być może przez tę lawinę nie potrafi się przekopać... On przecież, choć i czarownik, ale jednak nie jest Panem Bogiem. Latać na przykład nie umie, to wiem na pewno. Przez ściany przechodzić też nie potrafi... Co prawda, jeżeli się zastanowić, to ta jego baba – czy kto ona tam jest – cały ten śnieg mogłaby rozgrzebać w try miga... Zamiast rąk przylepiłby jej koparkę i gotowe...

Odwróciłem się do Simoneta.

– No – powiedziałem. – A co ma na ten temat do powiedzenia nauka?

Twarz Simoneta zdumiała mnie. Fizyk był bardzo poważny.

– W rozważaniach pana Hincusa – powiedział – jest w każdym razie jeden bardzo ciekawy element. Jego Belzebub nie jest wszechmogący. Pan mnie rozumie, inspektorze? To bardzo ważne... I bardzo dziwne. Wydawałoby się, że w fantazjach tych ciemnych i prymitywnych ludzi nie powinno być żadnych ograniczeń i żadnych prawidłowości. A tymczasem są... A właściwie jak zabito Olafa?

– Tego nie wiem – kategorycznie oświadczył Hincus. – O Olafie nie mam zielonego pojęcia. Mówię jak na spowiedzi. – Przyłożył rękę do serca. – Mogę tylko powiedzieć, że Olaf nie jest od nas i jeżeli faktycznie wykończył go Belzebub, to nie rozumiem po co... Wtedy wychodzi na to, że Olaf nie jest człowiekiem, tylko jakieś paskudztwo w rodzaju samego Belzebuba... Przecież mówię, że Belzebubowi nie wolno zabić człowieka. Co to on – wróg samego siebie, czy co?

– Tak, tak – zgodził się Simonet. – A jednak w jaki sposób zamordowano Olafa, inspektorze?

Krótko zreferowałem fakty, opowiedziałem o zamkniętych od wewnątrz drzwiach, o skręconym karku, o plamach na twarzy, o aptecznym zapachu. Mówiąc, nie spuszczałem wzroku z Hincusa. Hincus słuchał, kulił się, oczy mu biegały i w końcu błagalnie poprosił o jeszcze jeden łyceczek. Było dla mnie oczywiste, że o wszystkim tym słyszy po raz pierwszy i że go to straszliwie przeraża. A Simonet niezmiernie się zasępił. Jego spojrzenie stało się nieobecne, grymas obnażył żółtawe, wielkie jak łopaty zęby. Wysłuchawszy do końca, cicho zaklął. Więcej nie odezwał się ani słowem. Myślał.

Golnąłem koniaku i poczęstowałem Hincusa – obaj czuliśmy się raczej kiepsko. Nie wiem jak ja, ale Hincus był zupełnie zielony i od czasu do czasu ostrożnie obmacywał głowę. Pozwoliłem fizykowi rozmyślać dalej i ponownie zabrałem się do Hincusa.

– A jak wysledziłeś Belzebuba, Puchacz? Przecież nie wiedziałeś z góry, jak będzie wyglądał?

Mimo że był nadal zielony, Hincus uśmiechnął się zrozumiale.

– Co nieco się potrafi – powiedział. – Nie gorzej niż wasi ludzie, szefie. Po pierwsze, Belzebub wszędzie taszczy ze sobą swój okuty kufer. Drugiego takiego nie ma na świecie. Dalej wszystko było proste. Wypytywałem, dokąd ten kufer pojechał. Po drugie, Belzebub rzuca forszą na prawo i lewo. Gdziekolwiek przyjeżdża, ludzie tylko o nim gadają... No i wysledziłem go. Co jak co, ale... na swojej robocie to ja się znam! No a to, że z Barnstockre'em dałem plamę, nic dodać, nic ująć, zamydlił mi stary oczy, żeby go szlag trafił. Te jego przeklęte landryniki... I jeszcze wchodzę do holu, siedzi tam sam jeden, myśli, że nikt go nie widzi, w rękach trzyma drewnianą lalkę. I co on z tą lalką wyprawiał, Boże kochany! Tak, nie ma co gadać, strzeliłem kulą w płot...

– No a po trzecie, zawsze jest przy nim ta kobieta – powiedziałem w zamyśleniu.

– Nie – odparł Hincus. – Kobieta, szefie, wcale niekoniecznie. Wcale nie zawsze jest z nim. Dopiero kiedy trzeba iść na robotę, on ją skądś wyciąga... Zresztą to w ogóle nie jest żadna kobieta, tylko też coś w rodzaju wilkołaka. Gdzie się ona podziewa, kiedy jej nie ma – tego nikt nie wie.

Nagle złapałem się na tym, że ja, solidny i doświadczony policjant, siedzę tu i z całkowitą powagą omawiam z obłąkanym bandytą rozmaite brednie o wilkołakach, czarownikach i czartach. Niepewnie spojrziałem na Simoneta i nieoczekiwanie stwierdziłem, że fizyk zniknął,

a zamiast niego w drzwiach stoi oparty o framugę właściciel hotelu z winchesterem pod pachą. Od razu przypomniałem sobie wszystkie jego aluzje, wszystkie jego bajdy o zombi i jego gruby wskazujący palec wykonujący znaczące gesty. Zawstydziłem się jeszcze bardziej, zapaliłem papierosa i z udaną surowością powiedziałem:

– Tak. Wystarczy. Czy widziałeś już kiedyś tego jednorękiego?

– Jakiego jednorękiego?

– Siedziałeś obok niego przy stole.

– A, tego, który żarł cytryny... Nie, nigdy. A bo co?

– Nic – odpowiedziałem. – Kiedy miał przyjechać Champion?

– Czekałem wczoraj wieczorem... Nie przyjechał. Teraz rozumiem... Lawina...

– No a na co liczyłeś, durniu, kiedy rzuciłeś się na mnie?

– A co miałem robić? – zapytał Hincus smętnie. – Niech pan sam pomyśli, szefie. Miałem czekać na policję? Jestem znanym człowiekiem, dożywocie mam zapewnione. No to zdecydowałem, że rozbiję pana, załatwię kogo trzeba, a sam ucieknę do wąwozu... Albo sam sobie jakoś poradzę, albo Champion mnie zabierze. Przecież Champion też teraz nie śpi, szefie. Nie tylko policja ma samoloty...

– Ilu ludzi ma przyjechać z Championem?

– Nie wiem. Co najmniej trzech. Jasne, że wybrał najlepszych.

– No dobra, wstawaj – powiedziałem i nie bez trudu wstałem sam. – Idziemy, muszę cię zamknąć.

Hincus, sapiąc i stękając, podniósł się z podłogi. Razem z Alekiem sprowadziliśmy go na dół kuchennymi schodami, żeby nikogo nie spotkać po drodze. Ale w kuchni wpadliśmy na Kaisę, która na mój widok z piskiem schowała się za kuchnię.

– Cicho, idiotko! – surowo powiedział właściciel. – Przygotuj gorącą wodę, jodynę, bandażę... Tutaj, Peter, wsadzimy go do piwnicy.

Obejrzałem piwnicę i spodobała mi się. Drzwi zamykały się z zewnątrz na kłódkę, były mocne i solidne. Innych drzwi ani nawet okien w piwnicy nie było.

– Będziesz tu siedział – powiedziałem Hincusowi na pożegnanie – aż przyleci policja. I nie próbuj żadnych numerów, zastrzelę na miejscu.

– No tak! – zaskomlał Hincus. – Puchacza pod klucz, a tamten chodzi sobie na wolności, po nim wszystko jak po gęsi woda... To niesprawiedliwie, szefie, jak Boga jedynego... I ranny jestem, i głowa mnie boli...

Nie zamierzałem z nim gadać, zamknąłem drzwi i klucz wsadziłem do kieszeni. W mojej kieszeni zgromadziła się nieprzebrana mnogość kluczy. Jeszcze parę godzin, pomyślałem, i wszystkie klucze, jakie tylko są w tym hotelu, będę nosił przy sobie.

Potem przenieśliśmy się do biura. Kaisa przyniosła wodę i bandażę, a Alec zabrał się do

opatrywania moich ran.

– Jaka broń jest w hotelu?

– Winchester, dwie dubeltówki, pistolet...

– Tak – powiedziałem. – Ciężka sprawa.

Dubeltówki przeciwko karabinom maszynowym. Du Barnstockre przeciwko najemnym mordercom. Zresztą gangsterzy nie będą się wdawać w strzelaninę. O ile znam Championa, rzuci z helikoptera jakieś zapalające paskudztwo i wytłucze wszystkich na śniegu jak kuropatwy...

– Kiedy byłeś na górze – oznajmił właściciel, wprawnie bandażując moje czoło – odwiedził mnie Moses. Położył na biurku worek z pieniędzmi, dosłownie worek, nic nie przesadzam, Peter, i zażądał, żebym natychmiast, przy nim, schował ten worek do sejf. On, proszę cię, uważa, że w obecnej sytuacji jego majątek znajduje się w niebezpieczeństwie.

– A ty?

– A ja strzeliłem byka – przyznał Alec. – Nie zastanowiłem się i palnąłem, że klucz od sejf. jest u ciebie.

– Dziękuję, Alec – powiedziałem gorzko. – Teraz zaczniesz się polowanie na inspektora policji...

Zamilkliśmy. Cenevert owijał mnie bandażami, okropnie bolało, aż mdliło z bólu. Prawdopodobnie ten bandyta jednak złamał mi obojczyk. Radio chrypiało i trzeszczało, nadawali lokalne wiadomości. O lawinie w Wilczej Gardzieli nie powiedzieli ani słowa. Potem gospodarz odstąpił ode mnie na krok i krytycznie obejrzał swoje dzieło.

– No, teraz to wygląda mniej więcej przyzwoicie – oświadczył.

– Dziękuję – powiedziałem.

Zabrał miednicę i rzeczowo zapytał:

– Kogo ci przysłać?

– Niech to wszystko diabli wezmą – powiedziałem. – Chcę spać. Weź winchester, usiądź w holu i strzelaj do każdego, kto zbliży się do tych drzwi. Muszę pospać choćby godzinę, inaczej zaraz się przewrócę. Przeklęte wilkołaki.

– Nie mam srebrnych kul – łagodnie przypomniał Alec.

– Strzelaj ołowianymi i niech cię piekło pochłonie! I przestań mnie wreszcie zatruwać swoimi przesadami! Ta banda wodzi mnie za nos, a ty im pomagasz... Czy w tych oknach są okiennice?

Właściciel odstawił miednicę, w milczeniu podszedł do okna i opuścił żelazną żaluzję.

– Tak – powiedziałem. – Dobrze... Nie, nie trzeba zapalać światła... I jeszcze jedno, Alec. Poślij kogoś... Simoneta albo tę małą Brune... niech obserwują niebo. Wytlumacz im, że to sprawa życia i śmierci. Jak tylko zobaczą jakiś samolot, niech podnoszą alarm...

Właściciel skinął głową, podniósł miskę i poszedł do drzwi. Na progu przystanął.

– Chcesz mojej rady, Peter? – zapytał. – Ostatniej rady?

– No?

– Oddaj im tę walizkę i niech się wynoszą razem z nią do piekła, które ich zrodziło. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że jedyne, co ich tu trzyma, to ta walizka...

– Rozumiem – powiedziałem. – Co jak co, ale to rozumiem. I właśnie dlatego będę spać tu na krzesłach z głową opartą o twój przekłety sejf i srebrną kulą rozwałę łeb każdego sukinsyna, który spróbuje odebrać mi walizkę. Jeśli zobaczysz Moseśa, możesz mu to powiedzieć, nie licząc się specjalnie ze słowami. Możesz go zawiadomić, że na zawodach strzeleckich brałem nagrody, strzelając z pistoletu. Skończyłem. Idź i zostaw mnie w spokoju.



## Rozdział XV

Zapewne było to służbowe przestępstwo. Znikąd nie mogłem się spodziewać pomocy, gangsterzy zaś mogli przylecieć lada chwila. Mogłem liczyć tylko na to, że Champion nie ma teraz głowy do Belzebuba. Kiedy wczoraj wieczorem dotarł do zasypanego wąwozu, mógł w pośpiechu narobić głupstw – na przykład próbować porwać helikopter na lotnisku w Muir. Wiedziałem, że policja od dawna ma na oku tego bandytę, szczególnie po zeszłorocznej próbie majowego puczu, i moje nadzieje nie były tak zupełnie bezpodstawne. A poza tym naprawdę nie mogłem już się utrzymać na nogach. Przeklęty Puchacz ostatecznie mnie wykończył. Rozłożyłem pod sejfem gazety i jakieś sprawozdania, do drzwi przysunąłem biurko, a sam położyłem się z pistoletem pod bokiem. Zasnąłem błyskawicznie, a kiedy się obudziłem, było już po dwunastej.

Ktoś cicho, ale uporczywie pukał do drzwi.

– Kto tam? – ryknąłem, pośpiesznie szukając dłonią kolby pistoletu.

– To ja – odpowiedział głos Simoneta. – Niech pan otworzy inspektorze!

– Samolot?

– Nie. Ale musimy porozmawiać. Niech pan mnie wpuści. Nie czas teraz na spanie.

Miał rację. Zgrzytając zębami z bólu, podniosłem się najpierw na czworaki, a potem chwytając się sejfu, na nogi. Ramię bolało straszliwie. Bandaż spadł mi na oczy, podbródek spuchł. Zapaliłem światło, odciągnąłem biurko spod drzwi i przekręciłem klucz. Następnie trzymając pistolet w pogotowiu, odsunąłem się na bok.

Simonet był zdumiewająco uroczy, chociaż czuło się, że jest wewnętrznie wzburzony.

– Oho! – powiedział. – Siedzi pan tu jak w twierdzy. I do tego zupełnie niepotrzebnie, nikt nie zamierza napadać na pana.

– Wcale nie jestem tego taki pewien – odparłem ponuro.

– Tak, pan rzeczywiście nic nie wie – powiedział Simonet. – Kiedy pan spał, inspektorze, zrobiłem za pana całą robotę.

– Naprawdę? – zapytałem jadowicie. – Czyżby Moses był już w kajdankach, a jego współniczka w więzieniu?

Simonet się zachmurzył. Gdzie się podział posepny figlarz, co to jeszcze wczoraj beztrąsko biegał po ścianach?

– To wcale nie jest konieczne – powiedział. – Wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, niż pan przypuszcza.

– Tylko proszę mi nie opowiadać o wilkołakach – poprosiłem, siadając okrakiem na krześle obok sejfu.

Simonet się uśmiechnął.

– Żadnych wilkołaków. Żadnej mistyki. Jedynie i wyłącznie naukowa fantastyka. Moses nie

jest człowiekiem. Co do tego nasz Cenevert miał rację. Moses i Loirevic nie są ludźmi ani Ziemianami.

– Przybyli do nas z Wenus – powiedziałem ze zrozumieniem.

– Tego nie wiem. Może z Wenus, może z innego układu słonecznego, może z sąsiadującej z naszą przestrzenią... Tego mi nie powiedzieli. Ważne jest, że to nie ludzie. Moses przebywa na Ziemi od dawna, ponad rok. Mniej więcej półtora miesiąca temu dostał się w łapy gangsterów. Bandyści szantażowali go, nieustannie trzymali na muszce. Z trudem udało mu się wyrwać i uciec tutaj. Loirevic to ktoś w rodzaju pilota, zarządza przerzutami. Stąd – tam. Powinni byli odlecieć wczoraj o północy. Ale o dziesiątej wieczorem zdarzyła się jakaś awaria, coś im wybuchło w aparaturze. W rezultacie – lawina. I Loirevic musiał maszerować na piechotę... Trzeba im pomóc, inspektorze. To po prostu nasz obowiązek. Jeśli gangsterzy zdążą tu przed policją, to ich zabiją.

– I nas też – powiedziałem.

– Być może – zgodził się Simonet. – Ale to nasze ziemskie sprawy. A jeśli dopuścimy do zamordowania przybyszów z innych planet, to będzie hańba.

Patrzyłem na niego i myślałem z rozpaczą, że trochę zbyt wielu wariatów jest w tym hotelu. Oto jeszcze jeden, który dostał kota.

– Krótko mówiąc, czego pan chce ode mnie?

– Niech pan im odda akumulator – powiedział Simonet.

– Jaki akumulator?

– Akumulator jest w walizce. Energia dla obu robotów. Olaf nie jest zabity. Olaf nigdy nie był żywy. To robot. I pani Moses również. To są roboty i żeby mogły funkcjonować, potrzebna im jest energia. Wybuch zniszczył stację energetyczną. Nastąpiła przerwa w dopływie energii i wszystkie ich roboty w promieniu stu kilometrów okazały się, jeśli można tak powiedzieć, odłączone. Niektóre prawdopodobnie zdołały się podłączyć do przenośnych akumulatorów. Panią Moses podłączył sam Moses... a mnie, jak pan może pamiętać, wydało się, że ona nie żyje. A Olaf nie wiadomo dlaczego nie zdążył się podłączyć...

– Aha – powiedziałem. – Nie zdążył się podłączyć, upadł, i to tak zręcznie, że skręcił sobie kark. O sto osiemdziesiąt stopni.

– Zupełnie niepotrzebnie pan ironizuje – powiedział Simonet. – To są quasi-agonalne objawy. Wykręcają się stawy, niesymetrycznie kurczą się pseudomięśnie... Nie zdążyłem panu wtedy powiedzieć, pani Moses miała również przekreśloną głowę.

– Dobra – powiedziałem. – Quasi – mięśnie, pseudościęgna... Przecież nie jest pan dzieckiem, Simonet, gdyby sięgnąć do arsenału mistyki i fantastyki, to można wytłumaczyć każde przestępstwo i tłumaczenie zawsze będzie logiczne. Ale rozumni ludzie w taką logikę nie uwierzą.

– Oczekiwałem czegoś takiego, inspektorze – powiedział Simonet. – Wszystko to bardzo łatwo można sprawdzić. Niech pan im odda akumulatory, a oni w pańskiej obecności znowu włączą Olafa. Przecież chce pan chyba, żeby Olaf był znowu żywy.

– Nic z tego – powiedziałem z miejsca.

– Dlaczego? Pan nie wierzy, więc proponuję eksperyment. O co chodzi?

Złapałem się za swoją biedną zabandażowaną głowę. Faktycznie, o co chodzi? Po co w ogóle słucham tego gaduły? Dać mu do ręki karabin i pogonić na dach, tam jest miejsce lojalnego obywatela, zobowiązanego do pomagania prawu. A Mosesów zamknąć w piwnicy. Razem z Loirevikiem. Piwnica jest wybetonowana, wytrzyma bezpośrednie trafienie. I Barnstockre'a, i Brune, i Kaisę do piwnicy. Będziemy się bronić. A w najgorszym razie ja tych Mosesów gangsterom oddam. Z Championem lepiej nie zadzierać. Daj Boże, żeby się zgodził na rokowania...

– No, dlaczego pan milczy? – zapytał Simonet. – Nie ma pan nic do powiedzenia?

Miałem jednak coś do powiedzenia.

– Nie jestem uczonym – odparłem powoli. – Jestem urzędnikiem policyjnym. Zbyt wiele kłamstw nagromadziło się wokół tej jednej walizki... Chwileczkę, proszę mi nie przerywać. Ja panu nie przerywałem. Słuchałem pana, i to nawet z zainteresowaniem. Jestem gotów w to wszystko uwierzyć. Proszę bardzo. Powiedzmy, że Olaf i ta baba to roboty. Tym gorzej. Taka straszliwa broń w rękach gangsterów, dziękuję uprzejmie. Gdybym mógł, wyłączyłbym z przyjemnością również i panią Moses. A pan proponuje mnie, policjantowi, żebym oddał gangsterom narzędzia ich zbrodni! Czy dociera to do pana?

Simonet z zakłopotaniem poklepał się po ciemieniu.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Jeśli przylecą gangsterzy, koniec z nami wszystkimi. Przecież tego gołębia pocztowego to pan zwyczajnie wymyślił. Na policję nie mamy co liczyć, prawda? A jeżeli pomożemy w ucieczce Mosesowi i jednorękiemu, będziemy mieli chociaż czyste sumienie.

– To pan będzie miał czyste sumienie – odparłem. – A moje będzie zabrudzone do końca życia. Policjant własnoręcznie pomaga w ucieczce bandytom...

– To nie bandyci! – powiedział Simonet.

– To gorzej niż bandyci! – powiedziałem. – To najprawdziwsi gangsterzy. Słyszał pan zeznania Hincusa. Moses należał do bandy Championa. Zorganizował kilka zuchwałych napadów, które przyniosły państwu i prywatnym ludziom ogromne straty. Jeśli chce pan wiedzieć, Moses powinien dostać co najmniej dwadzieścia pięć lat katorgi, a ja mam obowiązek zrobić wszystko, żeby tak się stało.

– Do diabła – powiedział Simonet. – Czy pan nic nie rozumie? Jego w to wplątali! Szantażem wciągnęli do bandy! Nie miał wyjścia!

– Tym zajmie się sąd – powiedziałem zimno.

Simonet rozparł się w fotelu i spojrział na mnie spod przymrużonych powiek.

– A jednak jest pan zakamieniałym tępakiem, inspektorze Glebsky – powiedział. – Tego się nie spodziewałem.

– Niech pan się zamknie – powiedziałem. – Niech pan wraca do swoich spraw. Co tam ma pan w planie? Pozytywne emocje?

Simonet przygryzł wargi.

– Oto nasz pierwszy kontakt – wymamrotał. – Oto spotkanie dwu cywilizacji.

– Niech pan mi nie robi wody z mózgu, Simonet – powiedziałem ze złością. – I niech się pan wynosi. Znudził mnie pan.

Simonet wstał i poszedł do drzwi. Głowę miał spuszczoną, a ramiona przygarbione. Na progu przystanął i powiedział w pół odwrócony w moją stronę:

– Jeszcze pan tego pożałuje, Glebsky. Będzie panu wstyd, strasznie wstyd.

– Możliwe – odparłem sucho. – To już moja sprawa... Ale, ale, umie pan strzelać?

– Tak.

– To dobrze. Niech pan weźmie karabin od Ceneverta i niech pan idzie na dach. Możliwe, że niedługo wszyscy będziemy musieli strzelać.

Simonet wyszedł w milczeniu. Ostrożnie pogładziłem spuchnięte ramię. Ładny mi urlop. I czym to się wszystko skończy – nie wiadomo. O, do diabła, czyżby to byli naprawdę przybysze z innych planet? Jakoś wyjątkowo logicznie wszystko do siebie pasuje... „Będzie panu wstyd, Glebsky”. No cóż, być może i będzie. Ale co robić? Chociaż zresztą co mi za różnica, czy to przybysze z innych planet, czy nie? Gdzie jest powiedziane, że Ziemiom nie wolno napadać na banki, a przybyszom, widzicie ich, wolno? No dobrze. Ale co ja mam zrobić? Tylko patrzeć, jak zaczniesz się obleżeć, a mój garnizon jest kompletnie do niczego.

Na wszelki wypadek podniosłem słuchawkę telefoniczną. Nic. Martwa cisza. Głupie bydlę ten Alec. Nie mógł pomyśleć o awaryjnej sygnalizacji. A gdyby tak ktoś dostał ataku wyrostka? Skąpiradło, tylko by forszę ciągnął z klientów...

Do drzwi znowu zapukano i ja znowu pośpiesznie złapałem pistolet. Tym razem raczył mnie zaszczycić swoją obecnością sam pan Moses we własnej osobie – onże wilkołak, onże stary grzyb, przybysz z Wenus z nieodłącznym kubkiem w garści.

– Niech pan siądzie przy drzwiach – powiedziałem. – Na tamtym krześle.

– Mogę postać – zagrzemiał, spoglądając na mnie spode łba.

– To pańska sprawa – powiedziałem. – O co chodzi?

Wciąż z tym samym wyrazem twarzy upił z kubka.

– Jakie jeszcze potrzebne są panu dowody? – zapytał. – Pan nas skazuje na śmierć. Wszyscy to rozumieją. Wszyscy prócz pana. Czego pan od nas chce?

– Kimkolwiek jesteście – powiedziałem – popełniście wiele przestępstw. I musicie za nie odpowiedzieć.

Moses głośno wciągnął powietrze przez nos, podszedł do krzesła i usiadł.

– Oczywiście już od dawna powinienem zwrócić się do policji – powiedział. – Ale wciąż miałem nadzieję, że jednak uda mi się uniknąć kontaktu z oficjalną władzą. Gdyby nie ta przeklęta awaria, już dawno by nas tu nie było. Nie byłoby żadnego morderstwa. Znalazłby pan związanego Puchacza i rozplatał cały ten kłębek zbrodni Championa popełnionych z moją pomocą. Przysięgam, że wszystkie koszty, na jakie naraził was mój pobyt tutaj, zostaną zwrócone. Częściowo nawet już chcę je zwrócić. Jestem gotów wręczyć panu asygnaty Banku Państwowego na sumę miliona koron. Resztę wasze państwo otrzyma w złocie, w czystym złocie. Co jeszcze mamy zrobić?

Patrzyłem na niego i czułem się nieswojo. Czułem się nieswojo, ponieważ mu współczułem. Siedziałem twarzą w twarz z oczywistym przestępcą, słuchałem go i współczułem mu. Było w tym jakieś diabelstwo i żeby się od niego uwolnić, zapytałem sucho:

– To pan mi zapaskudził stół i nakleił na nim kartkę?

– Tak. Bałem się, że inaczej list porwie przeciąg. Ale co najważniejsze, chciałem, żeby pan od razu zrozumiał, że to nie mistyfikacja.

– Złoty zegarek?

– Też ja. I browning. Za wszelką cenę chciałem, żeby pan uwierzył, żeby pan się zainteresował Hincusem i aresztował go.

– To było zrobione bardzo niezdarnie – powiedziałem. – Skutek okazał się odwrotny. Ja to zrozumiałem tak, że Hincus to nie żaden gangster, a komuś zależy, żebym go za takiego uważał.

– Tak? – zapytał Moses. – A więc o to chodzi. No cóż, tego można było oczekiwać. Nie umiem robić takich rzeczy, nie po to tu jestem...

Znowu poczułem falę współczucia i znowu spróbowałem wzbudzić w sobie złość.

– W ogóle wszystko jakoś niezdarnie wychodzi, panie Belzebubie – powiedziałem. – Jaki tam z pana, do diabła, Przybysz? Po prostu zwyczajny łajdak. Bogaty, rozpustny, bezgranicznie bezczelny. I jeszcze do tego pijanica.

Moses pociągnął z kubka.

– I te pańskie roboty – mówiłem dalej. – Salonowy wamp... Sportowiec wiking... Nie roboty, tylko jacyś seksualni neurastenicy. Czy chociaż na sekundę może pan sobie wyobrazić, że ja uwierzę w takie roboty?

– To znaczy, chce pan powiedzieć, że nasze roboty są zbyt podobne do ludzi? – zapytał Moses. – Ale chyba się pan zgodzi, że inaczej być nie mogło. To dosyć dokładne kopie ludzi istniejących naprawdę. Prawie sobowtóry... – Znowu łyknął z kubka. – A jeśli o mnie chodzi, inspektorze, to niestety nie mogę się panu pokazać w swojej prawdziwej postaci. Niestety, bo

wtedy by mi pan uwierzył natychmiast.

– No to niech pan zaryzykuje i się pokaże – powiedziałem. – Jakoś to przeżyję.

Moses pokręcił głową.

– Po pierwsze, raczej tak łatwo pan tego nie przeżyje. A po drugie, ja tego raczej nie przeżyję – powiedział ze smutkiem. – Alfred Moses, którego pan widzi, to skafander. Alfred Moses, którego pan słucha, to urządzenie translacyjne. Ale, być może, będę musiał zaryzykować, rezerwuję to sobie na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. Jeżeli okaże się, że w żaden sposób nie można pana przekonać, wtedy zaryzykuję. Dla mnie to prawie pewna śmierć, ale być może wówczas wypuści pan chociaż Loirevica. On przecież naprawdę nie ma z tym nic wspólnego...

I wtedy nareszcie wpadłem w furję.

– Jak to „wypuścić”? – wrzasnąłem. – Czy ja was tu trzymam? Gdybyście rzeczywiście chcieli odejść, to by już śladu tu po was nie było! Niech pan przestanie kłamać i gada prawdę. Co to za walizka? Co w niej jest? Wmawia pan we mnie, że jesteście przybyszami z innej planety. Ja zaś przypuszczam, że jesteście bandą zagranicznych szpiegów, którzy ukradli cenną aparaturę...

– Nie! – powiedział Moses. – Nie! To nie tak. Jest zupełnie inaczej. Nasza stacja jest zniszczona i naprawić ją może tylko Olaf. Olaf to robot konserwator stacji, rozumie pan? Oczywiście, że odeszlibyśmy dawno, ale dokąd mamy iść? Bez Olafa jesteśmy kompletnie bezradni, a Olaf jest wyłączony i pan nie oddaje akumulatora!

– I znowu pan kłamie! – powiedziałem. – Pani Moses jest również robotem, o ile dobrze zrozumiałem! I dla niej, jak zrozumiałem, też jest potrzebny akumulator...

Moses przymknął oczy i potrząsnął głową, tak że mu zadrżały obwisłe policzki.

– Olga to prymitywne urządzenie robocze. Służy do dźwigania ciężarów, kopania ziemi, do ochrony osobistej... Czy naprawdę nie rozumie pan, że nie można takiej samej energii używać... no, nie wiem... do zwyczajnego traktora i na przykład do telewizora... To przecież zasadniczo różne systemy...

– Pan ma na wszystko gotową odpowiedź – powiedziałem ponuro. – Ale ja nie jestem ekspertem. Jestem zwykłym policjantem. Nie zostałem upoważniony do prowadzenia pertraktacji z wilkołakami i przybyszami z kosmosu. Moim obowiązkiem jest oddać was w ręce prawa, i to jest wszystko, co mam do powiedzenia. Kimkolwiek naprawdę jesteście, znajdujecie się na terytorium mojego kraju i podlegacie jego jurysdykcji. – Wstałem. – Z tą chwilą niech się pan uważa za aresztowanego, Moses. Nie zamierzam zamykać pana, domyślam się, że nie miałyby to sensu. Ale jeśli spróbuje pan ucieczki, będę strzelał. I przypominam, od tej chwili wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu na procesie.

– Tak – powiedział Moses po chwili milczenia. – Co do mnie, podjął już pan decyzję. Niech tak będzie. – Pociągnął z kubka. – No, a Loirevic? Co on zawinił? Nic mu pan nie może

zarzucić... Niech pan mnie zamknie, ale niech pan odda walizkę Loirevicowi. Może przynajmniej on się uratuje...

Znowu usiadłem.

– Uratuje... Jak to uratuje? Dlaczego pan jest taki pewny, że Champion nas tu dopadnie? Może od dawna leży pod lawiną? Może go już złapali... zresztą i samolot wcale nie jest tak łatwo dostać... Jeśli istotnie jest pan niewinny, możecie wszyscy poczekać dzień, dwa. Zjawi się policja i traficie wszyscy do rąk ekspertów, specjalistów...

Moses potrzęsął głową.

– To na nic. Po pierwsze, nie mamy prawa nawiązywać oficjalnych kontaktów. Na Ziemi jestem tylko obserwatorem. Popełniłem wiele błędów, ale to są błędy do naprawienia... A nieprzygotowane kontakty mogą mieć i dla waszego, i dla naszego świata straszne, nieobliczalne skutki... Ale nawet nie to jest teraz najważniejsze, inspektorze. Boję się o Loirevica. On nie jest przystosowany do waszych warunków, nigdy nie przypuszczano, że spędzi na Ziemi więcej niż dobę. W dodatku ma uszkodzony skafander, chyba pan widzi, że nie ma ręki... Loirevic już jest zatruty... słabnie z każdą godziną...

Zacisnąłem zęby. Tak, Moses na wszystko miał odpowiedź. Ani razu nie udało mi się złapać go na sprzeczności. Wszystko było bezbłędnie logiczne. Musiałem przyznać, że gdyby nie ta gadanina o tych wszystkich kontaktach, skafandrach i pseudomięśniach, takie zeznania zadowolilyby mnie w pełni. Odczuwałem litość, byłem skłonny wyjść im naprzeciw, traciłem wiarę w słuszność mego stanowiska...

W rzeczy samej... Wobec prawa był winien tylko Moses. Loirevic formalnie był czysty, chociaż oczywiście można by go uznać za współnika, ale... prawdziwy kryminalista nigdy nie zaproponuje samego siebie jako zakładnika. A Moses zaproponował... No dobrze, zamknę Mosego i... Właśnie, co „i”? Oddać Loirevicowi aparat? A co ja wiem o tym aparacie? Tylko to, co mi powiedział Moses. Tak, to wszystko brzmi nawet prawdopodobnie. A jeśli to tylko sprytna interpretacja całkowicie odmiennych okoliczności? Jeśli po prostu nie zadałem pytania, które by tę interpretację podało w wątpliwość?

Jeżeli pominąć słowa, niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie – obiektywnie mamy dwa fakty. Prawo żąda, żebym zatrzymał tych ludzi do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności. Oto fakt numer jeden. A oto fakt numer dwa, ci ludzie chcą odejść. Nieważne dlaczego, czy to będzie ucieczka przed prawem, czy przed gangsterami, czy przed przedwczesnym kontaktem, czy przed czymś tam jeszcze... Chcą odejść.

Oto dwa fakty, absolutnie ze sobą sprzeczne.

– Co to za historia z Championem? – zapytałem ponuro.

Popatrzył na mnie spode łba, twarz mu się wykrzywiła. Potem spuścił oczy i zaczął opowiadać.

Jeśli odłożyć na bok ten cały zombizm-mombizm i różne tam pseudokontakty, to mieliśmy do czynienia z całkowicie banalnym szantażem. Mniej więcej dwa miesiące temu pan Moses, który miał niezmiernie istotne powody, aby skrywać przed oficjalnymi instytucjami nie tylko swoje autentyczne zajęcia, ale i sam fakt swojego istnienia, zaczął dostrzegać oznaki natrętnego i nieustającego zainteresowania swoją osobą. Spróbował zmienić miejsce zamieszkania. Nie pomogło. Spróbował odstraszyć prześladowców. To też nie pomogło. Koniec końców jak to zwykle bywa zjawili się u niego i zaproponowali wspólny interes. On, Moses, udzieli skutecznej pomocy w ograbieniu Drugiego Banku Narodowego, a zapłatą będzie milczenie, zachowanie tajemnicy. Oczywiście zapewniono go, że to pierwszy i ostatni raz i nic podobnego więcej się nie powtórzy. Jak zwykle bywa, Moses odmówił. Jak zwykle, oni nalegali. Jak zwykle, w końcu ustąpił.

Moses twierdził, że nie miał innego wyjścia. Nie bał się śmierci jako takiej – tam, skąd się zjawił, wszyscy już umieją przewycięzać strach śmierci. Na tym etapie mógł nawet nieszczerze obawiać się prób zdemaskowania: wystarczyło zwinąć swoje urządzenia i zostać po prostu bogatym nierobem – to go nic nie kosztowało, a świadectw agentów Championa, którzy ucierpieli w starciu z robotami, raczej nikt by nie potraktował poważnie. Ale śmierć i dekonspiracja na długo przerwałyby ogromne przedsięwzięcie z sukcesem realizowane już od kilku lat. Krótko mówiąc, Moses zaryzykował i ustąpił Championowi, tym bardziej że straty, które poniósłby Drugi Bank Narodowy, bez trudu mógłby zrekompensować czystym złotem.

Tak więc pomógł Championowi, który rzeczywiście zniknął z horyzontu. Ale wszystkiego na miesiąc. A potem zjawił się ponownie. Tym razem szło o pancerny pociąg ze złotem. Tylko że tym razem sytuacja była diametralnie odmienna. Cwany Champion pokazał nieszczęsnemu Mosesowi zeznania ośmiu świadków, wykluczające jakąkolwiek możliwość alibi, do tego taśmę, na której nagrano ograbienie banku – widać tam było nie tylko trzech czy czterech gangsterów, gotowych pójść siedzieć za przyzwoite honorarium, ale i Olgę z sejfem pod pachą i samego Mosesa z jakimś urządzeniem (forsage generatorem) w ręku. Gdyby odmówił, groziłyby mu już nie tylko krzyczące tytuły w gazetach, ale formalne śledztwo, a więc całkowite ujawnienie wszystkich jego tajemnic, a to znaczy przedwczesny kontakt w potwornie niewygodnych dla niego warunkach. Jak wiele innych ofiar szantażu, ustępując po raz pierwszy, Moses tej sytuacji nie przewidział.

Jego sytuacja była okropna. Odmowa oznaczała zbrodnię przeciwko swoim. Zgoda – nic dla niego nie zmieniała, dlatego że teraz już świetnie rozumiał, jaka żelazna ręka trzyma go za gardło. Ucieczka do innego miasta czy innego kraju nie miała sensu: przekonał się już, że ręka Championa jest nie tylko żelazna, ale i długa. Uciec natychmiast z Ziemi też nie mógł – przygotowania wymagały mniej więcej dwunastu, czternastu dni. Wtedy nawiązał łączność ze swoimi i zażądał ewakuacji w najkrótszym możliwym terminie. Tak, był zmuszony popełnić



jeszcze jedno przestępstwo – teraz oznaczało to tylko powiększenie długu, dodatkowe trzysta trzydzieści pięć kilogramów złota, tyle wynosiła cena koniecznego odroczenia. Kiedy nadszedł czas, uciekł – oszukał agenturę Championa za pomocą swojego sobowtóra. Wiedział, że będą go ścigać, wiedział, że Hincusy wcześniej czy później trafią na jego ślad – miał tylko nadzieję, że uda mu się ich wyprzedzić...

– Może mi pan wierzyć albo nie, inspektorze – zakończył Moses. – Ale chcę, żeby pan zrozumiał: są jedynie dwie możliwości. Albo oddaje nam pan akumulator i wtedy spróbujemy się uratować. Powtarzam: w każdym przypadku wszystkie straty waszych współobywateli zostaną w całości zrekompensowane. Albo... – Pociągnął z kubka. – Niech pan spróbuje to zrozumieć, inspektorze, ja nie mam prawa dostać się żywy w ręce oficjalnych władz. To po prostu mój obowiązek. Nie mogę ryzykować przyszłości naszych światów. Ta przyszłość przecież dopiero się zaczyna. No dobrze, zawałem sprawę, ale przecież jestem pierwszym, a nie ostatnim obserwatorem na waszej Ziemi. Czy pan to rozumie, inspektorze?

Rozumiałem tylko jedno, nie mam dobrego wyjścia.

– A właściwie czym się pan tu zajmuje?

Moses pokręcił głową.

– Tego nie mogę panu powiedzieć, inspektorze. Badałem możliwości kontaktu. Przygotowywałem ten kontakt. A konkretnie... To bardzo skomplikowane, inspektorze. Przecież nie jest pan specjalistą.

– Niech pan sobie idzie – powiedziałem – i niech pan zawoła tu Loirevica.

Moses podniósł się ociężale i wyszedł. Położyłem łokcie na stole i oparłem głowę na rękach. Parabellum mile chłodziło lewy policzek. Mimochodem pomyślałem, że teraz nie rozstaję się z tym pistoletem jak Moses ze swoim kubkiem. Byłem śmieszny. Byłem żaloszny. Nienawidziłem siebie. Nienawidziłem Seguta z jego przyjacielskimi radami. Nienawidziłem ich wszystkich, całą tę bandę, która się tu zjechała. Wierzyć, czy nie wierzyć... Całe nieszczęście w tym, że ja im uwierzyłem. Przecież pracuję nie pierwszy rok i czuję, kiedy ludzie mówią prawdę. Ale przecież ludzie! A jeśli uwierzyłem, to oni już nie są dla mnie ludźmi! I po prostu nie mam prawa im wierzyć. To po prostu samobójstwo – wierzyć! To znaczy wziąć na siebie taką odpowiedzialność, na którą nie mam najmniejszego prawa, której nie chcę, nie chcę... Przecież rozgniecie mnie jak pluskwę! Aż strach wyobrazić sobie, co będą opowiadać w urzędzie o tej historii. Łowca Upiorów. Tropiciele Przybyszy z Kosmosu. Dobra, Hincusa w każdym razie schwytałem. I Mosesa też nie wypuszczę! Niech będzie, co ma być, ale tajemnica Drugiego Banku Narodowego i zagadka transportu złota jest wyjaśniona. Właśnie tak. A nawet jeśli w to wszystko jest zamieszana polityka międzyplanetarna – to ja jestem tylko zwyczajnym policjantem, polityką zaś niech się zajmują ci, którym za to płacą... Dobrze byłoby teraz na przykład zemdleć, pomyślałem z rozpaczą. I niech sobie robią, co chcą...

Drzwi skrzypnęły, ocknąłem się. Ale to nie był Loirevic. Weszli Simonet i Cenevert. Alec postawił przede mną filiżankę kawy, a Simonet wziął spod ściany krzesło i usiadł naprzeciw mnie. Wydało mi się, że fizyk ma twarz ściągniętą i żółkłą.

– No i co pan wymyślił, inspektorze? – zapytał.

– Gdzie Loirevic? Wzywałem Loirevica.

– Z Loirevikiem jest bardzo źle – powiedział Simonet. – Moses krząta się koło niego. – Niemile wyszczerzył zęby. – Pan go zabije, Glebsky, i to będzie wyjątkowe łajdactwo. Znamy się co prawda tylko dwa dni, ale nigdy nie przypuszczałem, że okaże się pan bezdusznym automatem z błyszczącymi guzikami.

Wolną ręką wziąłem filiżankę, podniosłem do ust i odstawiłem z powrotem. Nie mogłem pić więcej kawy. Już mnie mdliło od kawy.

– Odczepcie się ode mnie. Gaduły... Alec boi się o swój hotel, a pan jest po prostu intelektualistą na urlopie...

– A pan? – zapytał Simonet. – O co pan się troszczy? Chce pan przypiąć do munduru jeszcze jedną błyskotkę?

– A tak – powiedziałem zimno. – Ja, wie pan, lubię błyskotki.

– Jest pan nic nieznaczącym pionkiem w policji. I nagle trafiło się ślepej kurze ziarno. Pierwszy i ostatni raz w życiu. W pańskich rękach spoczywa naprawdę ważna decyzja, a pan zachowuje się jak ostatni tępak...

– Niech pan się zamknie powiedziałem ze znużeniem. – Niech pan przestanie gadać i przez minutę pomyśli. Jak widzę, ni cholery nie zna się pan na prawie. Wyobraża pan sobie, że istnieje jedno prawo dla ludzi, a inne dla wilkołaków... Ale nawet to możemy zostawić na boku. Niech będzie, że to są przybysze z innej planety. Niech będzie, że ich oszukano. Wielki kontakt... Przyjaźń istot rozumnych i tak dalej... Tylko co oni robią na naszej Ziemi? Moses sam się przyznał, że jest obserwatorem. A co on takiego właściwie obserwuje? Niech pan nie szczyrzy zębów... My tu zajmujemy się fantastyką, a w powieściach fantastycznych, o ile pamiętam, przybysze z innych planet uprawiają szpiegostwo i przygotowują inwazję na Ziemię. Jak, pańskim zdaniem, w takiej sytuacji powinien postąpić urzędnik marzący o kolejnych błyskotkach? Powinien wypełnić swój obowiązek czy nie powinien? A pan sam, jako Ziemianin, co sądzi o swojej powinności?...

Simonet, wpatrując się we mnie, w milczeniu szczyrzył zęby. Właściciel podszedł do okna i podniósł żaluzję. Obejrzałem się.

– Po co to zrobiłeś?

Właściciel odpowiedział nie od razu. Przyciskając twarz do szyby, obserwował niebo.

– Tak sobie ciągle wyglądam, Peter – nie odwracając się, powiedział powoli. – Czekam, Peter, czekam... Lepiej kazałbyś temu dziecku wrócić do domu. Tam na śniegu ta mała jest

idealnym celem.

Położyłem parabellum na stole, obiema rękami ująłem filiżankę i zamknąwszy oczy, wypiliśmy kilka łyków. Idealny cel... My wszyscy stanowimy idealny cel. No nic, a nuż wszystko dobrze się skończy... I nagle poczułem, że czyjeś silne ręce ujęły mnie z tyłu za łokcie. Otworzyłem oczy i szarpnąłem się. Ból w obojczyku przeszył mnie z taką siłą, że omal nie straciłem przytomności.

– To nic, Peter, to nic – czule powiedział Alec. – Bądź cierpliwy.

Simonet z zatroskanym i przeprasającym wyrazem twarzy wsuwał już do kieszeni parabellum.

– Zdrajcy! – powiedziałem ze zdziwieniem.

– Nie, nie, Peter – powiedział właściciel hotelu. – Ale musisz być rozsądny. Nie samym prawem żyje ludzkie sumienie.

Simonet ostrożnie zaszedł z boku i poklepał mnie po kieszeni. Zabrzęczały klucze. Zawczasu oblewając się potem w oczekiwaniu okropnego bólu, szarpnąłem się z całej siły. Oczywiście rezultat był żaden, a kiedy oprzytomniałem, Simonet już wychodził z pokoju z walizką w ręku. Alec, wciąż jeszcze przytrzymując mnie za łokcie, mówił do niego z trwogą.

– Niech pan się śpieszy, Simonet, niech pan się śpieszy... z nim jest bardzo kiepsko...

Chciałem coś powiedzieć, ale gardło miałem tak ściśnięte, że tylko zachrypiałem. Alec troskliwie pochylił się nade mną.

– O Boże, Peter – powiedział – wyglądasz jak śmierć...

– Bandyci... – wyrzuciłem. – Kryminaliści...

– Tak, tak, oczywiście – pokornie zgodził się właściciel. – Później nas wszystkich zaaresztujesz i będziesz miał rację, tylko pocierp jeszcze chwilę, nie wrywaj się... przecież to bardzo boli, a na razie i tak cię nie wypuszczę...

Tak, nie wypuści... Ja i przedtem wiedziałem, że jest silny jak niedźwiedź, ale takiej krzepy jednak się po nim nie spodziewałem. Osunąłem się na oparcie krzesła i zaprzestałem walki. Miałem mdłości. Ogarnęła mnie tępa obojętność. I gdzieś tam, na samym dnie duszy, słabo tliło się uczucie ulgi – rozwój sytuacji nie zależał już ode mnie, odpowiedzialność wzięli na siebie inni. Widocznie znowu straciłem przytomność, bo nagle okazało się, że leżę na podłodze, a Alec klęczy obok i przykładą mi do czoła mokrą, lodowato zimną szmatkę. Jak tylko otworzyłem oczy, natychmiast podsunął do moich ust szyjkę butelki. Był strasznie blady.

– Pomóż mi usiąść – powiedziałem.

Usłuchał bez słowa sprzeciwu. Drzwi były otwarte na oścież, ciągnęło chłodem. Słychać było wzburzone głosy, potem coś runęło z łoskotem, zatrzeszczało. Alec skrzywił się boleśnie.

– Przeklęty kufer – powiedział zdławionym głosem. – Znowu roztrzaskali mi futrynę...

Pod oknem głos Mojżesza zahuczał z nieludzką siłą:

– Gotowi? Naprzód!... Żegnajcie, ludzie. Do następnego spotkania! Do prawdziwego spotkania!

Głos Simoneta wykrzyknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego, a potem zadźwięczały szyby od jakiegoś niesamowitego świstu i klekotu. I zrobiło się cicho. Wstałem i poszedłem do drzwi. Cenevert kręcił się obok, jego szeroka twarz była blada i zwiotczała, po czole spływał pot. Bezdźwięcznie poruszał wargami, pewnie się modlił.

Wyszliśmy do pustego holu, po którym hulał lodowaty wiatr i Alec wymamrotał: „Wyjdźmy, Peter, powinieś odetchnąć świeżym powietrzem...” Odsunąłem go i ruszyłem w stronę schodów. Mimochodem zauważyłem z mściwą radością, że drzwi wejściowe zostały doszczętnie rozwalone. Już na pierwszych stopniach schodów zrobiło mi się słabo i wczepiłem się w poręcz. Alec spróbował mnie podtrzymać, ale odepchnąłem go zdrowym ramieniem i powiedziałem: „Wynoś się do diabła, słyszysz?” Gospodarz znikł. Wolno powlokłem się po schodach, nie puszczając poręczy, minąłem Brune, przerażoną, przytuloną do ściany, wreszcie dotarłem na pierwsze piętro i dobrnąłem do swojego pokoju. Drzwi do numeru Olafa były szeroko otwarte, w środku nie było nikogo, żrący apteczny zapach wywiewało na korytarz. Żeby tylko dotrzeć do kanapy, myślałem. Tylko do kanapy i położyć się... I wtedy usłyszałem krzyk.

– To oni! – wołał ktoś. – Za późno! Za późno!

Głos się załamał. Na dole w holu rozległ się tupot nóg, coś upadło, potoczyło się, i nagle usłyszałem równomierny, daleki jeszcze warkot motoru. Wtedy zawróciłem i potykając się, pobiegłem do schodów prowadzących na dach...

Rozległa dolina nagle otwarła się przede mną. Zmrużyłem oczy od słonecznego blasku, a potem zobaczyłem dwa błękitnawe, idealnie proste ślady nart. Ślady prowadziły na pomoc, biegły ukosem od hotelu, a tam, gdzie się kończyły, dostrzegłem wyraźne, jakby narysowane na bieli figurki uciekinierów. Mam znakomity wzrok, widziałem ich wyraźnie i był to najbardziej niesamowity widok, jaki pamiętam.

Na przedzie mknęła pani Moses z gigantycznym kufrem pod pachą, a na jej ramionach, ani na chwilę nie przestając smagać jej pejczem, ciężko spoczywał sam stary Moses. Z prawej strony, nieco za nimi, równym fińskim krokiem pędził Olaf z Loirevikiem na plecach. Łopotała na wietrze szeroka spódnica pani Moses, powiewał pusty rękaw Loirevica. Pędzili szybko, nadnaturalnie szybko, a z boku, na ukos, błyskając w słońcu łopatami śmigła i oknami kabiny, zachodził im drogę helikopter.

Dolinę wypełniało potężne, monotonne huczenie. Helikopter powoli, jakby niespiesznie, zniżył się, przeleciał nad uciekającymi, wyprzedził ich i zawrócił, schodząc coraz niżej i niżej... A tamci w dalszym ciągu pędzili przed siebie, jakby nic nie widzieli i nie słyszeli. I wtedy to monotonne i potężne buczenie rozerwał nowy dźwięk – wściekły, urywany trzask... Uciekinierzy chwilę jeszcze bezładnie biegali, potem Olaf upadł, znieruchomiał, a potem niczym kula potoczył

się po śniegu Moses, a Simonet rwał mi kołnierzyk i szlochał w ucho: „Widzisz? Widzisz? Widzisz?...” A helikopter zawisł nad nieruchomymi ciałami, powoli usiadł i skrył przed nami wszystkich – i tych, którzy leżeli nieruchomo, i tych, którzy próbowali się jeszcze czołgać... Śmigło zaczęło się obracać, śnieg zawirował, połyskliwa biała chmura uniosła się na tle siwych skał. Znowu rozległ się jazgot karabinu maszynowego i Alec przykucnął, zasłaniając dłońmi oczy, zaś Simonet ciągle szlochał i krzyczał: „Masz! Masz, czego chciałeś, tępy bydlaku, morderco!”

Helikopter tak samo powoli wychynął z śnieżnej chmury, ukośnie wzbił się w nieprawdopodobną niebieskość nieba i zniknął za łańcuchem gór. Wtedy na ziemi żałośnie i rozdzierająco zawył Lelle.

## Epilog

Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat. Rok temu przeszedłem na emeryturę. Jestem już dziadkiem i czasem opowiadam wnukom tę historię. Co prawda w moich opowiadaniach wszystko kończy się dobrze: Przybysze szczęśliwie opuszczają Ziemię w lśniącej rakiecie, zaś bandę Championa łapie przybyła w porę policja. Początkowo w moich opowieściach przybysze odlatywali na Wenus, a potem, kiedy na Wenus wylądowały pierwsze ekspedycje, musiałem przenieść pana Mosea na gwiazdozbiór Wolarza. Zresztą nie o to chodzi.

Najpierw fakty. Wilczą Gardziel odkopano po dwóch dniach. Wezwałem policję i przekazałem jej Hincusa, milion sto pięćdziesiąt tysięcy koron i swój szczegółowy raport. Ale śledztwo, muszę przyznać, nie wyjaśniło niczego. Wprawdzie w zrytym śniegu znaleziono około pięciuset srebrnych kul, ale helikopter Championa, który zabrał ciała, przepadł bez śladu. Po kilku tygodniach małżeństwo turystów narciarzy, wędrujących nieopodal naszej doliny, opowiedziało, że byli świadkami, jak jakiś helikopter na ich oczach spadł do jeziora Trzech Tysięcy Dziewic. Zorganizowano poszukiwania, jednakże niczego ciekawego nie znaleziono. Jak wiadomo, głębokość jeziora osiąga miejscami czterysta metrów, dno jest zlodowaciałe i jego rzeźba nieustannie ulega zmianie. Champion prawdopodobnie zginął, w każdym razie na scenie kryminalnej więcej się nie pojawił. Jego banda, dzięki Hincusowi, który za wszelką cenę chciał ratować swoją skórę, częściowo została wyłapana, a częściowo rozpełzła się po całej Europie i poszła w rozsypkę. Gangsterzy, którzy znaleźli się w rękach wymiaru sprawiedliwości, nic istotnego do zeznań Hincusa nie dodali – wszyscy oni byli przeświadczeni, że Belzebub był czarnoksiężnikiem, może nawet samym Szatanem, i że ich były herszt zginął, bo trafił na mocniejszego od siebie. Simonet był zdania, że jeden z robotów ocknął się już w helikopterze i w ostatnim wybuchu aktywności zniszczył wszystko, czego zdołał osiągnąć. Bardzo to możliwe i jeżeli tak było rzeczywiście, nie zazdroścę Championowi jego ostatnich chwil...

Simonet został uznany za głównego specjalistę od spraw Przybyszy z Kosmosu. Organizował jakieś komisje, pisał artykuły do gazet i czasopism, występował w telewizji. Okazało się, że faktycznie był znanym fizykiem, ale to mu to ani trochę nie pomogło. Tak samo jak ogromny autorytet i minione zasługi. Nie wiem, co o nim mówiono w kręgach naukowych, ale jak mi się wydaje, poparcia nie otrzymał. Wprawdzie komisje obradowały i nas wszystkich, nawet Kaisę, wzywano w charakterze świadków, ale o ile wiem, żadne naukowe czasopismo nie opublikowało na ten temat ani jednego słowa. Komisje rozpadały się, znowu powstawały, to łączyły się z Towarzystwem Latających Talerzy, to się od niego odcinały, na materiały tych komisji to nakładano ścisłe embargo, to znowu zaczynało je szeroko publikować, dziesiątki i setki kombinatorów kręciło się wokół tej sprawy, wydano kilka broszur napisanych przez fałszywych świadków i szemranych uczestników, i wszystko skończyło się tym, że Simonet został sam

z grupką entuzjastów – młodych uczonych i studentów. Odbyli kilka wspinaczek w rejonie Wilczej Gardzieli, próbując odnaleźć ślady zburzonej stacji. W czasie jednej z takich wspinaczek zginął Simonet. Nie znaleziono zresztą niczego.

Wszyscy pozostali uczestnicy opisanych wydarzeń żyją do dzisiaj. Niedawno przeczytałem o uroczystym jubileuszu du Barnstockre'a w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Iluzjonistów – staruszek ukończył dziewięćdziesiąt lat. Na uroczystości była obecna bratanica jubilata Brunhilda Kann z mężem, znanym kosmonautą Perrym Kannem. Hincus odsiaduje swoje dożywocie i rokrocznie pisze podania o złagodzenie kary. Tuż po wyroku dokonana na niego dwóch zamachów. W jednym został nawet ranny w głowę, ale jakoś się wylizał. Podobno z zapalem rzeźbi w drzewie i nieźle na tym zarabia. Administracja więzienna jest z niego zadowolona.

Kaisa wyszła za mąż i ma czworo dzieci. W zeszłym roku byłem u Aleca i widziałem ją. Mieszka na peryferiach Muir i prawie się nie zmieniła – nadal jest gruba, głupia i chichotliwa. Jestem pewien, że cała tragedia przeszła jakby obok niej, nie zostawiając żadnych śladów w jej świadomości.

Z Alekiem jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Hotel Pod Międzygwiezdym Zombi prosperuje wspaniale – w dolinie stoją teraz już dwa domy, ten drugi jest zbudowany z nowoczesnych materiałów, wyposażony w różne elektroniczne luksusy i bardzo mi się nie podoba. Kiedy przyjeżdżam do Aleca, zawsze mieszkam w moim dawnym pokoju, a wieczory, jak za dawnych czasów, spędzamy w salonie przy szklanicy gorącego portweinu z korzeniami. Niestety, jedna szklanka wystarcza nam teraz na cały wieczór. Alec bardzo schudł, zapuścił brodę, jego nos przybrał kolor bordowy, ale po dawnemu lubi mówić głuchym głosem i nie jest od tego, żeby zakpić sobie czasem z gości. Tak jak kiedyś uwielbia wynalazki i nawet opatentował nowy rodzaj wiatracznego perpetuum mobile. Dyplom za wynalazek trzyma pod szkłem nad swoim starym sejfem w starym biurze. Wieczne silniki obu rodzajów wciąż jeszcze nie działają; zresztą problem polega na niewielkich szczegółach. O ile dobrze zrozumiałem, po to, żeby wieczne silniki pracowały naprawdę wiecznie, trzeba koniecznie wynaleźć wieczny plastik. Zawsze jest mi bardzo dobrze u Aleca – spokojnie, przytulnie. Ale pewnego razu wyznał mi głuchym szeptem, że trzyma teraz w piwnicy ręczny karabin maszynowy, na wszelki wypadek.

Zupełnie zapomniałem wspomnieć o bernardynie Lelle. Lelle umarł. Zwyczajnie, ze starości. Alec lubi opowiadać, jak to ten zdumiewający pies na krótko przed śmiercią nauczył się czytać.

A teraz o mnie. Wiele, wiele razy w czasie nudnych dyżurów, w czasie samotnych spacerów i po prostu w bezsenne noce rozmyślałem o wszystkim, co się wydarzyło, i zadawałem sobie tylko jedno pytanie: czy postąpiłem słusznie? Formalnie na pewno tak. Zwierzchnicy ocenili moje postępowanie jako właściwe w danej sytuacji, a naczelnik urzędu nawet mi zmył głowę, że nie oddałem walizki od razu i tym samym naraziłem świadków na niepotrzebne ryzyko. Za schwytanie Hincusa i za uratowanie ponad miliona koron otrzymałem premię, a na emeryturę

przeszedłem w randze starszego inspektora – w najśmielszych snach nie mogłem liczyć na więcej. Musiałem się nieźle namęczyć, kiedy pisałem raport o tej dziwnej sprawie. W oficjalnym dokumencie nie mógł się znaleźć nawet cień moich subiektywnych wrażeń, i w końcu widocznie mi się to udało. W każdym razie nie stałem się pośmiewiskiem ani też nie zyskałem sobie reputacji fantasty. Oczywiście, w raporcie niejedno zostało pominięte. Jak można opisać w policyjnym dokumencie ten przerażający wyścig na nartach po śnieżnej równinie? Kiedy w czasie przeziębienia wzrasta mi temperatura, znowu pojawia się przede mną to straszliwe, nieludzkie widowisko i słyszę ścinający krew w żyłach świst i klekot... Nie, z formalnego punktu widzenia wszystko skończyło się dobrze. Co prawda koledzy czasami trochę podśmiewali się ze mnie, ale tylko przy okazji, po przyjacielsku, bez złośliwości. Segutowi opowiedziałem więcej niż innym. Długo rozmyślał, drapał swój zarośnięty żelazną szczeciną policzek, smrodził fajkę, ale w końcu nic rozsądnego mi nie powiedział. Obiecał tylko, że wszystko zatrzyma przy sobie. Niejednokrotnie zaczynałem na ten temat rozmowę z Alekiem. Zawsze odpowiadał monosylabami, tylko raz, nie patrząc mi w oczy, wyznał, że wtedy najbardziej interesowało go bezpieczeństwo hotelu i życie klientów. Chyba później wstydził się tych słów i żałował swego wyznania. A Simonet do śmierci nie odezwał się do mnie ani słowem.

Zapewne jednak byli to przybysze z innych planet. Nigdy i nigdzie nie wypowiadałem swojej prywatnej opinii na ten temat. Występując na komisjach, zawsze trzymałem się wyłącznie suchych faktów i tego raportu, który przedstawiłem swoim władzom zwierzchnim. Ale teraz prawie już nie mam wątpliwości. Jeżeli my poleciliśmy na Marsa i na Wenus, dlaczego inni nie mogliby wylądować na Ziemi? A poza tym w żaden sposób nie potrafię wymyślić innej wersji, która by tak logicznie wyjaśniała wszystkie niejasne momenty tej historii. Ale czy cały problem polega na tym, że oni byli przybyszami? Czy to właśnie jest najważniejsze? Wiele rozmyślałem o tym i teraz mogę powiedzieć – tak, to jest najważniejsze. Potraktować ich tak, jak ja ich potraktowałem, było zapewne zbyt okrutne. Zapewne rzecz w tym, że przylecieli w nieodpowiednim czasie i natrafili na niewłaściwych ludzi. Trafili na gangsterów i policjantów... No dobrze. A gdyby trafili na kontrwywiad albo na wojskowych? Byłoby dla nich lepiej? Wątpię...

Jest mi strasznie ciężko na duszy, oto w czym rzecz. Nigdy przedtem ani potem nic takiego mi się nie wydarzyło, postąpiłem słusznie, jestem czysty przed Bogiem, prawem i ludźmi, a dręczy mnie sumienie. Czasem bywa ze mną już zupełnie źle i wtedy pragnę spotkać kogokolwiek z nich i błagać o przebaczenie. Myślę o tym, że któryś z nich być może wciąż jeszcze tuła się wśród ludzi, przybrawszy jakąś ludzką postać, i ta myśl nie daje mi spokoju. Nawet w pewnym momencie wstąpiłem do Stowarzyszenia imienia Adama Adamskiego, i wyciągnęli ode mnie masę pieniędzy, nim zorientowałem się, że to wszystko czcza gadanina i że ci ludzie nigdy nie pomogą mi w znalezieniu przyjaciół Mosesa i Loirevica...



Tak, przylecieli do nas w nieodpowiednim czasie. Nie byliśmy gotowi na spotkanie. Nie jesteśmy gotowi i teraz. Nawet teraz, nawet ja, ten sam człowiek, który to wszystko przeżył i przemyślał, gdybym znowu znalazł się w podobnej sytuacji, przede wszystkim zapytam sam siebie: a czy oni mówią mi prawdę, czy przypadkiem nie ukrywają czegoś, a czy w tym, że się pojawili, nie kryje się jakieś przeogromne nieszczęście? Ja wprawdzie jestem już starym człowiekiem, ale widzicie, mam przecież wnuczki...

Kiedy jest ze mną źle, żona siada obok i zaczyna mnie pocieszać. Mówi, że gdybym nawet nie przeszkadzał Mosesowi w ucieczce i że gdyby nawet udało się im wszystkim uciec, to i tak doszłoby do wielkiej tragedii, ponieważ wtedy gangsterzy napadliby na hotel i prawdopodobnie wymordowaliby nas wszystkich. Wszystko to jest absolutnie słuszne. Ja sam nauczyłem ją tak mówić, tylko że teraz już zapomniała o tym i wydaje się jej, że to jej własne myśli. Ale mimo to pod wpływem jej słów robi mi się odrobinę lżej. Lecz nie na długo. Tylko do chwili, w której przypominam sobie, że Simon Simonet do samej śmierci nigdy nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Przecież nieraz spotykaliśmy się – i na procesie Hincusa, i w telewizji, i na posiedzeniach niezliczonych komisji – a Simonet nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Ani jednym słowem. Ani jednym.